

Protokół przesłuchania świadka.

Dnia 16 września 1946 r. w Gorlicach.

Sędzia Śledczy w Gorlicach w osobie Stanisława Roja, z udziałem protokolanta Józefa Liary, przesłuchał niżej wymienionego w charakterze świadka bez przysięgi. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania i o treści art. 107 k.p.k., świadek zeznał co następuje:

Imię i nazwisko Jan Dziopek, wiek - lat 57, imiona rodziców - Józef i Antonina z Pękalów, Miejsce zamieszkania - Gorlice, Łęgi 10. Zajęcie - nauczyciel państw. Liceum i Gimnazjum. Wyznanie - rzym.kat. Karalność - niekarany. Stosunek do stron, obcy, po prawnym pouczeniu i upomnieniu zeznaje: Do obozu w Oświęcimiu przywieziono mnie 8 października 1940 r., gdzie oznaczony zostałem kolejnym numerem 5636. Po kilkudniowej "szkoleniu obozowej", zwanej sportem, a którą dokładnie opisuję w mojej zeznanej pracy na stronach 11 i 12-tej, przydzielono mnie na tzw. Industriehof 1, gdzie pracowałem przy robotach ziemnych. Byliśmy ubrani w dreluchy, nie mając na głowie czapek, nie mając sweteru ani też płaszczu. Dokuczliwa zimno dni listopadowych, częste deszcze ze śniegiem dziesiątkowały nas każdego dnia. Tak przepracowałem od 13 października do pierwszych dni grudnia 1940 roku. Od 5 lub 6 grudnia 1940 r. do 13 czerwca 1941 r. pracowałem jako stolarz w stolarni "Industriehof 1". Ze stolarni wyrzucono mnie w drodze karnej za robienie tropów do fabryki D.A.W. Deutsche-Ausrüstungs-Werkstätte w dniu 16 czerwca 1941 r. W owej fabryce pracowałem początkowo jako stolarz a po dwóch czy trzech tygodniach oddano mi magazyn narzędzi stolarskich, z którego współwięźniowie wypożyczali narzędzia stolarskie. Tu pracowałem do 18 lipca 1942 r. Z posady tej miałem również wylecieć karnej za tzw. Schwarzarbeit i to z meldunkiem karnym, co opisuję dokładnie w mojej pracy na str. 54 i 55. Od 19.VII.1942 r. aż do dnia końcowej ewakuacji obozu, pracowałem bez przerwy tj. do dnia 19 stycznia 1945 r., w głównej kancelarii obozowej. W czasie mego pobytu w oświęcimskim obozie mieszkawałem na bloku

17 a, 8, starej numeracji oraz 3, 10 a, 15a, 6, 24 a, 3a, 15 a, nowej numeracji. Warunki mieszkaniowe, pracy, odżywiania, sanitarne i higieniczne, opisałem szczegółowo w załączonej pracy, poczynawszy od strony 9-tej.

Załączoną pracę napisałem osobiście po uwolnieniu mnie przez wojska amerykańskie w obozie w Ebensee. Pracę miałem o tyle ułatwioną, że będąc w obozie w Oświęcimiu, robiłem sobie notatki, które jednak musiałem zniszczyć po przybyciu do obozu w Mauthausen po ewakuacji Oświęcimia. Jednak wiele rzeczy zapamiętałem. Nie pomnę jedynie wiele nazwisk kolegów powieszonych, lub rozstrzelanych. Ręczne poprawki maszynopisu czyniłem sam osobiście. W kilku miejscach czyniłem uzupełnienia. Poprawka odłówki w opisie szpielowania, jest zrobiona również przeze mnie. Obok nazwiska Landaua skreśliłem słowa "Żyd", gdyż mając zamiar wydać moją pracę drukiem, nie chciałem piętnować narodu, który w Oświęcimiu przeszedł prawdziwą gehennę. Czystopisu nie posiadam. Do kompletu dołączam dalsze arkusze do str. 157. Po napisaniu całości prześlę końcowe arkusze do Komisji Badań Zbrodni Niemieckich w Krakowie. Całość tytuł "W szponach gestapo".

Ponieważ zamierzam pracę tę wydać drukiem wobec tego zastrzegam sobie niniejszą dołączoną pracę wyłącznie tylko do użytku sądowego. Z byłym komendantem obozu Rudolfem Hoessem osobiście się nie zetknąłem i bliższego kontaktu z nim nawet pośrednio nie miałem. -

Zaznaczam tylko to, że wszystko to co opisałem w załączonych pamiętnikach dałało się za komendatury Rudolfa Hoessa.

Po odczytaniu podpisałem. -

J. Dziopek.

Zakończono i podpisano. -

Protokolant :

/ Liana / .

Sędzia :

/ Rój /

Z oryginalnego zniszczonego

Sędzia Okręgowy Sądowy
Jan Sahn

P O B Y T W W I Ę Z I E N I A C H .

Dnia 21 sierpnia 1940 r. przyjechali do Gorlic niezwykle i zupełnie nieznani goście. Stanęli na czatach w różnych punktach miasta, na wszystkich ulicach, na skrzyżowaniach ulic, a nawet w bramach. Każdego przechodnia, a szczególnie młodych ludzi legitymowano - jednych puszczano wolno, a innych odprowadzano do budynku magistrackiego. Owymi nieznanymi gośćmi było jasielskie gestapo, które w tym dniu urządziło znana w ich metodzie obławę na obywateli miasta Gorlic.

Okolo godziny 9-tej rano, zjawił się u mnie w domu policjant miejski z wezwaniem natychmiastowego stawienia się w Magistracie. Na zapytanie - kto i na co mnie potrzebuje - dał mi wymijającą odpowiedź. Nie przeczuwając nic złego, nie żegnając się z rodziną i udałem się do Magistratu. Już zdala zauważyłem w bramie budynku magistrackiego obcego człowieka, jak mi objaśnił towarzyszący mi policjant, był to gestapowiec. Zażądał od mnie legitymacji, którą po oglądnięciu zatrzymał u siebie, a mnie, mierząc groźnie spojrzeniem, rozkazał wejść do budynku. Na korytarzu stał drugi, nieznan mi osobnik, który brutalnie pchnął mnie do małej kancelarii, gdzie mieściło się ewidencyjne biuro ludności miasta. Pokój niewielki o rozmiarach 6x4 m gościł już z górą 30 osób, obywateli gorlickich. Na twarzach ich widzę niepokój, pewne zdenerwowanie i jeden drugiego pyta: dlaczego cię tu sprowadzili? Dowiaduję się od obecnych, że na "zamówienie" był dostawiony przez policję miejską ks. Prakat Litwin Kazimierz i ja - reszta została połapana na ulicy. Liczba obecnych w minuty na minutę zwiększała się, gdyż gestapo niestrudzenie pracowało i niczym oprawcy psów - co raz to nowe ofiary przyprowadzali do nas. Powoli zapełnił się aresztowanymi korytarz. W pokoju panował niebywały ścisk i zaduch - zdawało się, że jeszcze chwila, a podusimy się, gdyż okien nie wolno było otwierać.

Około godziny 11 wyprowadzono nas przed budynek magistracki, ustawiono w kolumnę trójkową i pod silną eskortą odprowadzono nas na podwórze więzienne. Po ustawieniu nas w kolumnę piętkową, zauważyłem, że było nas ponad 150 osób. Wywołano Ukraińców, których z miejsca po okazaniu legitymacji zwolniono, a my w kolumnie stoimy i czekamy. Nie wolno nam rozchodzić się, ani siadać. Jeden z dozorców więziennych przyniósł krzesko dla ks. Prażata, został jednak skarcony, z uwagą, że ksiądz może tak samo stać jak i inni. Upał w tym dniu mieliśmy nieznosny. Wśród tych murów więziennych mieliśmy prawdziwą kąpiel skórną. Dzielnie jednak, z dumnie podniesioną głową znosiliśmy tę pierwszą zaprawę metod gestapo.

Około godziny 13-tej zaczęto wzywać z naszych szeregów po dwóch, a którzy powrotnie już do nas nie wracali. Przypuszczaliśmy, że kogoś poszukują i po zbadaniu naszych legitymacyj, wypuszczą nas na wolność. Przyszła kolej i na mnie. Wprowadzają mnie do małego pokoju, gdzie za stołem siedziąco trzech gestapowców. Spisali moje personalia i nie pytając więcej, dali mi znak odejścia. Uradowany, że wreszcie skończyło się to wielkie niewiadome, skierowuję swe kroki ku wyjściu. W tym czasie jeden z tej bandy gestapowców i tegim kopniakiem nawraca w tył do drzwi zakratowanych. Otwiera mi kraty, pełniący służbę klucznik i zamyka w celi. Skończyła się moja wolność i swoboda, rozłączyli mnie z moją kochaną rodziną, z ulubioną pracą w moim skromnym gospodarstwie. Nie poczuwam się do żadnej winy, nic nikomu złego nie wyrzadzikiem - jakim więc prawem zamykają mnie do więzienia. Tego rodzaju refleksje a zarazem bunt przeciwko temu bezprawiu germańskiemu zakładnęły mną całkowicie. - Nasza cela więzienna zapełnia się co raz liczniej. Zamknięci zostali ze mną przeważnie młodzi chłopcy, nawiasem mówiąc przeważnie moi uczniowie z gorlickiego gimnazjum, a mianowicie: Lewicki Andrzej, Fresz Tadeusz, Bartusiak Ludwik, Sikora Ignacy, Rusinek Leszek, Mielowski Ignac, Hałas Kazimierz, Tybor Julian, Węgrzyński Józef, nadto p.p. ks. Herr Franciszek, Pazurkiewicz Aleksander, prof-

w Gorlicach, Delekta Jacek, Kałuża Stanisław, Cyl Wacław, Porębski i reszta nieznanymi mi osób. Razem było nas 27.

Sala, w której nas więziono była całą przejściową, o dużych mocno zakratowanych oknach, niesłychanie brudna i zupełnie nie urządzona. Duże długie ławy i w kącie wiadro, to całe jej urządzenie. Posiadaliśmy na owych ławach i w milczeniu, mocno przygnębieni, oczekiwaliśmy co z nami zrobią. -

Wtem usłyszałem głos mej najstarszej córki Usienki, która nie wiem w jaki sposób wspięła się na 2 m wysoki parkan i donośnym głosem zawołała: "Tatusiu! Nie martw się - robimy wszystko, aby cię zwolniono". Usienko! Gdybyś ty wiedziała, że już wówczas byłem tajnie skazany na pobyt w obozach na cały czas trwania wojny - zapewne inaczej pocieszałabyś tatusia. - Siedzieliśmy dalej w milczeniu - nikt z nas nie miał ochoty na rozmowę. Od czasu do czasu usłyszeć można było ciężkie westchnienie, to znowu ciche przekleństwo. Oderwani zostaliśmy tak nagle i niespodziewanie od warstwu swaj codziennej pracy i osadzeni w kryminale. Po raz pierwszy w życiu w więzieniu . . . I za co? To pytanie cisnęło się każdemu do głowy. Jesteśmy uwięzieni - pozbawieni wolności. Trudno! Trzeba mi siedzieć w kryminale na stare lata . . . Godziny lecą szybko. Wnet będzie wieczór. Nagle usłyszeliśmy zgrzyt zamka, drzwi się otwierają i wywołują moje nazwisko. Serce we mnie zamrło. Pewnie idę do domu. To starania mej Usienki. - Niestety. To nasz dobry strażnik Smoszna gorliczanin podaje mi pakunek, doręczony z domu - bochenek chleba, garnuszek masła, koc, palto i różne przybory toaletowe. Widok dużego gospodarskiego chleba, a w dodatku i masła, o które już było trudno, ożywił nasze oblicza, bo byliśmy głodni. Wielu z nas było nawet bez śniadania. Chleb z masłem zniknął momentalnie. Posiliwszy się nieco, zaczynamy się ożywiać i zabawiać pogwarą. Noc się zbliża - trzeba pomyśleć o spaniu. "Chłopcy! Na gołej podłodze spać nie będziemy - musimy postarać się o skórę. Ale jak? Oczywiście trzeba porozumieć się z naszym strażnikiem". Nieśmiało cichutko

pukam. Za drzwiami lekkie poruszenie, ktoś podchodzi do drzwi i pyta: "co jest". Po głosie poznałem, że to nasz poczciwy Smoszna.- " Proszę Pana aby w moim imieniu poprosił p. Laskosią, który mieszka naprzeciw Sądu o parę wiązek skóry". " Dobrze" odpowiada strażnik. W kilka minut dostajemy na salę cztery wielkie wiązki skóry. - Chłopczy!- Spimy znakomicie. Po chwili leżeliśmy już wygodnie, wyciągnięci na skórze. Teraz dopiero wyczuliśmy jak bardzo byliśmy zmęczeni. Każdego z nas bolała piekielnie głowa, a niektórzy mieli nawet gorączkę. -

Zmrok zupełny - cisza niczym nie zamącona. Młodzieź już zasypiają. Ja czułem się dobrze - ale spać nie będę, nerwy na to nie pozwolą. Ale to nic. - Ileż to nocy w życiu nie przespałem? Jeszcze jedna ... Bagatela. Nagle usłyszeliśmy wielki ruch na korytarzu - drzwi do naszej celi się otwierają i słyszemy donośny chrapliwy głos. " Alles heraus "! Zrywamy się z naszego posłania. Teni ów częściowo się porozbierał, niektórzy zdjęli buciki. - A tu powtórne - jeszcze głos - niejsze już nie jednego, ale kilku " Heraus! Los! Los!". Jak który mógł uporządkować swoją garderobę i wychodzimy w pośpiechu. Na korytarzu, we wszystkich bocznych wejściach i przy oknach stali gestapowcy i pilnowali nas, by który z nas nie uciekł.- Wychodzimy stale popędzani w kierunku do wyjścia. -

Przed gmachem sądowym stoją dwa samochody i limuzyna. Poznają owe wozy z Libuszy, którymi dojeżdżała młodzież z fabryki do Gorlic. Ładują nas z wielkim pośpiechem do samochodów, bo ruch przechodniów wstrzymany. Motory pracują. Gromadki naszych znajomych Gorliczan żegnają nas. Żegnają nas jednak tak dziwnie - jak skazańców. Jedni znakiem Krzyża Świętego inni kiwaniem głowy - jedna znajoma pani podniosła zaciśniętą pięść i pogroziła nią w kierunku naszych tyranów, niektóre panie płaczą. Ruszamy. W aucie zapowiedziano nam, że, jeżeli będzie ktoś próbował ucieczki zostanie zastrzelony, a gdyby udało mu się zbiec, zostanie rozstrzelanych z naszego grona dziesięciu zakładników. Nie wolno nam roz-

mawiać. Po bokach, z przodu i z tyłu mamy gestapo. Ktoś próbował zapalić papierosa, został skarcony mocnym szturkańcem.-

Dobąd jedziemy - to pytanie ciąży się każdemu. Mijamy Glinik Mariampolski, Libusze, dojeżdżamy do Biecza. Tu dołączają do nas Bieczanów znowu moich uczniów a mianowicie Salomona Edzia, Młodeckiego, Müllera. Jedziemy dalej. Noc bardzo ciemna. Samochód jedzie z szybkością 20 do 25 km na godzinę - możnaby uciekać pod warunkiem jednak, że wszyscy. Jedno mgnienie, a rzucamy się na gestapo, - ubezwładniamy ich i jesteśmy wolni... Ale jak ryzykować życie, może potem pociągna nas do odpowiedzialności nasze rodziny. Wyczuwam po twarzach moich kolegów, że tego rodzaju refleksje zawładnęły i nimi, bo od czasu do czasu rzucają na mnie spojrzenie - jak na swego opiekuna - jak na swego ojca. - Jestem między nimi najstarszy. Jedno hasło: "Bieć" a uwalniamy się ...

Tak pogrążony myślami, ani nie zorientowałem się, że minęliśmy Siepietnicę, Skożyszyn, Trzcinię i dojeżdżamy do Jaska. Samochody stają przed gmachem sądowym. Rozumiemy dlaczego. Tu jest kryminal. Drugi etap naszego pobytu za kratami. Długimi korytarzami dochodzimy przed kratę więzienną. Rozlega się dzwonek. - Wybiega strażnik, otwiera bramę i nie pytając, po jednym licząc nas dokładnie odbiera " Nowych gości ". Za ostatnim zatrzasnął gestapowiec wrota kryminalne. Jeszcze raz na nas popatrzył, uśmiechnął się szyderczo i zadowolony ze swych łowów, mając tak liczne trofea, odszedł.

Jesteśmy pod władzą innej kategorii ludzi - straży więziennej. Następuje teraz dokładna rewizja. Zabierają nam wszystkie drobiazgi, jakie mieliśmy przy sobie, a przede wszystkim noże, szelki, pasy, a nawet sznurówki od bucików. - Widać troskę o nasze życie - boją się, aby któryś nie powiesił się. Po dokonanej rewizji wpuszczają nas kolejno do sali więziennej Nr.4. Jest to t.zw. cela przejściowa, stosunkowo duża, około 9 x 6 m, o oknach maleńkich, mocno zakratowanych i umieszczonych wysoko, tuż przy suficie. W celi dwa łóżka, kilka podartych prawie pus -

tych sienników, 2 dżugie ławy - wszystko bardzo zniszczone i brudne. Oto umeblowanie naszej celi. W rogu celi jest jakby budka telefoniczna - to ubikacja, w której stało wiadro. Na łózkach siedzi czterech starych lokatorów tego przybytku. Dwóch z nich ma przykute ręce do nóg grubymi łańcuchami. Z wyglądu zewnętrznego wnioskować można, że dla tych ludzi nie dziwny kryminał. Żadne towarzystwo pomyślałem. Pierwsze ich słowa do nas na powitanie było zapytanie: "A macie co kurzyć?" Papierosów miał każdy dość, ale przy rewizji je zabrano. Niektórzy jednak zdokładali przemyścić parę sztuk w butach pod wyściółkami, więc pogostili nimi naszym współtowarzyszom. Jak się później niejednokrotnie przekonałem z ludźmi tego rodzaju należy żyć w jak największej zgodzie i przyjaźni, a będą wówczas jak najlepszymi przyjaciółmi. Kto idzie kontra nim, tego zwykają brutalnie szowami, a nawet obijać, lepiej też z nimi nie zaczynać

Ja usiadłem na ławie obok ks. Herrra i milcząco z pochylonymi głowami rozmyślałem nad naszym godnym pozakowania losem. Jest już po północy - należałoby pomyśleć o spaniu. Niektórzy pozajmowali miejsca przy ścianach, inni na środku skupieni jeden obok drugiego, rozkładając na podłozie swe palta, o ile je mają i marynarki. Ks. Herr ułożył się tuż obok łózka, na którym leżało dwóch towarzyszy - jeden pobrzękujący kajdanami. Któryś z kolegów żartobliwie powiedział: "Koledzy mamy już parafię. Jest ksiądz i kościelny, bo dzwoni kajdanami". Dowcip był dobry. Po raz pierwszy w tym dniu uśmieśliśmy się serdecznie. -

Ja ułożyłem się do snu na jednej z ław. Spać nie mogłem. Nie pozwoliły na to nerwy i robactwo. Milionowa ilość pcheł - bataliony pluskiew a jak później się okazało i wszy były naszymi współlokatorami. - Nie tylko ja nie spałem - moi koledzy przewracają się z boku na bok - widać gołe deski ich gniotą - również spać nie mogą. - Nad ranem awantura. Do "Budki telefonicznej" nie chcę nikogo wpuścić, bo wiadro pełne i najbliżsi sąsiedzi stoją, bo podłoga zalana. Raniutko o świcie wstajemy. Do mycia dostaliśmy wiadro wody i miednicę. Jeden drugiemu polewa

garnuszkami wodę do mycia, bo wodę musimy oszczędzać. Jedno wiadro na 43 ludzi.- Po pierwszej nie przespanej nocy w kryminale humory mieliśmy nienajgorsze. Oczekujemy śniadania, bo głód po wczorajszym poście zaczyna nam dokuczać. Około godziny 8-mej otrzymujemy małe kawałki czarnej niesłodzonej kawy, którą duszkiem wypijamy. Od godziny 10 do 11 mieliśmy przechadzkę po podwórzu więziennym. Tu chodziliśmy w milczeniu jeden za drugim w odległości 1 m jeden od drugiego. Nie wolno rozmawiać, ani iść po dwóch lub trzech. W razie niezastosowania się do tych przepisów, przechadzkę przerywano i wpędzano przedwcześnie do celi. Mimo wszystko w czasie przechadzki dowiedzieliśmy się, że na piętrze jest zamknięty z Gorlic Inż. Kowalski Adam dyr. fabryki w Glinniku Mariampolskim oraz Gryboś, urzędnik Wydziału Rady Pow. w Gorlicach. -

Na obiad otrzymaliśmy zupełną ziemniaczaną, ale bez ziemniaków. Była to wodziuchna, pozbawiona zupełnie tłuszczu, w której gotowały się ziemniaki. Na kolację otrzymaliśmy 120 g chleba i znowu czarną niesłodzoną kawę. Paczek żywnościowych nie wolno było posyłać do więzienia - jedynie tylko bieliznę. Głód zaczyna nam dokuczać. Pod pokrywką bielizny przekradają się do naszej celi i paczki małe z żywnością. Dyrektor więzienia bardzo dobry czkowiek, patrzy na to przez palce. Dzięki tym skromnym paczuszkom ukrytym w bieliźnie, zaczyna się akcja dożywiania.-

Mimo, że byliśmy zamknięci i nie mieliśmy żadnego z nikim kontaktu, dochodziły do nas t.zw. po więziennemu grypsy. Ktoś z Jaska napisał, że widział w gestapo 2 listy - jedna - to lista zwolnień, a druga tych, którzy dalej będą zamknięci. Czwartego dnia pobytu w więzieniu zwolniono jednego z naszych kolegów więziennych. Fakt ten ucieszył nas bardzo. Może i na nas przyjdzie kolej i wypuszczą nas. Piątego dnia przyszło do więzienia zaraz po śniadaniu czterech gestapowców. Byli to jak się później okazało nasi sędziowie. Kolejno wołali nas do siebie i spisywali protokół, który każdy z nas musiał podpisać. Przyszła kolej i na mnie. Spisano ze mną tak dokładne curriculum vitae, jakiego niegdy w życiu nie pisałem. Jakie było moje wychowanie jako dziecka - zapatrywania

moich rodziców, braci, sióstr, ich adresy - moje studia, zamieszkania, przynależność do organizacji i.t.d.i.t.d. Na końcu tego protokołu na odpowiednie skinienie przewodniczącego, wpisał maszynista czterowierszową adnotację, którą nakrył bibułą i protokół podał mi do podpisu. Powiedziałem, że nie podpiszę, bo muszę wiedzieć co podpisuję. Przewodniczący skoczył do mnie z furją i zaczął wygrażać pięściami - jednak nie uderzył mnie. Poprosiłem jeszcze raz o przeczytanie mi protokołu, bo muszę wiedzieć co podpisuję. Wściekły jak pies gestapowiec przeczytał mi protokół, a końcowy czterowierszowy dopisek przysłonił bibułą i znowu podał mi do podpisu. Nie chciałem dłużej oponować, by coś nie oberwać - podpisałem. Pytam jednak: "Proszę mi powiedzieć, za co mnie panowie aresztowali?" Przewodniczący krzyknął: "Du bist Deutschen - fresser". A więc dowiedziałem się, jaki był powód pozbawienia mi wolności. Pożeram Niemców.

W dwa dni później t.j. 29 sierpnia 1940 r. już od wczesnego ranka wywożą nas imiennie i ustawiają dwójkami na korytarzu. Nic nie wiemy w jakim celu. Zainteresowało nas to, że dzielą nas na grupy i oddzielnie każdą z nich wyprowadzają z więzienia. Przyszła kolej i na mnie. Wychodzimy pod silną eskortą na podwórze więzienne. Tu wsiadamy do policyjnych wozów samochodowych i podwożą nas na ulicę, gdzie oczekujemy na resztę więźniów. Na ulicy zebrano się dość dużo publiczności, która zainteresowana naszym wyjazdem, zatrzymuje się wyszukując z podród nas swoich znajomych. Patrzą i oczom nie wierzą. W oddali widzę moją żonę. Przyjechała z Gorlic - jakby przeczuła, że następnego już dnia nie zastanie mnie w Jasle. Stoi na chodniku smutna i w rękę trzyma pakunek, chce mi go podać - policja jednak nie pozwala. Moja Stefunia jednak podchodzi do innego policjanta i ponawia swoją prośbę. Wzruszyła go prośba, wziął pakunek i wrzucił mi go do samochodu. Jedna długa wymiana spojrzeń była naszym ostatnim pożegnaniem. Motory zagrały, opuściliśmy Jasło, żegnani długo wymachiwaniem chusteczek, którymi wycierano

zakrawione oczy. Jedziemy szosą w kierunku Tarnowa. Znowu refleksje i różne czarne myśli zaprzętają mój umysł... Dokąd jedziemy?... Co z nami zrobimy?... Skyszeliliśmy w więzieniu o wielu morderstwach dokonywanych na niewinnych więźniach. Czyżby i nas wywozili za miasto do lasu i tam ... skończyć z nami... Ale za co? Jesteśmy zupełnie niewinni. Nasza jedyna wina to ta, że urodziliśmy się Polakami.

W tak beznadziejnym nastroju psychicznym, ani nie zorientowałem się, że dojechaliśmy do Tarnowa. Wiozą nas bocznymi drogami do więzienia, - na podwórze do kryminału. Wyskakujemy szybko ze samochodów, stajemy w kolumny piątkowe i po sprawdzeniu liczbowym a następnie imiennym, odbierają nas po kilkunastu strażnicy więzienni. Po dokonaniu bardzo szczegółowej rewizji osobistej, osadzono mnie w towarzystwie 11-tu kolegów w celi Nr.58. oddziału II. - Cella mała, przeznaczona zasadniczo na 6 więźniów, bo tyle jest w niej łózek na dzień podnoszonych i przymocowanych do ściany. W celi jest jeszcze mamy przymocowany do ściany stół i w rogu muszla klozetowa z wodą bieżącą. Cieszyliśmy się bardzo, że w celi mamy wodę i będziemy mogli się obmyć. Ku wielkiemu naszemu przerażeniu skonstatowaliśmy, że w celi jest olbrzymia ilość pluskiew, a w kocach weży. Rozlokowaliśmy się w naszym nowym pomieszczeniu, by rozpocząć trzeci etap życia kryminalnego. -

Odżywianie mieliśmy tu podobne jak w Jasle. - Kawa nieszkodzona rano - woda z burakami pastewnymi w południe a wieczór znowu kawa lub herbata ziołowa i 12 dkg chleba. W całości jak widzimy było tego za mało by utrzymać się przy życiu, zaś za dużo, by w krótkim czasie umrzeć śmiercią głodową. Nic też dziwnego, że więźniowie już po kilku tygodniach byli tak szabi, że chodząc po celi trzymali się ścian. Myśmy dostali pozwolenie na otrzymywanie paczek żywnościowych raz na dwa tygodnie. Nasi najdrożsi zasypywali nas olbrzymimi paczkami, tak że jedzenia w więzieniu tarnowskim nie brakowało nam. Trudniej było z papierosami, bo tych nie wolno nam było posyłać. Palacze zdobywali

Je jednak za pośrednictwem dozorców, którzy za żywność lub bieliznę dostarczali tytoń. Początkowo mieliśmy duże trudności z przesłaniem "grypsu", ale po wyrobieniu sobie stosunków, poczta regularnie kursowała między nami a domem. Najczęściej wysyłałyśmy listy zbiorowe, które za pośrednictwem jednego z księży Kapituły tarnowskiej były doręczane do domu.

Z uwagi na to, że każdemu nowicjuszowi kryminalnemu dokucza niezwykle bezczynność, staraliśmy się wspólnymi siłami urozmaicić dzień, jak nas tylko na to stać było. Pobudkę mieliśmy o godzinie 6-tej. Do godziny 7-mej sprzątanie, mycie się. Następnie otrzymaliśmy śniadanie. Od godziny 8-mej rano - przez cały dzień bez przerwy odbywały się spacery, ale po celi. Urządzaliśmy się w ten sposób, że po dwóch kolegów przez 2 godziny bez przerwy spacerowało, mając możliwość wykonania w prostym kierunku 6 małych kroków. Inni tymczasem spali, lub czytali przemycone książki. Niektórzy uczyli się języka niemieckiego. Graliśmy również i w szachy, które ulepił nam z chleba Leszek Rusinek. O godzinie 12-tej odbywał się apel. Na sygnał dzwonka, musiał każdy z nas być ubrany i gotowy jak do wyjścia. Ustawialiśmy się trójkami i oczekiwaliśmy przybycia strażnika zwykle starszego, na odebranie raportu. Po otwarciu celi nasz izbowy ks. Herr meldował: "Achtung! Zimmer Nr. 58 belegt mit 12 Schutzhäftlingen alles in Ordnung". Po zamknięciu celi mieliśmy swobodę, aż do następnego ranka. Po odmówieniu wspólnej modlitwy wieczornej, przygotowywaliśmy nasze łóżka do spania, które było nieskychanie trudno pościelić ze względu, że w łóżkach było 5 do 6 prętów żelaznych, na które kładko się prawie puste i podarte siana. Spaliśmy na łóżkach po dwóch. Hałgas z Lewickim, Sikora z Mięrowskim, Pazurkiewicz z Węgrzyńskim, Wójcik z Beniszem, Rusinek z Frelowskim, ja z ks. Herrem. Po ułożeniu się do spania, musiał każdy z nas kolejno wypełnić program wieczoru, tak długo, dopóki nie pozasypialiśmy. Ks. Herr najczęściej nas zabawiał, streszczając przeczytane po-

wieści, młodzi opowiadali najczęściej treść filmów, kol. Pazurkiewicz z mitologii, ja zaś opowiadałem różne przygody z czasów wojny światowej. Nie obeszko się również bez wiców, do których mieli zdolności niektórzy koledzy - czym nieraz gorszył się Herr. W niedzielę spiewaliśmy nieszpory. Jeżeli już bardzo nudziliśmy się i nie mogli znaleźć zajęcia, bawiliśmy się w t.zw. "dupaka". Zabawa powszechnie znana w więzieniu. Polega na tym, że jednemu zakrywa się oczy, a jeden z biorących udział w zabawie, bije go dżonią w pośladki. Jeżeli zgadnie, to biją tego drugiego, a jeżeli nie, to kładzie się ten sam drugi raz. Nie raz znalazła się taka ofiara, że i 10-cio krotnie raz po raz musiał się kłaskać do bicia. Zwyczajnie zaczynało się od lekkich uderzeń, ale po pewnym czasie była rywalizacja, kto mocniej bije. Często więc nasi chłopcy mieli popuchnięte "siadzenia" i dżonie od bicia. Graliśmy również na i w karty, które zrobiliśmy sobie z kartonu. Najczęściej był bridge, ale grywali najczęściej na innych celach w 66. Ze względu, że więźniowie nie mieli pieniędzy, o które mogliby zagrać, więc grano na tzw. "kinol". Polegało to na tym, że wygrany biał przebiegnął kartą w nos tyle razy, ile punktów wygrał. Po skończonej takiej grze wstawali partnerzy z popuchniętymi nosami / kinolami/, a nie rzadko byli i pokrwawieni. Tak schodził nam dzień za dniem i tydzień za tygodniem. Przechadzki takich jak w Jasle nie mieliśmy, stąd też brak ruchu, słońca i świeżego powietrza już po dwóch tygodniach odbił się na wyglądzie naszego oblicza. Twarze nam pożółkły i mimo forsownego odżywiania demowymi paczkami, czuliśmy, że szabniemy. Pomimo, że byliśmy zamknięci, mieliśmy zorganizowany doskonały kontakt ze światem zewnętrznym. Dochodziły nas codziennie różne grypsy. Otrzymywaliśmy nawet i gazety. Z celami sąsiednimi mieliśmy stały kontakt i tak z parterem porozumiewaliśmy się "konie". Był to na nitce uwiązany list i w ciemności opuszczany na dół na parter. Jeżeli chcieliśmy mieć wiadomość z II piętra, stukamy w sufit, a natychmiast spuszczały nam nitkę, do

której przywiązywaliśmy list. Z celami vis a vis po drugiej stronie korytarza rozmawialiśmy przez "judasza". Było to okienko w drzwiach, przez które kontrolowała nas straż więzienna. Trudniejszy był kontakt z celami sąsiednimi po lewej i prawej stronie. Ale i na to wynaleziono sposób. Żółka do ścian były przymocowane długimi śrubami. Gdy chciał ktoś z nas wiadomości od sąsiadów, wykręcał śrubę, oczywiście tylko przewidywalnie włożoną do otworu w murze i przez ten otwór rozmawiał, podawał papierosa na drucie, lub ogień do zapalenia papierosa. Mieliśmy i alfabet na migi, ale nim niebezpiecznie było porozumiewać się, gdyż więzienie było pilnowane przez straż. Prayłapany na gorącym uczynku, otrzymywał "baty" a nawet zamykano go do bunkra, gdzie mierzono głędem. Ze strażnikami Polakami żyliśmy w jak najlepszej przyjaźni. Natomiast strażnicy Ukraińcy, których było stosunkowo dużo, byli dla nas niebezpieczni, gdyż często denuncjonowali nas. Pewnego wieczora przyjechało do więzienia Gestapo z Jasła. Widzieliśmy ich - gdyż każdy ruch samochodowy a nawet pieszy był obserwowany przez nasze małe okieneczka. U nas poruszenie. Coś będzie nowego. W parę minut otwierają drzwi do naszej celi i zabierają od nas kol. Benisza. Dowiedzieliśmy się później że Benisz został zwolniony. W jego miejsce przyszedł do naszej celi kol. Wieckowski. Pewnego dnia gruchnęła wiadomość, że odjeżdżamy ale dokąd i kiedy, tego nie wiemy. Żyjemy teraz pod wrażeniem odjazdu z więzienia. Na podstawie informacji wiedzieliśmy, że jedziemy do obozu, ale do którego, to było zagadką. Dnia 7 października 1940 roku około 7 rano, polecono nam spakować się, gdyż rzeczywiście odjeżdżamy. W jakiś czas później zawiadzano z sąsiedniej celi Bartusiaka a z naszej mnie. Serce we mnie zamarło, przypuszczałem, że idę na wolność. Przypuszczenie moje opierałem na tym, że o Bartusiaka jako o obywatela amerykańskiego, rodzice czynili starania w Konsulacie o zwolnienie go. Wyczytanie ztem mojego nazwiska, łącznie z Bartusiakiem, upewniało mnie w tym przekonaniu. Jakież było jednak moje rozczarowanie, gdy wychodząc zauważyłem już dużo kolegów z innych cel zebranych na podwórzu

więziennym w celach transportu. Wyczytano nas razem z tytułu sąsiedztwa alfabetycznego. Na podwórzu więziennym zebrano około 320 więźniów, gdzie czekaliśmy do wieczora. Dokąd jedziemy na dalszą tużaczkę? Oto pytanie, które każdemu ciśnie się na usta. - Wieczorem ulokowano nas po korytarzach i celach w suteremach i rozdano nam żywność na dwa dni. Na drugi dzień rano, zebrano nas znowu na podwórzu więziennym, gdzie po przeczytaniu, ładowano nas do samochodów policyjnych i pod silną eskortą odwożono na dworzec. Tu załadowano nas po 50 do wagonów osobowych, konwojowanych przez policję. Zauważyliśmy, że nasi konwojenci byli do nas przychylnie ustosunkowani. Pozwalali nam rozmawiać i palić. Byliśmy nie zwykle zdziwieni gdyż zezwolono na doręczenie nam papierosów od jakiegoś komitetu. Podróż koleją mieliśmy zatem dość przyjemną. W Bochni dołączono do naszego transportu 30-tu kolegów tak, że razem jechało nas 350. - Od naszych konwojentów dowiedzieliśmy się, że jedziemy do obozu w Oświęcimiu. Dreszcz niepokoju przeszedł po mnie, bo słyszałem jeszcze w celi więziennej, że w obozie oświęcimskim jest bardzo źle.

Pobyt w obozie w Oświęcimiu .

Około godziny 13-tej dnia 8 października 1940 r. zajeżdżamy do Konzentrations - Lager Auschwitz. Pociąg nasz nie zatrzymuje się na stacji w Oświęcimiu, lecz zajeżdża na bocznice pod obóz. Na dany znak wysiadamy. Przed wagonami oczekują nas SS-mani, którzy mają nas odebrać z rąk policji. W tempie " na łob na szyję " wysiadamy z wagonów . Policjanci pokazali tu swoje pazurki wobec SS-manów, - biją i kopią opieszałych. Wyrzucamy nasze bagaże, aby jak najprędzej wyjść z wagonów. Ustawiają nas piętami i maszerujemy. Przechodzimy koło t.zw. "Holzhofu"! Już zdążyliśmy zobaczyć naszych przyszłych kolegów ubranych w pasiaste ubrania i zajętych rąnięciem i rąbaniem drzewa. Wreszcie dochodzimy do obozu. Stajemy przed wielką żelazną bramą, na której widnieje napis " Arbeit macht frei ". Po zliczeniu nas zostaliśmy wprowadzeni do obozu i na wielkim placu apelowym ustawieni w kolumnę dziesiątkową. - Mimo, że był to już październik, dzień był niezwykle upalny. Objuczony plecakiem

41
wyładowanym żywnością na zapas i ubrany po zimowemu w krótki korpuch, a mając jeszcze na rękę palto i koc, ostatek sił z powodu gorąca, do- wlokłem się na ów plac. Przytem musiałem uważać, aby nie oberwać od SS- manów, którzy opieszających popędzali drągami i gumami. Mokry byłem jak gdybym wyszedł z kaźni.

Po godzinnym postoju, w czasie którego nie wolno było siadać, nad- szedł ówczesny " Lagerführer " Fritsch i miał do nas przemówienie. Po- wiedział nam, że jesteśmy skazani na pobyt w obozie jako niebezpieczni dla wielkich Niemiec, na cały czas wojny. " Zapomnijcie o tym, kim by- liście w cywilu- gdyż tu jesteście tylko numerami. Musicie pracować dla wielkiej Rzeszy, bo tylko ta zapewni wam przyszłość. O wolności nie ma- cie nawet co marzyć. Wolność może być dla was przez " komin ". Tu wska- zał nam rękę wysoki i dymiący komin krematorium. Następnie powiedział nam formułę, której kilka tygodni uczyliśmy się na pamięć " Es gibt nur einen Weg zur Freiheit und seine Meilensteine heissen : Gehorsam, Fleiß Ordnung, Sauberkeit, Mächtigheit, Opfersinn und Liebe zu Vaterland." Jest tylko jedna droga do wolności, do której prowadzą: Posłuszeństwo, Pilność - Porządek - Czystość - Trzeźwość - Ofiarność i Miłość do Ojczy- zny. Sków Lagerführera nie wklepiłem sobie do serca, gdyż nie wierzyłem mu. Ot tak mówi by nas nastraszyć. Najbardziej buntowałem się przeciwko jego powiedzeniu " droga do wolności prowadzi tylko przez komin ". Nie. To jest wykluczone. Wszystko przetrzymam. Nie dacie mi rady. Muszę wró- cić do domu. Muszę widzieć jeszcze moich najdroższych. Zadrżakłem cały, bo w mej duszy powstał bunt - jakgdyby przysięga - że staję do walki - ale z niej wyjdę zwycięsko. Po przemówieniu Fritscha odliczono nas do 50 i takimi oddziałami podchodzimy daleko do obozu pod wielki piętrowy blok. Podchodzimy kolejno po pięciu i zostajemy doskownie obrabowani. Średki żywnościowe składamy do olbrzymiej paki, noże i t.p. drobiazgi oddzielnie, zaś na ubranie dostajemy papierowy worek. Wolno nam pozostawić tylko buty bez skarpetek, pas lub szelki i jedną chusteczkę. Wskodzi widząc, że zabierają nam jedzenie zjadali co mogli nie przebie-

rając kolejności - co wpadko pod rękę. Maszko z cukrem, kiełbasą z ciastkami, miód z wędzonką, skowem wszystko co mieli, aby nic nie oddać. Jedynie oddawali chleb, uważając go za mało treściwym do zaprzątania sobie żołądka. Skutki tego "pożerania" okazały się jeszcze tej nocy katastrofalne. By nie oddać mych środków żywności - rozdałem je chłopcom do skonsumowania.

Na golasa, trzymając w jednej ręce buty, a w drugiej torbę z ubraniami, podchodzę do stołu i otrzymuję wypisany na tekturze mój numer 5636. Tu oddałem torbę z ubraniami i wypchnięty zostałem tym kopniakiem do kąpielni. Tu przed kąpielą strzygę. Aby nie oberwać pilnie śledzę moich poprzedników i robię to co i oni. Staję w kolejce do strzyżenia. "Mistrz fryzjerski", który z zawodu był kowalem a może górnikiem nigdy jednak fryzjerem, przejechał mi nie więcej jak 10 razy maszynką po głowie i odstawił mnie następnemu mistrzowi, który strzygł brodę i wąsy. Jednym cięciem pozbyłem się wąsów, zaś dwoma cięciami straciłem brodę, którą zapuściłem w więzieniu tranowskim. Zostałem potwornie ostrzyżony, ale patrząc na kolegów nie przejmowałem się tym. Widocznie tak musi być. Ostrzyżony "na niby", biegnę pod tusz. Boże! Zimna studzienna woda, a ja spocony - jak gdybym już wyszedł z kąpielni. Stanąłem chwileczkę pod owym tuszem i udaję, że się myję, a patrzę, aby chwycić moment i wyrwać z pod niego. Udaje mi się to. - Idę mokry na korytarz. Drzwi na przestrzał otwarte i przeciąg niemożliwy. Na owym korytarzu otrzymuję w jednym miejscu koszulę, w innym kalesony a oddzielnie spodnie i bluzę w niebieskie paski. To wszystko odbywało się biegiem bez przamierzania. Koszulę dostałem bez guzików, kalesony bez tasiemki, spodnie na moje szczęście były dobre, natomiast bluza bardzo mała. W jednej minucie należało te szmaty powciągać na siebie i jak gęś podskubany strażnikiem stanąć w osobnej kancelarii, gdzie podawaliśmy najdokładniej swoje personalia. Tu znowu zgniewało mnie pytanie: Kogo zawiadomić na wypadek śmierci? Podałem oczywiście adres, ale mię to zastano-

wiło. Coś w tym obozie musi być nieszczęśliwie, jeżeli jest tego rodzaju rubryka. Po tym zapisie wychodzę przed blok, gdzie ustawiają nas znowu po pięciu i tak czekamy. Zbliża się już ku wieczorowi i jest mi zimno. Boję się, by po tym zmeczeniu - wypoceniu się i zianym tuszu nie przeziębienie lub nie dostać zapalenia płuc. Jak widzę z tego, rubryka kogo zawiadomić na wypadek śmierci jest skuszną. Jak przekonałem się jednak z codziennych późniejszych przeżyć w obozie, że organizm ludzki, na stawiony psychicznie, że jest zdany na łaskę losu, sam cudownie się broni i dostosowuje do warunków życiowych. Gdy zebrano się nas 60-tka, przyszedł "Pan blokowy" i zabrał nas na blok 17 a. Pisze w codzienniku "Pan blokowy", bo jak przekonałem się, w następnych dniach pobytu w obozie, że jest to pan życia i śmierci. - Nasz "Pan" znany pod nazwiskiem "Krwawy Alojz" był z zawodu marynarzem. W kryminale siedzi od roku 1933 a obecnie należy pod każdym względem do asów obozowych. Po znaleźliśmy to. Już na wstępie, gdy tylko przyszedł, zbił kilku kolegów po twarzy dlatego, że nie kryli w szeregu. Silny był, bo kogo uderzył, ten musiał się wywrócić. Po przyjsciu na blok na I pietro weszliśmy do wielkiej długiej sali, którą mieliśmy zamieszkiwać. Oprócz sienników i kocy ułożonych w piękną kostkę, na sali nie było żadnych sprzętów. Ustawiono nas w dziesiątkową kolumnę i znowu kazali stać. Alojz oddał nas izbowemu, którym był jego godny naśladowca Ludwik / nazwiska nie pamiętam / z warszawskiego transportu. Ludwik, gdy wpadł w złość, był winnych i niewinnych i tym co miał pod ręką. Staliśmy tak bezczynnie do wieczora, do gongu, godz. 8.m.30. Teraz rozłożono na całej podłodze sienniki i rozdano nam po jednym kocu. Na izbie aż ciemno od tumanów kurzu. O godz. 9-tej drugi gong a z jego uderzeniem światła na bloku gasną, wszystkie okna zamykają i nastaje bezwzględna cisza. Ze względu na szczupłość miejsca, musiało na jednym sienniku spać trzech kolegów. Stłoczeni byliśmy jak śledzie w beczce. Ułożyłem się obok ka. Herra. Całą noc nie podobna było zasnąć, dokuczały nam niemożliwie pchły i brak świeżego powietrza. - O godz. 4-tej rozległ się gong, jako pobudka do wstawania.

W kilku minutach musieliśmy być ubrani, bo drągami i gumami wypędzają nas z bloku. Na sali pozostali jedynie siennikowi, których zadaniem jest ułożyć sienniki i koce w piękną umiarową kostkę. Zostali również podkocowi, których zadaniem było zamieść i umyć podłogę. Od wczoraj od chwili przybycia do obozu nic nie dostaliśmy do jedzenia, głodni jesteśmy jak wilki. O godz. 5-tej udaliśmy się na plac apelowy, gdzie już wszystkie bloki były ustawione do apelu. Po odebraniu apelu i uzgodnieniu stanu liczbowego książkowego ze stanem faktycznym, udali się starsi więźniowie do swych komand pracy. Myśmy jeszcze przydziału do pracy nie dostali i pozostaliśmy na placu apelowym. W obozie nie może przeływać więzień bezczynnie. Na bloku nie wolno nikomu pozostać prócz izbowych - wszystko przy pracy. Dla nas nowicjuszków także obmyślili zajęcia, dali nam "sport". Naszym trenerem jest blokowy Alojz. Ćwiczenia rozpoczynają się biegiem dookoła placu apelowego, następnie padnij i pechowanie po ziemi - przechodzi potem do t.zw. zabki - to znowu kade powstać, ręce podnieść do góry, zamknąć oczy i obracać się w kade. Ten program zmienia co jakiś czas i tak ćwiczy z nami godzinę, drugą i trzecią godzinę. Forsuje nas, opieszających bije drągami, kopie, znęca się. Wokół nas zbiera się kilku SS-manów, którzy pomagają nam i biją nas bezlitośnie, szczególnie słabszych i nie mogących poddać tym nadludzkim wysiłkom. Serce bije mi w nieznanym mi po dziś dzień tempie. Czuję, że mam go w gardle - dusi mnie - brak mi tchu. Jezu! Ratusz! Ratuj mnie! To ciche westchnienie mam stale na ustach. Jeden z kolegów Gąsienica z Zakopanego padł zemdłony. Przynieśli kilka wiader zimnej wody i leją na niego. Gąsienica nie zyskuje przytomności i odnoszą go do szpitala. Z powodu tego wypadku krótka przerwa, mały odpoczynek - ale potem znowu sport. Słowo "sport" jak piękną brzmia dla mnie ten wyraz, którego byłem przez całe życie propagatorem i nauczycielem. A dziś ten "sport" w rękach szaleńca staje się torturą - meczarnią. - Alojzowi pomagają nie tylko SS-mani, ale i capowie, którzy bijąc słabszych potęgują grozę owego "piekielnego turnieju". Na szosie, prowadzącej obok obozu, przystają grupy ludzi i przyglądają się

tym niezwykłym harcom. Jak nam później opowiadano, mówiono, że Niemcy zakładają w Oświęcimiu cyrk i w ten sposób ćwiczą nas na akrobatów. Inny był cel tych ćwiczeń. Celem ich było zakłamanie więźnia tak pod względem fizycznym jak i psychicznym. Przez cierpienia fizyczne odbierano więźniowi jego ducha, łamano siłę woli i urabiano go na potulnego cichego, znoszącego bez krzty opozycji najgorsze szykany, najcięższą pracę. - Do godziny 11-tej trwała ta niezwykła gimnastyka a więc około 5 godzin. Aloiz oddał nas pod kierownictwo jednego z naszych kolegów, aby ćwiczył z nami zakładanie i zdejmowanie czapki. Odetchneliśmy. - Dano nam spokój, ale nie dlatego, że w nas ledwie dusza się plątała, ale dlatego, że sami byli zmęczeni, - a może głodni. Do godziny 12-tej odpoczywaliśmy pod kierownictwem kolegi. Na sygnał gongu ustawiliśmy się znowu do apelu południowego, który zgadzał się i dlatego trwał krótko zaledwie kilka minut. - Po apelu otrzymaliśmy po 34 godzinach pierwszy posiłek w obozie, - 3/4 litra zupy obiadowej. Obiad wypiliśmy, bo nie miałem żąki i to w tempie szybkim, bo miszki należało oddać drugiej partii. Oczywiście przy obiedzie nie obeszło się bez rozbijania głów. Wyczyniał to izbowy Ludwik natrętem, którzy nie zachowywali należytego porządku w czasie wydawania obiadu. Otrzymana ilość zupy tylko zaostrzyła apetyt a tu więcej nic nie daje - należało w siebie wmówić " Jestem syty ". Do godziny 12-tej mieliśmy przerwę obiadową. W czasie tym musiał się odbyć apel i musieliśmy zjeść obiad. O ile zatem dłużej trwał apel, o tyle krócej mieliśmy przerwę obiadową. Bywało i tak, że w południe zupełnie nie otrzymaliśmy obiadu, aż dopiero wieczór. - Po południu podzielono nas na grupy mniejsze i ćwiczyliśmy do apelu wieczornego. Ćwiczyliśmy zwroty w miejscu, krótkie marsze w kolumnie piątkowej, nadto zakładanie i zdejmowanie czapek. Śmieszne były te ćwiczenia z czapkami, których zupełnie nie mieliśmy. Jedną z grup dostałem i ja jako instruktor. Po południu mieliśmy prawdziwy odpoczynek. Jednak ćwiczenia przedpołudniowe, ta straszna meczarnia zmęczyła nas i wyczerpała, że ledwie trzymaliśmy się na nogach. Kilkutygodniowe więzienie, nie-

dostateczne odżywianie, spowodowały, że muskulatura nasza zwiotczała i czuliśmy się na ogół słabi i to było powodem naszego kompletnego wyczerpania. Od godziny 18-tej przychodziła komanda po pracy a o 18 g.30 m. odbył się znowu apel wieczorny. Wszyscy więźniowie ustawiali się na z góry oznaczonych miejscach przy swoich blokach. Do każdego bloku wyznaczony był SS-man, jako tzw. "Blockführer". On odbierał apel od blokowego a następnie składał go "Raportführerowi". Ówczesnym Raportführerem był aaryny ze swych morderstw Palitsch. Liczba więźniów ustawionych do apelu musiała zgadzać się z liczbą podaną przez pisarzy blokowych, na tzw. odprawie, która odbywała się w dwie godziny przed apelem w głównej kancelarii obozowej. Ten mój pierwszy apel wieczorowy zgadzał się, więc trwał krótko. Po apelu nastąpił odmarsz w kolumnie dziesiątkowej, a następnie pojedynczo w tempie biegiem udaliśmy się na blok. Ustawiliśmy się znowu w kolumnę dziesiątkową i podchodząc kolejno otrzymywaliśmy kolacje., składającą się: 40 dkg chleba, 2 dkg margaryny i 1/4 l kawy. Po kolacji wolno nam było usiąść a izbowy i jego zastępca informowali nas, jak należy się zachowywać w obozie, a następnie jeden ze starszych więźniów uczył nas śpiewać po niemiecku: Im Lager Auschwitz war ich zwar - Hoha - ria - hoha - rio. So manche Monat, Tag und Jahr, Hoha - ria - hoha - rio So denkt ich froh, gemuth und gern, An meine Lieben in der Fern. An jeden Morgen in der Fröh Hoha - ria, hoha - rio. Beginnt des Tages Last u. Müh Hoha - ria - hoha - rio. Ob Arbeitsdienst, ob Sport uns zwingt. Doch stets ein frohes Lied erklingt. Doch auch für uns kommt mal die Zeit Hoha-ria, hoha-rio. Wo aus der Schutzhaft wird befreit, Hoha-ria, hoha-rio. Dann werden froh wir heimwärts zien Ganz gleich ob schneits, ob Rosen blühen.

Po śpiewie otrzymaliśmy sienniki i koce i ułożyłem się do snu obok ks. Kerra. udało się nam z księdzem zdobyć ręczniki, które zamaczaliśmy we wodzie i zrobili na kolana kompresy. Po spacerze przedpołudniowym popuchły nam bardzo nogi. Jeden z kolegów oberwał bicie od blokowego za to, że ukleknął do modlitwy, przyczem dowiedzieliśmy się od tego zbrojnego, że niema Boga na świecie - Bogiem jest teraz Hitler. - Wskutek wyczerpania fi-

zycznego, jakoteż i oszabienia, spałem doskonale. Tej nocy nie dokuczają mi pchły i nie odczuwałem braku świeżego powietrza. Znużenie wzięło górę nad wszelkimi dolegliwościami. O godz. 4-tej znowu gong i zaczynamy trzeci dzień w obozie. Nie obmyci, nie ubrani, wybiegamy jak dzikie zwierzęta z klatki i czekamy do czasu zrobienia porządku na izbie. Po apelu pozostaliśmy znowu na miejscu i blokowy zaczął z nami drugi dzień sportu. W dniu tym jednak tempo ćwiczeń zmalało. Alokiz znalazł sobie ofiary, które z powodu oszabienia nie mogły podołać wysiłkom. Bił go, twarzą wymierzał ciosy w łóżadek, a gdy nieszczęśliwie wywrócił się, to go kopał, nie bacząc gdzie. Wielu z kolegów miało podbite oczy, rozbite i pokrwawione wargi. Kol. Dec z Jaska / w rok później zwolniony / ucierpiał z nas może najwięcej. Rozbił mu okulary - pokaleczył go - zdawało się nam, że go na miejscu zabije. - Po apelu wieczornym znowu lekoja " przyzwoitego zachowania się w obozie " i znowu śpiew. Gong - ściele nie sienników - drugi gong - cisza nocna i znowu pobudka i td. itd. Przejścia jednego dnia w obozie niczem nie różniły się od drugiego - trzeciego, czwartego i piątego dnia. Jedynie tylko z każdym dniem, ćwiczenia sportowe były łagodniejsze. Widok zabitego czkowieka przez stał na mnie działano - zdawało mi się, że jestem za życia w piekle. Głębokie przekonanie, że wszystko przetrzymam, silna wiara w zwycięstwo, umacniały mnie na duchu i mimo, że fizycznie czułem się czasami słaby - duch mój ani na moment nie załamwał się a nawet wręcz przeciwnie był co raz silniejszy. Wszelkie cierpienia i trudy znosiłem pogodnie, praca nawet najcięższa nie była dla mnie karą, wykonywałem ją z uśmiechem i zadowoleniem, owszem cieszyło mnie, że mimo podeszłego wieku, dorównuję i w niczym nie ustępuję młodszym. - Starałem się na każdym kroku, aby wypełnić swe obowiązki, aby nie być przydapanym. Skupiłem wszystkie siły, zapomniałem o rodzinie, a stanąłem do walki o utrzymanie życia. Nie paliłem papierosów i o tyle było mi łatwiej, aniżeli kolegom palaczom, którzy za papierosa sprzedawali chleb lub dodatki tłuszczowe. Kolegów, którzy tego rodzaju robili transakcje nazywałem

w oczu samobójcami. Ale to nic nie pomagało - bo cierpienia fizyczne szukały źródeł podniety, szukały narkotyzmu. Ludzie ci ginęli w oczach i po 2 - 3 tygodniach umierali. - Pamiętam, gdy po 4-ro tygodniowym pobycie w obozie wolno nam było napisać list do domu, zrezygnowałem z tego, bo za papier listowy ze znaczkiem trzeba było zapłacić porcję chleba z dodatkiem tłuszczowym. Wiedziałem, że rodzinie zrobię przykrość, że nie dostanie ode mnie wiadomości, ale i to wiedziałem, że 10-krotnie większą przykrość wyrządziłbym im, gdyby wiedzieli, że ten list tak drogo mnie kosztuje. Kupiłem go po terminie pisania listów za kadek chleba i przechowałem do następnego terminu, który zwyczajnie był co dwa tygodnie. Przyglądając się bliżej urządzeniu całego obozu, przyszedłem do przekonania, że zimy w tym obozie i w tych warunkach spędzić nie będziemy. Brak studzien, gdyż było ich zaledwie dwie i jedna pompa do kuchni, brak odpowiednich urządzeń wodociągowych, brak pieców po blokach, brak urządzeń klozetowych, wyrobiło w nas przekonanie, że puszczą nas na zimę. Przemawiało jeszcze za tym to, że w zimie nie będą mogli prowadzić robót budowlanych, a zatem brak będzie dla nas pracy, a za darmo jeść nam nie dadzą.

Tylko pięć dni trwała nasza zaprawa obozowa, gdyż po tym terminie przydzielono nas do różnych komand pracy. Czuliśmy się doprawdy szczęśliwi, gdy choć na dzień wyrwaliśmy się z rąk "krwawego Aloiza". Nie wszyscy Gorliczanie byli ze mną na bloku 17 a w drugą grupę począwszy od litery "L" była na bloku 14 i ci nie mieli blokowego takiego jak my bandytę. Nasza paczka została przydzielona do pracy na tzw. "Industriehof I". Tu pracowaliśmy przy robotach ziemnych. Niwelacja, budowa dróg, zaś w późniejszym terminie rozbiórka i burzenie bazuków, było naszym zajęciem. Prace mieliśmy bardzo ciężką, gdyż do pracy pędzono biciem. Każdy capo był uzbrojony w gruby drąg zazwyczaj stylisko od kilofa lub pałkę gumową i bił kto mu wpadł pod rękę. Z próżnymi taczkami należało biec, zaś z pełnymi iść szybkim krokiem. Lżejsza praca była przy łopacie - ale te były rozchwytywane. Już w kilka dni pracy

na owym "Industriehofie" został ks. Herr w mojej grupie "Vorarbeiterem". Było nam już źlej, ale stale musieliśmy być na baczności, by którego z nas nie przyłapano, że spoczywa i nie pracuje. Zadanie - niczo w dniach zimnych i ślotnych nie trzeba było nas popędzać do pracy, gdyż z konieczności musieliśmy się poruszać, aby nie zmarznąć. Ubiór bowiem, składający się z kalesonów, koszuli, drelichowych spodni i takiej samej bluzy, bez swetra, bez czapki, był niedostateczny. Tragiczny wprost był dla nas dzień ślotny. Mimo największego deszczu nie wälno nam było schować się pod dach - a więc dygotałiśmy od prze-marznięcia. Po takich dniach wielu z naszych kolegów zachorowało na żołądek na t.zw. "Durchfall" biegunkę. Choroba ta, jak osobiście się przekonałem, powstawała z powodu zniebniecia całego organizmu, a więc i organów wewnętrznych, jak żołądka, jelit i w ogóle przewo-dów trawienia. Chory m te przypadłości, musiał wstrzymać się całko-wicie od jedzenia, gdyż w przeciwnym razie nie raz już po tygodniu umierał. Z braku nieodpowiedniej ilości pożywienia, przy cięższej pracy, oraz z braku odpowiedniego ubrania w dniach mroźnych i desz-czowych, spadaliśmy z ciała z dnia na dzień w tempie niezwykle przy-spieszonym. Otrzymywane ilości kalorii w pożywieniu nie pokrywały potrzebnych ilości kalorii do wykonania ciężkiej pracy fizycznej, jakoteż do utrzymania odpowiedniej ciepłoty ciała. Braki musiał or-ganizm czerpać z własnych zasobów. Już po tygodniu straciliśmy pod-sciółkę tłuszczową, a w następnych organizm zaczął zużywać i własną muskulaturę. Z czerstwego, tryskającego zdrowiem osobnika, żyjącego na wolności, zrobił się szkielet, zwany powszechnie w obozie "Mu-zakmanem". Pierwszym objawem owego muzakmanstwa było puchnięcie nóg i ich bezwład, zaś w nocy opuchnięcie twarzy. Po jakimś czasie osob-nik taki tracił władzę w nogach i wywracał się. Wówczas bito go, ko-pano i najczęściej na komandzie zabijano, a do obozu przynoszono trupa. O ile jeszcze żył, wleczono takiego "kolapsa" do szpitala

w obozie, gdzie w parę godzin kończył życie. Pierwszą ofiarą bandytyzmu germańskiego z naszego transportu był śp. Delektta Jacek, asyst. profesor, który zmarł z powodu osłabienia.

Pewnego dnia gruchnęła wiadomość, że 15 listopada zostaną zwolnieni więźniowie polityczni, którzy zostali połapani na ulicach. Pozostaną jedynie przestępcy, którzy zostali do obozu sprowadzeni za wyrokami. Źródło tej wiadomości było tak pewne, że nie podobno było nie wierzyć się tej wiadomości. Liczyliśmy więc od tego czasu tygodnie a potem i dni. Niestety okazało się, że była to bajka, jak wiele wiele innych. Była pewna garstka ludzi w obozie przede wszystkim starszych więźniów w liczbie których i ja byłem, którzy z rozmysłem rozpuszczali między więźniami różne sensacyjne wiadomości, aby słabszych opadających na duchu kolegów pocieszyć. Gdy termin 15 listopada minął, doszła nas wiadomość, że zwolnienia zostały przesunięte na gwiazdkę. Wiadomość pewna, murowana. I znowu liczenie dni i znowu marzenia o wolności. W obozie były zwolnienia. Raz lub dwa razy w tygodniu zwalniano więźniów i to przeważnie z transportów warszawskich. Pamiętam, że w pierwszych dniach listopada 1940 r. zwolniono z naszego bloku 17 a kilku więźniów. Numery ich wyczytano po apelu, gdyż wieczór musieli być ogoleni, wykupani i przygotowani do zwolnienia. Nasz blokowy Alojz ustawił ich przed blokiem w jeden szereg i miał do nich mowę polegalną a wreszcie pyta się ich: "który z was nie otrzymał ode mnie bicia? Wystąpiło kilku kolegów, wielce zadowolonych z nadzieją, że blokowy zapewne ich pochwali za wzorowe zachowania się w obozie. Alojz nie lubił chwalić, ani nikomu przebaczać - przystąpił do nich i po kolei uderzał każdego w twarz z taką siłą, że nasi kładli się jak snopy.

W pierwszych dniach listopada 1940 r. po silnym przeziębieniu z powodu przemoknięcia zachorowałem na "Durchfall". Za radą starszych kolegów więźniów, wstrzymałem się na kilka dni od jedzenia chleba, któ-

ry mi bardzo szkodzik i po tygodniu przeszła mi ta straszna choroba. Jako lekarstwa używałem zwyczajnego węgla drzewnego, który zbierałem na ognisku. W chorobie tej zaczęły mi puchnąć nogi. Była to nagminna choroba wszystkich więźniów źle odżywionych. W nocy schodziła nieco spuchlizna z nóg, ale zato obramiewała twarz. Pod oczyma opuchnięte woreczki a po bokach zwisające opuchłe policzki oto był wygląd 50% więźniów po przespanej nocy.- Straszne były dla nas mroźne i wietrzne poranki listopadowe, gdy wypędzono nas o zmroku po godzinie 4-tej na pole w cienkich ubraniach bez swetrów, bez płaszczy i czapek. Dygotałszy z zimna. Aby nie tracić dużo ciepła zbijaliśmy się do gromady przytulając się jeden do drugiego, by grzać się własnym ciepłem. Zupełnie podobnie jak pszczoły w ulu zebrane na plastrze w porze zimowej. Straszne były dla nas dni listopadowe, w których padał najczęściej deszcz ze śniegiem, gdy przemoknięci do nitki, zmarsznięci do szpiku kości, zgrabiakami z zimna palcami ręk nie mogliśmy utrzymać łopaty - robiliśmy, by pracą się ogrzać i zupełnie nie skostnieć. Wielu z nas nie mogło przetrzymać a więc padali tam, gdzie pracowali. Nie wolno się było niemi zaopiekować, schronić do ciepłego miejsca. Leżeli tam, gdzie padli do wieczora. Po skończonej pracy zbierało się całe komando do odejścia do obozu. Teraz musieli być wszyscy a więc i ci, którzy leżeli. Jeżeli dany biedak żył, bito go i kopano, aby wstał do odejścia, jeżeli jednak i tym nie zdołano go postawić na nogi, zabrano go czterech jego kolegów z danej piątki w ten sposób, że dwóch zabierało jego ręce na swe barki a dwóch trzymało go za nogi. Zwyczajnie w czasie niesienia pościągano z niego ubranie i na pół nagiego wleczono do obozu na plac apelowy. Tak transportowano chorego, gdy jego towarzysze z danej piątki byli zdrowi i mieli jeszcze na tyle sił, aby go nieść. Jeżeli byli słabi, to takiego chorego "Kolapsa" nie nieśli, ale wlekli za sobą. Na placu apelowym zwyczajnie kończył go blokowy, który znowu biciem zmuszał go do stania w kolumnie dziesiątkowej.]

Praca pod gołym niebem, dokuczliwe zimno dni listopadowych, naite choroba tożądka, wykończyły mię w zupełności. Coniżem już ostatkami sił.

Nie upadłem jednak na duchu, nie straciłem ani na moment nadziei, że tu nie umrę. Zacząłem energicznie szukać pracy pod dachem lub też na bloku dostać jaką czynność uboczną, oczywiście poza całodzienną pracą w komandzie i przez to dostać czasami dodatkową zupę obiadową. Na bloku było takich czynności bardzo dużo. Oprócz blokowego, pisarza, izbowych i ich zastępców, byli fryzjerzy, podłogowi, siennikowi, ustępowi, kurytarzowi, miskowi, kotlarze, którzy nosili z kuchni jedzenie a nadto oprócz tych wszystkich na owe czasy, mogę śmiało rzec dygnitarzy, byli pipie papa, blokowego czasem pisarza, a najczęściej capy. Rekrutowali się oni z młodych ładnych chłopców i byli używani do wszystkiego, tylko nie do pracy. Mieli oni tak wielkie przywileje na bloku, jak ich pan. Dygnitarze ci otrzymywali obiady podwójne, a niektórzy tyle porcji ile chcieli. Obiad zatem musiał być tak rozdany szarym więźniom, aby starczyła reszta dla wszystkich funkcjonariuszy blokowych. -- By dostać jaką czynność na bloku, lub otrzymać zajęcie pod dachem, nie wystarczało mieć piękne oczy, lub zdobyć to prośbą, trzeba to sobie było kupić za chleb, tłuszcz, papierosy, lub też mieć znajomych wpływowych kolegów, którzy przez protekcję wyrabiali ci lepsze zajęcia. Ja nie miałem chleba, ani żadnych artykułów żywnościowych, ani nie spotkałem nikogo znajomego w obozie - należało więc szukać innych dróg. Będąc z amatorstwa zamikowanym stolarzem postanowiłem czynić zabiegi, aby dostać się do wariatatu. Rzecz to jednak nie była łatwa. Trzeba było wielkiej protekcji u capy, aby cię zwyczajny szary więźniem wzięli pod dach. Pomógł mi tu jednak kolega Józio Gramatyka z Zakopanego, który pracując jako stolarz, wiedząc, że jest zapotrzebowanie, przedstawił mi się capie. Zapytany jak długo pracowałem jako stolarz, odpowiedziałem bez zająknięcia - przeszło 10 lat. Capo kazał mi następnego dnia zgłosić się w stolarni. Zapomniałem o głodzie, zapomniałem o wszystkich cierpieniach - wstąpiła we mnie nowa energia - nowe życie. Przestane narzekać, nie będę stał na deszczu, obiad otrzymam w stolarni, nie będę stał na apelu w pomoknie, gdyż stolarze byli t.zw. "Kommandiert". Po obiedzie do godziny l-szej odpocznę, mogę się przespać, mogę się czysto umyć, mam czas prze-

szukać bieliznę - bo wszy nam bardzo dokuczają. Doprawdy za wiele szczęścia. Odrodzony na ducha, jakby odmłodzony, pełny nieznannej mi energii życiowej idę następnego ranka do stolarni. Capo kazał wszy stkim nowicjuszom wystąpić i przydzielił każdego z nas do warsztatu stolarskiego, przy którym miało zwykle pracować czterech stolarzy. Dostaję warsztat Nr. 5.. Stoi przy nim trzech kolegów, dwóch młodszych około 22 lat i trzeci około 30 lat. Patrzą na mnie z "podekła" jak na jakiego intruza, bo może który z nich protegował na to miejsce swego przyjaciela a tu przychodzi stary i nieznanym im gościem. Podchodzę do nich witam się z nimi i wycośuwam u nich wielką do mnie nienawiść. Każdy z nich coś dąbie, więc proszę i ja o zajęcie. Dostaniesz zaraz odpowiedzi jeden z najmłodszych moich nowych współtowarzyszy, - a teraz stój jak Użył odpowiedniego soczystego wyrazu. Po jakimś czasie przyszedł do mnie jakiś starszy kolega jak się później przekonałem, był to majster w owej stolarni i dał mi dwie długie deski do taw. fuzowania do sklejenia. Z wprawą rutynowanego 10-letniego mistrza stolarskiego, zakręciłem deskę do warsztatu - oczyszczałem je brzeg strugiem a następnie zacząłem heblować długim heblom wyczułem na sobie wszystkie ślepią - począwszy od capy, - który z oddali obserwował mię, jakoteż owego majstra - moich trzech towarzyszy, jakoteż i innych sąsiadów. Widocznie nadałem się, bo capo i majster odeszli a po ich minie zauważyłem, że są zadowoleni a następnie i moi towarzysze przestali mię obserwować. Egzamin zdałem i wciągnięto mię na listę nie pomocników stolarskich, ale majstrów. Zacząłem nowe życie w owym dla mnie pamiętnym dniu 12 grudnia 1940 r. Dzień ten był bardzo zimny i deszczowy. Ach ! Z jaką dziką rozkoszą strugałem deskę, będąc w ciepłej suchu i nie bity. Doprawdy nie przesadzę, zdawało mi się, że jestem w niebie. Józiovi Gramatyce z Zakopanego składam na tym miejscu serdeczne podziękowanie, za jego pomoc udzieloną mi przy przyjęciu do warsztatu. Może byłbym wcześniej dostał się do warsztatu, gdybym miał okulary - albowiem zaraz w pierwszych dniach pobytu w obozie zgubiłem moje szklki, które z braku kieszeni chowałem w nogawki u kalesonów u dołu je zawią -

zując. Musiałem więc czekać do chwili, aż nadeszła mi nowa szkała z domu, o które pisałem w drugim moim liście. Listy wolno nam było pisać zwyczajnie co dwa tygodnie - chociaż czasami ograniczano nam termin do jednego miesiąca. Niestety treść listu musiała być kłamliwa. Musiałeś biedaku napisać, że jesteś zdrowy, że ci jest dobrze, że lekko pracujesz i.t.d.i.t.d. Wszystko dodatnie nic ujemnego. Tak musieliśmy okłamywać naszych najdroższych przez cały czas pobytu w obozie. Stąd bywały takie przypadki, że rodzina w jednym dniu otrzymywała radosną treść listu a na drugi dzień wiadomość o śmierci. Działo się i tak, że przychodziło najpierw zawiadomienie o śmierci a w parę dni przychodził od niego list. Nie dziwię się więc, że rodzina nie wierzyła o śmierci swych najdroższych. Komentowano to najczęściej tym, że Niemcy umyślnie donoszą o śmierci niektórych więźniów, których następnie wywożą do różnych robót, skąd nie wolno im pisać.

Zawiadomienia o śmierci zwracały również odpowiednią uwagę, że prochy zmarłego można wykupić, po przesłaniu odpowiedniej gotówki. Tu oświadczam, że prochy te, to nie były szczątki danej osoby, lecz były to prochy zebrane najordynarniej kopaną z pod rusztu w krematorium i wsypane do małej paczki. Pamiętam jakiegoś czasu robiliemy w stolarni na zamówienie 2 tys. takich paczek, do których następnie uprzątnięto ilości popiołu z krematorium, z którym nie wiadziiano co zrobić. A zatem rodziny, które sprowadziły szczątki swych najdroższych, niech oddadzą im cześć symboliczną "Nieznanego męczennika" kultury germańskiej a nigdy czcić je jako szczątki swych najdroższych. Niemcy i z tego zrobili sobie dość rentowne przedsięwzięcie. Musimy być szczerzy i przyznać Niemcom, że ich działalność organizacyjna na każdym polu mogłaby być wzorem dla innych narodów. Zgóry określony plan pracy, ustalone codzienne zajęcia więźniów, z góry ustalone racje żywnościowe każdego dnia w tygodniu, zapewniały więźniowi, że to co ma przepisane otrzyma. Oczywiście, że owe racje żywnościowe ulegały w tym długim prawie pięcioletnim okresie czasem wielkim zmianom i to z każdym rokiem na

gorsze. W pierwszych latach w roku 1940 do jesieni 1942 mieliśmy dobre obiady. I tak w niedzielę była zupa na mięsie z ryżem lub inną kaszą ewentualnie z makaronem, w innych dniach fasolowa lub grochowa, kartoflanka, dwa razy w tygodniu zupa "Awo", do której dodawano ziemniaki w kupinach. Trzy lub cztery razy w tygodniu była zupa gotowana na mięsie, a reszta dni na margarynie. Zupy były doskonałe ale niestety za mało. Każdy z nas otrzymywał 3/4 litra a zjadłby najmniej trzy razy tyle. Na kolację otrzymywaliśmy przepisaną ilość chleba 35 do 40 dkg a od roku 1942 były oprócz tego dodatki chlebowe dwa razy w tygodniu ilości 50 do 60 dkg. Do chleba otrzymywaliśmy także dodatek tłuszczowy w niedzielę i środę 5 do 6 dkg kiełbasy, a w poniedziałek łyżka marmelady i ser, wtorek i czwartek margaryna a bardzo rzadko smalec 2 dkg, w piątek margaryna i marmelada, a w sobotę ser. Nadto od roku 1942 otrzymywaliśmy 2 razy w tygodniu dodatkową porcję kiełbasy lub innych wędlin w ilości do 12 dkg. Oprócz tego 1/4 l. kawy lub zielonej herbaty, a we wtorek i piątek na kolację nadto 1/4 litra zupy "Awo" i kartofle w kupinach w ilości 4 do 5 sztuk. Jak widzimy z tego zestawienia była dość duża różnorodność w odżywianiu - lecz raczej były za małe dla więźnia ciężko pracującego.

W pierwszych dniach grudnia zostałem przeniesiony na inny blok Nr.14. Blokowym był Niemiec z czarnym winklem t.zw. "Aso", Associate, zaś jego następcą Ludwik Mrowiec z Radzionki. Ten zbój okazał się godnym następcą byłego mojego blokowego z 17 a. Ludwik bił i znęcał się nad nami zupełnie czasami bez powodu. Najczęściej dawał nam szkołę po drugim gongu. Chodził od izby do izby i swym chrapliwym bardzo niemiłym głosem życzył "Gute Nacht". Biada nam było, gdy Ludwik był nie w humorze i gdy odpowiedzieliśmy jego zdaniem za cicho lub niejednogłośnie. Wówczas na sinnikach sport i bicie gumą, w którą był zawsze uzbrojony. Guma była to rurka gumowa, w której środku był drut żelazny tak giętki jak guma. Po uderzeniu taką gumą następował momentalnie wylew krwawy a nie raz po mocnym uderzeniu tryskała krew. On wraz z blokowym zbili tak jednego

z naszych kolegów, który z głodu wziął z miski jeden ziemniak w łupinie, przeznaczony dla innego więźnia, że na drugi dzień umarł. Bili go obaj na zmianę - bo gdy jeden się zmęczył, bił drugi. Oni obydwaj wykończyli szajkę złodziejską kradnącą chleb kolegom. Z ośmiu członków tej szajki siedmiu zabili w ciągu trzech dni, a jeden tylko przeciерpiął wszystko - nie dali mu rady. Zmógł go dopiero tyfus w roku 1942, na który umarł. Morawiec zabił dyrektora więzienia z Lublina i jednego właściciela ziemskiego. Obu nie pamiętam nazwisk. O tem kim był Morawiec, kogo pozabijał jakimi słowami leży naszą Ojczyznę i swych rodaków, może napisze kolega Kończak Ludwik, który wówczas był moim izbowym. Przypadek zdarzył, że dla mnie osobiście Morawiec był względny. Miał on kolegę w Bieczu, z którym chodził do szkoły i do którego wybierał się w odwiedziny po wojnie. Ze względu że Biecz leży w powiecie gorlickim, mówił, że i o Gorlice zawadzi. O kolego Morawiec - jest już po wojnie, wróciłem do domu i oczekuję twego przybycia do Gorlic i odwiedzenia mnie. Ja jako nauczyciel wychowania fizycznego pokażę ci lepsze metody sportu. Na tym miejscu muszę parę słów poświęcić kolegę Kończakowi, który pomijam, że był dla nas czasami za surowy, był jednak tym unikatem, że pomagał mużdanom. Przez kilka miesięcy dał mi od czasu do czasu zapę obiadową a nawet raz dał mi bochenek chleba. /Na tym miejscu składam ci kolego Kończak serdeczne pozdrowienia /.

W stolarszni czułem się jak w domu. Dzień za dniem upływał mi szybko. Wykonywaliśmy różne prace potrzebne do obozu a najwięcej dla SS-manów. Pamiętam, że robiliśmy raz 12 szafek nocnych. Mój majster przy warstacie, młody chłopak, bardzo niesympatyczny, rozmawiał z nami ale tylko językiem kryminalnym. Będąc osobiście wielkim wrogiem tego języka i nie lubiąc ten sposób wyrażania się, nie mogłem przypodobać się temu młodziścowi, więc przy robieniu tych szafeczek musiałem pokonać wiele cierpkich pigułek. Pewnego dnia zostałem wezwany do mojego caju, którym był Niemiec Artur Balke, więzień B.V.Nr.3. Ten ściągął ze mnie protokół

w sprawie owych szafeczek nocnych. Tu dowiedziałem się, że mieliśmy robić ich 10 sztuk, a nie wiedziałem o tym, że 2 sztuki były przeznaczone na sprzedaż osobistą przez mojego młodszego majstra. Nie pomogły mi tłumaczenia, że o tym nie wiedziałem, zabrakło nam Balke wszystkich czepek na pole i kazano nam wszystkim przez godzinę tarzać się w śniegu po kolana. Zmęczyłem się bardzo i gdy zwróciłem się do capy z prośbą, że nie mogę wykonywać tego forsownego ćwiczenia, oberwałem drapłem po plecach i więcej o kaskę nie prosiłem. Muszę jednak zaznaczyć, że wyrzuciłbym krzywdę Balkemu naświetlając jedynie to zajście w stożniku do mej osoby, gdyż należał on do jednych z najbliższych naszych capów w obozie. Nie mogę go oskarżać za to, że mnie nie uwiertził, bo w obozie więźniów rzadko mówił prawdę, a nadmienić muszę to, że inne capy były nas nie tylko zbik, ale jeszcze zrobił na nas doniesienie do Komendanta obozu, za co czekałaby nas kara S.K. tzw. "Straf Komp."

Zbliża się okres Świąt Bożego Narodzenia, a zarazem i nasz przepowiedziany czas zwolnienia. Ale jakoś jeszcze mało kto o tym mówi, wobec czego przestaliśmy się niepotrzebnie kłócić. Zimą mamy bardzo ostrą. Koledzy pracujący na polu odmrażają ręce, palce u nóg, uszy, nosy - szkowem mróz doskwiera nam bardzo. Nasze władze na bloku chorują na czyśtość naszego ciała. Codziennie rano po gongu o godz. 4-tej musi każdy z nas rozebrać się do połowy, pozostawiając koszulę na bloku i biec na pole pod studnię do mycia się. Tu jednak musi się stać w ogonku, bo kilkaset więźniów z innych bloków musi się umyć. Pod studnią walki o zdobycie odrobiny wody, aby nią zmoczyć twarz i pokazać się blokowemu, że jest się umyłym. Wygodę mieliśmy, gdy był śnieg, gorzej gdy go nie było, a im silniejszy mróz tym gorliwiej nas pilnowano, aby przypadkiem który z nas nie przemycił się nie umyty. Wiedziałem, że biedacy myli się własnym moczem, aby tylko jak najprędzej wrócić na blok do ciepła i nie marznąć pod studnią.

Podobnie jak o czystość naszą, dbano i o czystość bloków. Niech Bóg broni, by na oknach, drzwiach lub piecu, o ile ten był na izbie, zna-

leżono proch. Dostawał chłostę izbowy, a ten za to mścił się na nas. Po-
dłogę zmywano dwa razy dziennie, rano po wstawaniu i w południe po obie-
dzie. Mycie polegało na tym, że wylewano kilka wiader wody, szorowano ją
starymi miotkami, a następnie zbierano wodę do kubków. W ten sposób i tak
często myta podłoga była zawsze mokra i nawet w porze letniej całkowicie
nie wysychała, a cóż dopiero w zimie. Wilgoć była zatem nie do opisania,
po ścianach lała się woda, szyby okien pojedynczych nie były zamrzniete,
ale pokryte grubą warstwą szronu. Sienniki ułożone do spania na podłodze
tak były mokre, że już po paru miesiącach zgniły z wilgoci.

Przed świętami dostałyśmy zezwolenie pisania do domu po ciepłą odzież.
Każdy z nas musiał wysłać do domu list w którym wyszczególnić, co miał
mieć posłane. Wolno było przysłać sweter, szal, rękawice, skarpatki lub
pończochy. Cieszyliśmy się tym niezwykle, bo zimno dawało się nam we zna-
ki. W tydzień po tym zawiadomieniu, wolno nam było znowu pisać listy z de-
nie sieniem o zezwoleniu posyłania nam paczek typnościowych wielkości 1 kg
W tym liście musieliśmy znowu wyszczególnić co wolno nam posłać. Bałam się
że w domu źle zrozumieją ten list i przysła mi wszystkiego po odrobinie,
a mnie bardzo zależało na tkuszczu. Piszę więc list ściśle według przepi-
sów, a w adresie nadawcy podaję między innymi "Halb Kg Speck".

Listy pisane przez nas do domu były jak to już zaznaczyłem kłamliwe -
były jednak nie raz i ciekawe. Jako znający jako tako język niemiecki, pi-
sałem kolegom listy, których treść nie raz była komiczna. Jeden z moich
kolegów pisał zawsze regularnie co dwa tygodnie list takiej lakonicznej
treści: "Liebe Eltern! Ich lebe noch - Herzliche Grüsse" - podpis. Jeden
z kolegów napisał tak do żony: "Liebe Frau! Es gibt nur einen Weg zur
Freiheit und seine Meilensteine heissen: Gehorsam, Fleiss, Ordnung, Sau-
berlichkeit, Nüchternheit, Opfersinn und Liebe zur Vaterland - Jetzt hüffe
ich über diese Meilensteine". Podpis. List odziedziczył, gdyż nie został zwró-
cony. -

Jakkolwiek w stolarni było mi bardzo dobrze, bo nie mokłem na deszczu i

nie marzłem na polu, wskutek jednak codziennego stania na nogach od godz. 4-tej do 20-tej, a nawet i dłużej, zaczęły mi puchnąć nogi. Przez noc opuchnięcie nóg nieco było mniejsze, lecz ku wieczorowi było to samo. Choroba z każdym dniem wzmagająca się tak, że w dniu 22 grudnia 1940r. na dwa dni przed Św. Bożego Narodzenia zaprowadzili mnie koledzy do szpitala. Lekarz dyżurny również więzień, widząc moje opuchnięcie, przyjął mnie bez zastrzeżeń do szpitala. Przyjęcie do szpitala w owym czasie było niezwykle trudne. Trzeba było mieć ponad 39° gorączki, lub być dosłownie pół trupem. Widocznie požądowania godnym był mój stan, skoro nadałem się do szpitala. Przydzielono mi za salę, gdzie leżeli skoro nadałem się do szpitala. Przydzielono mi za salę, gdzie leżeli przeważnie "Durchfalowcy". Pomimo, że na sali były potwierdzone wszystkie okna, smród był nie do zniesienia. Wielu chorych było bowiem tak słabych, że zakatywiali swe potrzeby fizjologiczne pod siebie. Po dwóch dniach leżenia nogi mi skłęśły i czułem się nieco lepiej.

Nadchodzi moje pierwsze święta Bożego Narodzenia, które spędzam w szpitalu. Sądziłem, że na święta otrzymamy lepsze racje żywnościowe i już z góry cieszyliśmy się, że nie będziemy głodni. Tymczasem zawiadliłem się zupełnie. Wieczorem w dniu wigilijnym otrzymaliśmy zwykłą porcję chleba z dodatkiem tłuszczowym. Po rozdaniu tego chleba, nasz izbory zaintonował kolendę: "Wśród nocnej ciszy". - Cichym - drgającym i słabym głosem śpiewamy dalej "Głos się rozchodzi"..... Liczba śpiewających maleje, bo wielu już nie śpiewa, ale cicho płacze, reszta przy tym akompaniamencie kończy kolendę ale tak, że ostatnie jej słowa "Przywitać Pana" odśpiewało już tylko kilku kolegów. Niema między nami ani jednego, któryby nie płakał. W umysłach naszych burza, serce bije w przyspieszonym tempie, oddech szybki, jak przy jakimś zwykłym wysiłku. Oto nasz nastrój wigilijny. Wreszcie ja przerywam tę nastrojową cwałę, siadam na moim sienniku na podłodze i spokojnie głęboko wzduszony mówię: "Koledzy! Dlaczego płaczymy? Nam nie płakać, nie smucić się, ale radować trzeba. Radować się potrzeba, bo jeszcze

mówił: Ten i ów umrze tej nocy, co zwyczajnie trafnie oceniał. Pewnego wieczora zaliczył i mnie do grona najbliższych nieboszczyków. Byłem oburzony i wprost wyprowadzony z równowagi. Odpowiedziałem mu bardzo trywialnie "Ja ci gu...zik umrę ty prędzej nogi wyciągniesz". W odwet za to, postarał się izbowy, że w Nowy Rok wypisano mnie ze szpitala. Ubrany w drelich, głodny i słaby, a nade wszystko wynędzniały, wracam na blok. Tu otrzymuję płaszcz więzienny w niebieskie paski, oraz czapkę. Bóg czuwał nade mną, bowiem otrzymałem z domu pakunek z okryciem zimowym. Ubrany w płaszcz i sweter, oraz ciepły szal, mając na rękach narciarskie rękawice z futerką, a na głowie po raz pierwszy w obozie czapkę, przechadzałem się, aby uzyskać nieco zaprawę do jutrzejszego wymarszu do pracy. Wtem biegnie na mnie jeden z kolegów i zawiadamia, że poszukują mnie na bloku, bowiem nadeszła do mnie paczka żywnościowa. Uradowany spieszę na blok i otrzymuję 1 kg paczuszki, w której było 1/2 kg kruchego ciasta z konfiturą i 1/2 kg słoniny. Brawo. Przeczytałem w domu co napisałem w adresie nadawcy w drugim liście. Ciasto kruche wjadłem z miejsca, a słoninę schowałem za "pazuchę" pod koszulę z obawy, aby mi nie skradziono. Używałem sobie na niej blisko 2 tygodnie, dodając jej po trochu do zupy.

Cudownie zacząłem rok 1941. Wyszedłem ze szpitala ubrałem się ciepło i najadłem się do syta. Minęły święta Bożego Narodzenia, minął Nowy Rok, a z obozu nas nie zwolniono.

Kto chciał obóz przetrwać ten musiał się dożywiać. Dwie do trzech dodatkowych porcji chleba, dwie do trzech obiadowych zup, wystarczało przy dobrym zdrowiu, aby utrzymać się przy życiu. Kto chciał wówczas żyć, nie wolno mu było palić papierosów, gdyż te musiał zdobywać za chleb lub dodatki tłuszczowe.

Już przy założeniu Oświęcimia najlepsze placówki pracy zajęli Polacy. Pracowali oni po różnych magazynach, biurach, w kuchni dla SS-mań w kuchni dla więźniów i.t.d. Pierwszy transport jaki przybył do Oświęcimia w pierwszych dniach czerwca 1940 r. to było 33 Niemców, przenie-

chodzi nieznanym mi kolega, bierze ode mnie chleb, waży go w rękach i w ognieniu oka wykonuje start do biegu i ucieka z całym moim majątkiem. Próbowałem go dogonić, ale niestety był szybszy ode mnie - uciekł. Przynębiony ze łzami w oczach minąłem karcelak, przyrzekając sobie, że więcej nie dam się okraść w tak bezczelny sposób.

W pierwszej połowie stycznia otrzymałem po raz pierwszy przez syłkę pieniądze z domu. Pieniądże wypłacano nam początkowo dwa razy w miesiącu po 10 RM., następnie raz na miesiąc po 20 RM., a w latach 1942 i późniejszych po 40 RM. Mając już gotówkę, mogłem się poratować, kupując chleb lub zupę. Tu znowu trzeba było kombinować i nie kupować żywności zaraz po wypłacie, bo ceny były niejednokrotnie trzy razy wyższe od normalnych, ale należało jakiś czas poczekać, aż kupujących będzie mało z powodu braku gotówki. Łatwo to jednak tak napisać, ale jak to wykonać, gdy bok do boku przysycha z głodu, a w torbie na szyji trzyma się pieniądze. Trochę silnej woli i rozsądku, że za dwa tygodnie z głodu nie umrę, a po tym terminie dam dla mego organizmu trzy razy tyle jak w dzień wypłaty.

Niezależnie od gotówki jaką regularnie otrzymywałem co miesiąc /20 RM./, jeszcze zarabkowałem. Robiłem najczęściej w warsztacie stolarskim szachy, a w porze letniej trepy drewniane. Szachy wykonywałem z drzewa twardego, malując czarnym tuszem, lub czarnym lakierem. Pierwsze wyroby były trochę niedolne, ale po pewnym czasie doszedłem do takiej wprawy, że na ogół bardzo się podobały. Prawie co tydzień lub dwa miałem jeden komplet do sprzedaży. Otrzymywałem za nie dwie porcje chleba, lub 2 do 4 obiadów. W wyrobie trepów drewnianych doszedłem również do wielkiej wprawy. Były one bardzo mocne i ładne. Robiłem je nie tylko dla kolegów więźniów, ale często zamówienia miałem dla żon lub dzieci SS-mańskich. Za trepy uzyskiwałem również 2 do 3 porcji chleba od kolegów. SS-mani pękali mi śle, bo ukradkiem rzucaли mi czasem parę sztuk papierosów. Robienie szachów i trepów w warsztacie było bardzo surowo

zakazane. Nazywano to czarną robotą t.zw. "Schwarz Arbeit" i jeżeli kogoś przyłapano odbierano na robotę, został obity, a nawet z warsztatu wyrzucony. Bóg jeden wie ile nerwów kosztowała mi każda figórka szachowa, lub wykonanie takich tępów. Mimo niezwykłej ostrożności, może aż do przesady, podpadłem kilkakrotnie. Dwa razy zostałem pobity, a jednego razu o mało nie wyrzucono mi z warsztatu. Uratował mi Władziu Kupiec, stolarz z Zakopanego, który wstawił się za mną u cacy.

Pierwsza zima przeżyta w obozie była bardzo mroźna. Ogromna ilość kolegów pracujących na polu podmrażała sobie ręce, nogi, uszy, nosy i dlatego bardzo dużo chorych leżało w szpitalu. Dotychczasowa ilość trzech bloków nie wystarczała na pomieszczenie chorych i dlatego przeznaczono jeszcze na szpital sąsiednie dwa bloki. Z powodu powiększenia szpitala było wielkie zapotrzebowanie lekarzy i sanitariuszy. Mając duże zainteresowanie w tym kierunku zgłosiłem się na sanitariusza i po egzaminie zostałem przyjęty. W pierwszych dniach lutego 1941 roku zacząłem nową karierę w obozie jako sanitariusz. Przydzielono mi jedną salę, na której leżeli chorzy na odmrożenia. Straszny był stan tych ludzi. Trzy złym odżywianiu rany nie tylko się nie goiły, ale z dnia na dzień powiększały się. Niezwykła ilość ropy wyszłała się z tych ran. Pogniły biedakom palce u rąk, nóg, poworzyły się flegmony na całym ciele. Do opatrunków używaliśmy bandażów papierowych, które były niestrawne i po jednej nocy trzeba było je zmieniać. Emród na sali mimo otwierania okien był nie do zniesienia. Całymi dniami bolała mi głowa i jako sanitariusz czułem się bardzo źle. Chciałem wrócić z powrotem do stolarni, lecz zmiana komanda nie była tak łatwa. Dopiero bardzo przykry dla mnie przypadek dopomógł mi do wyrwania się z tego stanowiska. Jeden z chorych na "Durchfall" oddał mi swoją porcję chleba z tym, że po wyderowieniu oddam mu taką samą ilość. Podmówiony jednak przez swych kolegów, następnego dnia zarządek ode mnie zwrotu chleba. Nie pomogły moje wyjaśnienia, że teraz nie mogę mu go oddać, że dostanie wieczór. Zaczął na całe gardło wołać: "Oddaj mi chleb".

Ktoś doniósł o tym blokowemu, bo zawieziano mię do kancelarii i tu niejaki Antoni Kował, pisarz blokowy, wspólnie ze swym przyjacielem / nie znam jego nazwiska / wlepili mi 25 razów styliskiem od kilofo. Nawpół przytomny z odbitymi mięśniami na pośladkach, nie wróciłem więcej do szpitala, lecz udało mi się powtórnie dostać do stolarni. Leczyłem się blisko miesiąc po tym biciu, nie mogąc ani siedzieć, ani leżeć. J

W obozie ani spostrzegłem się gdy z nienacka zostałem napadnięty i obity. Nad porządkiem w obozie czuwało dwóch więźniów t.zw. " Lagerälteste ". Byli nimi w początkach Nr.1. Brodniewicz Bruno i Nr. 23 Wieczorek Leon, obaj Niemcy, ale nazwiska dyktują, że byli polskiego pochodzenia. Raz przechodząc koło Wieczorka, przepisowo ukłoniłem się, a ten zawołał mię do siebie i zbił mię po twarzy.

Utrapieniem naszym był pies wilczur, który szczuty przez swego pana, jednego z SS-manów, rzucał się na więźniów i gryzł ich. Napadł raz i na mnie. Wiedząc jednak o tym, że nie wolno mi krzyczeć, ani bronić się mimo wielkiego bólu, bo pies gryzł mię po udach nóg, ani nie drgnąłem i puścił mię. Tenże pies pokłeczył tak bardzo kolegę Pazurkiewicza, że leczył się z ran przeszło trzy miesiące w szpitalu. Znęcali się nad nami niektórzy SS-mani, bijąc nas bez powodu, ot tak dla sportu. Jeden z nich zapewne był bokserem, bo kogo uderzył, ten leżał na ziemi, jak ścięty z nóg. Ten sam SS-man uderzył mię raz z taką siłą w klatkę piersiową, że nie zdaje sobie sprawy z jaką szybkością wywróciłem się w tył, ale na moje szczęście uderzyłem głową w trawę. Najczęściej można było być napadniętym z nienacka z tyłu. Dostałem kopniaka lub tak silne uderzenie w kark, że musiałem leżeć. Postrachem dla tzw. muzukmanów był S-man Storch. Muzukmanami zwano osobników, wychudzonych, słabych, u których dni życia były policzone. Takich właśnie biedaków dołapywał Storch, chwytając ohydroma rękoma za szyję i dusił tak długo, dopóki ofiara nie straciła przytomności i nie padała na ziemię. Konającego dobijał kopaniem, a jeżeli i to nie pomogło, robił jeden skok ohydroma nogami na klatkę piersiową lub brzuch i powodował u danata śmierć. Ow Storch zwany po -

wszecznie " dusicielem " wskawił się jeszcze przy naszej ewakuacji z Os-
więcimia o czym jeszcze będę pisał.

W stolarni pracowałem do 12 czerwca 1941 r. Za karę, że przykapano mię
na czarnej robocie, to jest robieniu trepów, wyrzucono mię ze stolarni a
na pożegnanie i jako zapłatę za moją roczną pracę oberwałem 5 tygodni bu-
^{1/2}
ków. Urzędowe przeniesienie mię do innej stolarni D.A.W. Deutsche Ausrü-
stungs Werkstätte. Niema złego, coby na dobre nie wyszło, mówi ludowe po-
wiedzenie. Zaledwie kilka dni pracowałem przy warstacie, gdyż nadałem się
jednemu SS-manowi, wieńczechowi nazwiskiem Futzik i ten przydzielił mię
do magazynu narzędzi stolarskich. Od tego czasu przeszło 13 miesięcy by-
łem magazynierem w D.A.W. Wypożyczałem stolarkom narzędzia i to było moje
codzienne zajęcie. Teraz dopiero miałem czas do robienia szachów, tre-
pów, kaset i różnych zabawek, które zamawiali SS-mani.

Od października 1941 roku do lutego 1942, karmiono nas brukwią. Dosta-
waliśmy ją pięć razy tygodniowo. Więźniowie zaczęli bardzo chorować na
biegunkę głodową t.zw. " Durchfall ". Ja dwukrotnie zachorowałem na doł-
dek, ale jakoś cudem potrafiłem się wyzyskać, pomagając sobie moją maj-
sterką.

Szeregi naszych Gorliczan zapiejszały się. Pierwszy zmarł śp. Delekt
Jacek. Następnym był śp. Tadeusz Presz, który umarł na biegunkę. Do gru-
dnia 1940 roku trzymał się doskonale. Przed świętami otrzymał z domu pa-
lankę z ciepłą bielizną. Jego piękne futrzane rękawice budziły zaintere-
sowanie u blokowych i różnych capów, którzy chcieli je od Tadeusza kupić.
Tadeusz sprzedał je za żywność. Był zawsze cichy, spokojny i bardzo uprzej-
my. Tadeziu, zachowaliśmy Cię na zawsze w naszej pamięci.

Zmarł śp. Wacław Cyl, inżynier agronom, przybyły ze wschodniej Mało-
polki, a zamieszkały chwilowo w Bieczu. Zmarł w nocy na naszej izbie
z powodu kompletnego wycieńczenia.

Zginął tragicznie ś.p. Ignacy Mielowski. Mieszkał wówczas na bloku
3-cim, gdzie urzędował jako zastępca blokowego, sławny ze swych okru-
ciostw Emil Bednarek. Jemu nie podobał się Ignas, ponieważ był rzekomo

brudny. Rozebrało go do naga, złożono do długiej muszki w umywalni, odkręcono wszystkie kurki z zimną studzienną wodą i szorowano go ryżowymi szczotkami. Ignas zmarł po trzech dniach, jak później dowiedziałem się na zapalenie opon mózgowych. Składam Ci cześć nasz kochany męczenniku.

Ubył z naszego grona śp. Ludwik Bartusiak z Biecza. Uczęszczał on do gimnazjum gorlickiego. Aresztowany w czasie pierwszej zapłanki w Gorlicach, kładł się zawsze, że jako obywatel amerykański będzie zwolniony. Że śp. Ludwik Bartusiak był o nieprzeciętnych cechach charakteru, zaświadczy fakt, że prawie przez dwa lata w czasie swych studiów sprawował władzę wójta gminy zbiorowej uczniów gorlickiego gimnazjum. Trudów obozowych nie mógł znieść. Zachorował na biegunkę głodową t.zw. "Durchfall" i zmarł w zimie 1941.

Odszedł od nas na zawsze śp. Andrzej Lewicki, student politechniki lwowskiej. Aresztowany 21.VIII. 1940 r. i podobnie jak my wszyscy, skazany został na pobyt w obozach do końca wojny. Śp. Jędrusia znalem od małego dziecka i przebywałem wraz z nim w obozie, aż do czasu jego śmierci. Patrzyłem więc na Jędrusia ucznia, jako jego nauczyciel, patrzyłem na Jędrusia harcerza, jako opiekun i hufcowy drużyn harcerskich patrzyłem na Jędrusia więźnia, jako jego kolega więzień i stwierdzić muszę, że śp. J. Lewicki był młodzieńcem o niezwykłych cechach charakteru. W najcięższych chwilach kiedy należało ratować swoje życie potrafił Jędrus dzielić się z kolegami ostatnim kęsem chleba. Jędrus nie znał kłamstwa i nie potrafił skłamać w chwili, gdy chodziło o jego życie. A było to tak; pracował we fabryce D.A.W. jako przeodownik, mając nadzór nad ośmiu kolegami więźniami. Czyścili podłogi. Razu jednego spotkał ich SS-man odpoczywających, a na zapytanie dlaczego nie pracują, Jędrus odpowiedział: "Dałem ludziom odpoczynek". Rzecz nie spotykana w obozie. W czasie godzin pracy, odpoczynek. Jędrus został pobity i za karę przeniesiony do prac ziemnych. Jędrus przejął się zasadami harcerskimi i owe 10 przykazań harcerskich przeszczepił w swą

duszą i wprowadził ich w czyn. Śp. Andrzej Lewicki winien być wzorem harcerstwa a podobizna jego winna zdobić naszą gorlicką gimnazjalną świetlicę harcerską. Jędrusiu - czuwaj z zaświata nad swoimi młodymi kolegami harcerzami, aby kierowali się w swym życiu twoimi zasadami.

Zmarł śp. Aleksander Pazurkiewicz, prof. gimn. w Gorlicach. Aresztowany również 21.VIII. 1940 na ulicy i wyrokiem sądu gestapa, z tytułu swego zawodowego stanowiska, skazany na pobyt w obozach do końca wojny. Dnia 8 października 1940 przekroczył wraz z całym naszym transportem żelazną bramę piekła oświęcimskiego. Fizycznie bardzo silny i odporny znosił początkowo pogodnie trudy, zimno i głód. Nervowo jednak był za słaby. Często zakamywał się i był zdecydowanym na wszystko. Punktem kulminacyjnym takiego zakamania psychicznego była zima 1943 r., w którym to czasie pogryzł go pies SS-mański, umyślnie go niego poszczuły. Z obozu oświęcimskiego został przeniesiony do obozu w Mauthausen. Poszedł z jednego piekła do drugiego piekła. Przydzielony został do pracy w kamieniołomach w Gusen. Tu nie poddał trudom, zmarł dnia 11 grudnia 1943 r.

Komendantem fabryki D.A.W. " Haupt

Wagner, człowiek niezwykle głupi i dlatego może krzywdy nam nie robił. Pracowało we fabryce wówczas ponad 1000 ludzi. Pracowali również cywili robotnicy, z którymi nasi więźniowie utrzymywali stosunki handlowe. W zamian za złoto i drogie kamienie, które w wielkich ilościach napływały do obozu z nowymi transportami żydów, dawali chleb tłuszcz i papierozy. Władze dowiedziały się o tem i pod surowymi karami, zabronili mieć przy sobie żywność, jakoteż tytoń i papierozy, zapalniczki i zapalaki. Pech chciał, że wybuchł wówczas pożar w D.A.W. z niewiadomych przyczyn, więc przepisy w tym kierunku jeszcze zaostrzyli. Dla postrachu rozstrzelali dwóch więźniów, których rsekomo uznali za winnych pożaru. Pewnego dnia o mało i ja nie naraziłem się. Kupiłem jeden jedyny raz u cywila paczkę tytoniu, którą w celach sprzedaży, z dużym zarobkiem musiałem przenieść do obozu.- Pech chce, że na bramie stał ówczesny " Lagerführer " Seidel. Wybierał on z komand przechodzących przez bramę do

obożu podejrzanych więźniów i oddawał ich SS-manom celem dokonania osobi-
stej rewizji. Między wieloma wyciągnął i mnie. Serce we mnie zamarło, nogi
zadygotały, bo już widziałem się w bunkrze a może i w S.K. Jedyny ratunek
jedyna nadzieja - to ciche błagalne westchnienie do Matki Bożej. Rewido-
wał mnie dość groźny "Unterscharführer, Arbeitdienst" Schoppe. Zaczął
mnie obmacywać po plecach, brzuchu a ja udawałem ze śmiechem, że ram zas-
kotki, tak, że z cimilą, gdy doszedł w rewizji w okolicę krocząc odskoczy-
łem w tył udając, że dłużej nie wytrzymam. Oberwałem tego kopniaka i
puścił mnie. Muszę otwarcie napisać, że mimo bardzo ciężkich przeżyć w obo-
zie należałem do tych szczęśliwców, a może spryciasty, że w wielu wypad-
kach wymigałem się od bardzo ciężkiej kary.

Pewnego razu naraziłem się "Uscha" Kellerowi naszemu "Blockführerowi
dłatego, że rzekomo nie kryłem w kolumnie przy apelu. Keller polecił blo-
kowemu zapisać mój numer i surowo mnie ukarać. Mając numer przyszyty na
marynarce i spodniach nie czekałem, aż go mój blokowy, osławiony Wierzbica
przeczyta, lecz wołałem głośno po niemiecku: "Fünf u. sechzig - drei u. sech-
zig". Podałem numer z całą świadomością fałszywie, czytając go odwrotnie
po polsku i widzę, jak blokowy zaplenuje 6568 zamiast 5636. Wieczorem po
gongu przyszedł na naszą salę składowy z bicia i niezwykłego znęcania się
nad więźniami w Wierzbica, trzymając w ręku grubą gumę i wołał głośno:
"Ihr 6568 wystap". Leżałem już, usłysawszy to nakryłem głowę kocem i
zimny pot ze strachu oblał mnie całego. Wierzbica przeszedł po całej celi,
na której było nas około dwustu więźniów, wołał kilkakrotnie ów numer,
ale nadaremno. Syknął ze złości i rzucił stek strasznych przekleństw pod
adresem poszukiwanego, mówiąc: "ja go znajdę" i wyszedł ze sali. Na
drugi dzień bezpośrednio po gongu ponowił Wierzbica swe poszukiwania.
Słysząc to wyszedłem z bloku, obawiając się, aby mnie nie poznał. Wtem do-
niósł mi jeden z kolegów, który znał tę sprawę, że Wierzbica będzie mnie
poszukiwał przy apelu, a wówczas ja się wyraził "zabije tego"
/użył odpowiednio soczystego wyrazu/. Za pół godziny mamy apel. Co tu

robić, aby nie być poznany, bo z Wierzbicą to nie igraszka. Nie mam ani chwili czasu do stracenia już mam plan. Biegnę pod szpital. Z jednego z bloków niosą trupa do szpitala. Zciągam z niego, na moje szczęście dość dużą marynarkę z jego numerem, ubieram ją na siebie, nie zdejmując swojej, wciskam głęboko czapkę na głowę, zakładam okulary, dobrze się garbię i tak "przefasonowany", staję w zupełnie innym miejscu w kolumnie dziesiątkowej do apelu. Wierzbica chodzi, szuka, porównuje numera, pieni się ze złości i rzucając stek przekleństw pod adresem winowajcy, kończy swe poszukiwania. Odetchnąłem. Zrobiło mi się tak lekko na sercu, czułem się tak dobrze jak gdyby spożyło mnie wielkie szczęście. O tak, było to szczęście. Ominęło mnie co najmniej pięćdziesiąt krwawych razów.

Niedługo po tym miałem znowu taką przygodę. Dostaliśmy na blok po raz pierwszy kółka. Radość wielka, bo każdy będzie miał swe kółko do spania, co prawda jeszcze bez siennika, ale spać będzie sam, może oczyścić się z robactwa. Kółka były trzy piętrowe. Było to w październiku 1941 r. Będąc zmęczonym położyłem się raz w nieświeżą do kółka i naprawiałem sobie ubranie. Zauważył mnie zastępca blokowego niejaki Kremser, Volksdeutscher i cichutko żeby innych również leżących na kółkach nie spłoszyć na miga wyciągał każdego winowajcę na środek bloku. Widząc, że będzie egzekucja, pomalutku wycofuje się niepostrzeżenie w tył między kółka i czekam, aby na wszelki wypadek być nie daleko i aby nie było podejrzenia, że chciałem uciekać, bo dostałbym 10-krotnie wyższą karę. Kremser Franz w wieku około 50 lat, jest niskiego wzrostu, o oczkach małych, obwisłych policzkach, dobrze opaski, oczywiście naszym kosztem. Jest godnym zastępcą swego blokowego Wierzbicy. Po kolei każdemu wymierza gumę po 5 chłost na pośladki. Zbił siedmiu i pyta się, gdzie jest ósmy. Widząc to, że nie zdaje sobie sprawy kto jest tym ósmym przestępcą, niepostrzeżenie znikam poza kółkami, wychodzę z bloku i w ten sposób uniam bicia.

Jeszcze jeden raz miałem szczęście wymknąć się szczęśliwie z rąk owe-

go kata Wierzbicy. A było to tak. W każdą niedzielę po południu mieliśmy t.zw. apel mundurowy. Polegał on na tym, że biednego więźnia oglądał "Lagerälteste", a zwyczajnie blokowy jego następca i pisarz. Trzy pary ślepią wpijały się w postać więźnia, który jak na największe święto ubrany, wyczyszczony, umyty, a co najważniejsze nie obdarty, stawał kolejno jeden za drugim do przeglądu. Bieda ci, jeżeli zauważono, że brakuje ci gusika, albo ubranie jest nie wyczyszczone i nie polatane, dostajesz bicia, lub jakąś inną karę. Znalaziono u mnie drobiny okruchów chleba w kieszeni. Nie przypuszczałem nigdy, że u mnie będzie brzoza kieszenie, wyracając każdą z nich. Zapisałem mój numer i w odosobnieniu wraz z kilku kolegami czekaliśmy do końca apelu zdemarwani, jakąś też karę wymyśli dla nas Wierzbica. Repertuar u niego był bogaty, bo to szczeniako rozkoszujący się ludzkim cierpieniem, to dźwięki zwierza, którego płacz i prośba nie rozcinała, ale owszem podnieca i tym mocniej i więcej rasy bije, im bardziej kto płacze, im bardziej błaga o litość. Rozkazał nam rozebrać się do naga, postawił nas pod otwartym oknem tuż przy ścianie. Stał mieliśmy do wieczornego gongu, a więc przeszło sześć godzin nago przy otwartym oknie i w nieopalonej izbie. Było to w grudniu. Próbowaliśmy ratować się. Wraz ze mną mieszkał na bloku śp. Staś Dubicki, mój uczeń z gimnazjum gurlickiego, nawiasem mówiąc moje sympatia z uwagi na duże wyrobienie sportowe. Staś był bardzo lubianym na bloku i liczył się z nim nawet Wierzbica. A więc apeluję do Stasia i ten skutecznie interweniuje u blokowego, który darował mi karę. Śp. Stasiowi zawdzięczam bardzo dużo. Staś bowiem dożył mi z dwa miesiące oddając mi swoją repety, którą codziennie otrzymywałem z tytułu tego, że dzieliłem obiady. Kochany Staś zginął tragicznie. Zagazowano go wraz z tysiącem kolegów chorych na tyfus plamisty. Mimo wszystkiego dwukrotnie nie uniknąłem kary owego potwora Wierzbicy. Razu jednego między wielu kolegami wyczytano i mój numer i każdemu z nas wymierzał zaleźnię od swego uznania po 5 - 8 - a nawet 10 tagich chłost. Ponieważ byliśmy już w bielźnie, tym boleśnieszka była kara,

Wierzbica karał więźniów czasami sportem. Wynysłał on tak przedziwne ćwiczenia, że niejedynemu znawcy sportu, nie zdobyłby się na to. Czy znane komu jest pęknięcie tyłkiem, bokiem, robienie przewrotów na kamiennej podłodze, chodzenie na czworakach, ale tyłkiem. W czasie takich ćwiczeń Wierzbica urządzał z gumą w rękę i prawidłowe wykonanie ćwiczeń egzekwował biciem. Najulubieńszą zabawą dla niego była zabawa w "tracza". Polegała ona na tym, że dwóch więźniów trzymało na ramionach kolegi, który leżąc na ich barkach na komendę zginał nogi, a wówczas więźniów, który go podtrzymywał od tyłu, musiał przy zginaniu nóg swego kolegi, leżącego mu na ramionach, zbliżyć swą twarz do jego pośladków.

Wierzbica nie bił więźniów, ale katował, Wierzbica nie wymierzał zasłużonej kary, ale znęcał się nad nimi. Wierzbica winien stać w szeregu zbrodniarzy i odpowiadać przed sądem za swe czyny.

Wierzbicę zastępował Kremser Franciszek, będący jego zastępcą. Został on w roku 1942 blokowym i funkcję tę pełnił do dnia ewakuacji Oświęcimia. Jego wyczyny opisywać nie będę, gdyż w moim pamiętniku podaję własne przeżycie i to co widziałem na własne oczy. Jeżeli zaś coś opisuję dla dokładniejszego zobrazowania życia więźnia w Oświęcimiu, to przeważnie powołuję się na osoby. Dla mnie Kremser jako starszy człowiek był względny.

Na bloku 10 a u Wierzbicy spędziłem 2-gie z rzędu Święta Bożego Narodzenia. Na wigilię otrzymaliśmy jak nigdy po całym bochenku chleba i 12.5 dkg. margaryny. Ze względu na nasze ciężkie warunki życiowe i na naszą codzienną walkę o życie już nie byliśmy skłonni do płaczu jak to opisywałem przy spędzeniu pierwszych Świąt Bożego Narodzenia. Nastrój był niezwykle poważny. Po złożeniu sobie życzeń śpiewaliśmy kolędy. W pewnej chwili na salę naszą wchodzi Wierzbica. Składa nam ogólnie życzenia i przemawia do nas w duchu patriotycznym, podkreślając kilkakrotnie swoją Polskość. Zaznaczam, że Wierzbica był "Volksdeutschem" i uważany był w Oświęcimiu jako Niemiec. W czasie jego przemówienia słyszeliśmy dość często pomrówki na znak protestu. Przemawiałem i ja

na temat "kochajmy się". Był to temat umyślnie wybrany dla Wierzbicy. W przemówieniu swym kilkakrotnie dałem mu odczuć, że moje słowa uderzają o niego. Bałem się, że wyciągnie on w stosunku do mnie konsekwencje - ale nie - dał mi spokój.

Po wybuchu wojny Z.S.R.R. z Niemcami 22 czerwca 1941 r. radość ogromna zapanowała w obozie. Cieszyliśmy się, bo byliśmy przekonani, że Niemcy nie pokonają armii czerwonej i ten kolos germański musi się zakłamać. Narody podbite skorzystają z tego, chwycą za broń i zgrotują im nalazłe zapłata. Takie było wówczas nasze rozumowanie w obozie.

Straszne było dla nas rozczarowanie i chodziliśmy niezwykle przygnębieni na wiadomość o sukcesach niemieckich. Będąc jednak głębokiej wiary, że zwycięstwo musi być tam, gdzie przyświeca ideał sprawiedliwości i praworządności - my optymiści do których i ja należałem, nigdy nie wierzyliśmy w zwycięstwo Niemiec. Wierzyliśmy w to, że tych dzikich Bunów 20 wieku, niosących wagkadę całej Europie, torturując, mordując i paląc, spotkać musi zasłużona kara. Dla nich nie powinno być miejsca w Europie. Dzięki Kongo, krajowi żółtej febry i moskitów powinny być dziś siedzibą dla tych morderców.

Już w pierwszych dniach października zaczęli napływać do naszego obozu jeńcy armii czerwonej. Pierwszy transport około 500 ludzi, w którym znajdowały się kobiety i dzieci spotkał straszny los. Zamknięto ich na bloku 11, który stał w sąsiedztwie naszego bloku 10. Okna naszego bloku były pozabijane deskami, abyśmy nie widzieli co się dzieje na tym bloku stracenia. Wprowadzono tam jeszcze około 200-stu chorych ze szpitala. Z wielkim niepokojem śledziliśmy co oni zrobią z tymi ludźmi, gdyż po obozie chodziły różne plotki. Wiedzieliśmy to, że kto przekroczył próg 11. bloku, ten więcej nie wracał. Nie długo czekaliśmy, bo już wieczorem tego dnia zauważono jednego SS-mana, który z maską gazową u boku wchodził na blok 11-ty. Przez dwa dni po tym fakcie blok 11 zamarkł. Nikt na blok nie wchodził, ani nikt bloku nie opuszczał. Teraz wiedzieliśmy co się z nimi stało. Cały transport jeńców armii czerwonej, oraz

około 200 chorych poniosło śmierć przez zatrucie gazem.

Znając dokładnie dzieje obozu, interesując się żywo wszystkimi przejawami jego życia, stwierdzić muszę, że było to pierwsze użycie gazu na terenie Oświęcimia. Po dwóch dniach otwarto blok, a nocą samochodami ciężarowymi wywożono trupy. Do pracy używano robotników cywilnych, których podobno dla zatarcia śladów zastrzelono.

W listopadzie 1941 r. zaczęto masowo przywozić jeńców armii czerwonej. Straszliwie bestialsko obchodzono się z tymi ludźmi. Rozbijano głowy kolbami, łamano żebra, słowem każdy SSman poczynał się do obowiazku znęcania się nad tymi ludźmi. SSmani nie będąc na froncie chcieli na tych niewinnych ofiarach zakosztować krwi. Był to naczynny świadek tych wyczynów i to co opiewają, to nie fantazja, ale fakty. Jeńców wotajnych radzieckich, po wyładowaniu z wagonów kolejowych pędzono do tak zw. "Entwesungskammer" odwesalni, która była nabiszczona około 1 1/2 km. od obozu. Tam każdy jeńca rozbierał się do naga, był strzyżony, golony i kaptany. Odbywało się to wszystko pod gołym niebem. Gdy zakończony te czynności, przetrzymywano jeńców do nocy, a o zmroku, gdy cały obóz był pogrążony we śnie, pędzono ich nago na podwórze bloku 11. Tu czekali do rana na przydzielanie ich do odpowiedniego bloku. Ponieważ tego rodzaju kąpiele odbywały się w listopadzie, trudno opisać co działo się z tymi ludźmi. Jeden jeńca i płacz słyszeliśmy przez całą noc. Każdy jeńca bez względu na stan zdrowia musiał iść do pracy. Skutki owej lodowej kąpiele, prace pod gołym niebem, bez względu na stan zdrowia i zła odżywianie, nie dały na siebie długo czekać. Śmiertelność wśród nich była ogromna. Chorych dobijano na komandach pracy i do obozu po pracy snoszono już tylko trupy. W dniach zimnych i szotnych, których w listopadzie nie brakuje, śmiertelność była tak wielka, że do zwożenia trupów użyto nie raz wszę stkich wozów i pojazdów mechanicznych. Pamiętam, że jednego dnia przywieszono ponad 300 nieboszczyków. Wracając z pracy w D.A.W. widziałem taki obrazek. Na wozie leżało pokotem kilku nastu jeńców. Jeden z nich widać było, że resztkami się dźwignął głowę

w górę, a wówczas przyskoczył SS-man i uderzył go tak mocno kolbą w głowę, że czaszka mu pękła. Ze względu na ogromną ilość nieboszczyków, krematorium nie mogło nadążyć w paleniu ciał i dlatego magazynowano je w piwnicach na bloku 3 i 6-tym. Straszny był to obrazek, gdy ściągano owe trupy w wóz. Zwyczajnie podważano deski, lub drabinki u wozów, trupy spadały na ziemię jak kłody drzewa, a następnie ciągnięto je trzymając za nogi po schodach do piwnicy, lub też wrzucano przez okno.

Jeńców armii radzieckiej przybyło do Oświęcimia w październiku i listopadzie 1941 r. około 11 tysięcy, a pozostało ich w chwili ewakuacji Oświęcimia około 300 - tu.

Codziennie wieczorem byliśmy świadkami wynoszenia zmarłych kolegów do krematorium. Początkowo wynoszono je w trumnach na barkach więźniów. W krematorium zostawiano trupy, a owe trumny odnosili z powrotem po nowy transport. Gdy liczba zgonów wzrosła, wożono trumny na platformie, przerobionej z karawanu zakładu pogrzebowego w Oświęcimiu. Po pewnym czasie trumny uległy zniszczeniu, nie robiono nowych, lecz nieboszczyków przewożono na wozach wyłożonych wysoko deskami. Do takiego wozu ładowano kilkudziesięciu nieboszczyków, których pokrywano kocami. Wieziono tak, jak mięso z rzeźni. Gdy taki wóz wyjeżdżał z bloku 11, całą swą drogę znaczył krwią, która spływała z ciał rozstrzelanych kolegów. Nikt nie towarzyszył zmarłym, nikt za nimi nie płakał, ani się nie rozczulał, bo śmierć wyrwała ich z naszego grona dziś, a jutro może wyrwał nas. Żegnaliśmy ich cichym i potajemnym szeptaniem: "Wieczne odpoczywanie". Ręk jednak nie składaliśmy jak do modlitwy, lecz zaciskali je w pięść, grożąc zemstą.

Moje zajęcia w D.A.W. jako magazyniera zajmowały mi codziennie najwyżej 1/2 godz. czasu. Pracy biurowej miałem bardzo mało, to też wolny czas, jak to już zaznaczyłem, poświęcałem na robienie szachów, trepów, kaset, i t.p. Robiłem jeszcze coś więcej, ale to

czynikiem potajemnie, skrycie, bo za to czekałaby mię niechybnie śmierć. Pisałem na małych kartkach historię Oświęcimia. Czynikiem to dyskretnie nikomu o tym nie mówiąc, bo bałem się nawet najserdeczniejszego przyjaciela, a przyczyny ku temu miałem, co poświadczy następujący fakt. Pewnego dnia wrześniowego, przyszedł po mnie do magazynu D.A.W. goniec z obozu, wzywający mnie natychmiast do " Politycznego ". Tego rodzaju wezwanie miało różne cele: wypuszczenie na wolność, nowe obciążenie i protokół w tej sprawie, nadejście jakiegoś listu o treści nielojalnej i t.p. Zostałem wezwany przed znanego polakożercę Lachmana. Postać mała, prawie że chłopięca, regularne rysy twarzy, o dość łagodnym nawet sympatycznym ujęciu. Z wyglądu zewnętrznego zdawałoby się, że jest to człowiek bardzo dobry a była to hiena, która ani chwili w obozie nie spoczęła, lecz szukała nowych ofiar, świeżej krwi. Był on prawą ręką znanego Grabnera, który przez szereg lat prowadził oddział polityczny. W Poznaniu uczęszczał do gimnazjum i tamże studiował, jedni mówili, że był na Wydziale prawniczym a inni, że ukończył W.S.H.

W pokoju siedzi on sam przed maszyną. Nie patrząc na mnie sprawdza moje personalia. Trzyma w ręku kilka arkuszy papieru zapisanego ówówkiem drobnym pismem i po pewnej chwili pyta mię po polsku : " czy chcielibyście iść do domu?" odpowiadam : " Tak jest ! Moim marzeniem i największym szczęściem byłoby wrócić do domu ". " Dobrze", odpowiada Lachman - " pójdziecie ! Ale wpieryw musicie powiedzieć szczerą prawdę i niczego nie zataić". Mówi dalej wolno, cichutko, spokojnie, ale niezwykle dobitnie, cedząc przez zęby: " Czy wiecie o tym, że wasze dwie najstarsze córki dopomogły przestępcy, który ciężko ranił żołnierza niemieckiego do ucieczki? Że przebrały go w kobiecy strój i tym samym umożliwiły mu ucieczkę. Serce we mnie zamarko, nogi zadygotały, zadrżałem całym, pomyślałem - moje biedne córki zapewne w więzieniu są bite i torturowane, czuję się kompletnie złamany, bo jestem już skończony. Był to jednak tylko ułamek sekundy owej depresji, bo momentalnie z dumnie podniesioną głową, z wielką swobodą i pewnością siebie odpowiadam dość pod-

niesionym głosem: " To nie jest prawda! " . " Moje córki wychowałem tak, że nie miały przede mną tajemnic, zwierzały mi się ze wszystkiego i gdyby coś takiego zrobiły, zapewne byłyby mi o tym powiedziały! Powtarzam: " Nic o tym nie wiem! " Na to Lachman odpowiada cicho i spokojnie, niczym odwrotność mego tupetu i mej pewności. " Tak jest, wy o tym nie wiecie, bo was w domu nie było, byliście nieobecny, gdy to córki robiły! " Po tym jego powiedzeniu byłem dosłownie ścięty z nóg i przekonany, że ten kotr już o wszystkim wie, gdyż rzeczywiście w chwili, gdy ten chłopiec był u nas nie było mię w domu. Łamię się, ale walczę i całym wysiłkiem woli by nie runąć na ziemię zdobywam się na jeszcze butniejszą odpowiedź: " To jest nieprawda i moje córki tego nie zrobiły! ". Po długiej chwili milczenia wstaje Lachman i podniesionym niezwykle pewnym i ironicznym głosem mówi: " Jak to nieprawda, kiedyście o tym opowiadali swym kolegom w obozie i czy teraz także temu zaprzeczycie! " Skończył i patrzył na mnie jak żbik na swą ofiarę, którą trzyma w swych szponach i cieszy się, że za chwilę łopaka będzie jej ciepłą krew. Byłem kompletnie złamany i zrezygnowany. Własny ojciec był zdrajcą swych dzieci, przez niego będą cierpieć. Nie! - To nie do przeżycia! - Czuję, że moje godziny życia są już policzone i nie przeżyję tego. Zrywam się jednak jak ten ranny ptak do ostatniego lotu i udając niczym aktor na scenie zupełną swobodę, spokojnie już niepodniesionym głosem odpowiadam: " Tak jest! Mówiłem o tym w obozie, bo jest tu nas z Gorlic kilkadziesiąt i w wolnych chwilach opowiadamy sobie o różnych rzeczach. Fakt ten pobicia żołnierza niemieckiego przez byłego ucznia gimnazjalnego był znany w całych Gorlicach i nie było to tajemnicą. " Po tym moim oświadczeniu Lachman długo milczał. To milczenie było dla mnie torturą chciałem bowiem, by to wszystko jak najprędzej się skończyło, bo nie mogłem w tym napięciu nerwowym dłużej walczyć ze sobą. Było mi już wszystko jedno, tak lub tak. Po upływie paru minut, które były dla mnie godzinami, Lachman zaczyna mówić spokojnie: " Wzywam was po dobroci, abyście się do wszystkiego przyznali, bo wy w tej sprawie nie jeste-

cie nie winni". Odpowiedziałem stanowczo: " Poza tym co powiedziałem nic nie mam do dodania". Tu Lachman skoczył do mnie groźnie z pięściami, ale widząc moją nieugiętą postawę, nie uderzył mię, zapanował nad sobą i sycząc ze złości rzekł: " My się do was inaczej weźmiemy, wów - czas wszystko powiecie.

Przeczytał mi moje zeznanie i kazał podpisać. Tu miałem z nim znowu sprzeczkę. Napisał bowiem w protokole, że nic nie chcę zeznać. Sprzeciwiłem się temu mówiąc: " Ja chcę zeznać, tylko w tej sprawie nic nie wiem". Ze złością, ale dopisał moją poprawkę. Podpisałem protokół i wyszedłem.

Teraz nastąpiła u mnie reakcja i odprężenie. Do tej chwili podtrzymywałem się siłą woli a teraz po wyjściu klapnąłem. Zesłabłem tak, że nie mogłem utrzymać się na nogach. Na szczęście moje spotkanie znajomych, którzy zaprowadzili mię na blok. Byłem kompletnie złamany. Czułem się tak, jak ten ojciec, który wrócił z pogrzebu swych dzieci. Fakt ten, że ja mimo woli przyczyniłem się do zdrady własnych dzieci, dobijał mię zupełnie. Tak jest. Opowiadałem o tym zajęciu dwom kolegom w obozie, ale to byli moi serdeczni przyjaciele. Czyżby oni mię zdradzili i donieśli do władzy obozowej?! Czyżby ktoś podsłuchał mojego opowiadania i zdradził mię!? Tak! Wiem komu się zwierzałem, pamiętam ich nazwiska, ale nie wiem kto był moim zdrajcą. Oni! Czy też ktoś trzeci! Jest to do dziś dla mnie tajemnicą. Przypuszczałem, że córki moje zostały aresztowane a przypuszczenie to potęgował fakt, iż od 6 tygodni nie miałem z domu listu. Popadłem w wielką depresję psychiczną i czułem się codziennie gorzej. Z dnia na dzień oczekiwałem zamknięcia mię w bunkrze i wyciągania dalszych konsekwencji. Minął jednak jeden tydzień i drugi - sprawa ucichła. Pewnego dnia otrzymałem z domu list a z nim oryginalne podpisy wszystkich moich czterech córek. A więc są w domu nie aresztowane! Uspokoilem się. Stosunek jednak mój do kolegów współwięźniów uległ radykalnej zmianie. Dawniej byłem dla nich szczerzy, wylewny, pomagałem jak tylko mogłem, a teraz byłem zamknięty w so-

bie, najczęściej unikałem kolegów.

Fakt pobicia i zranienia żołnierza niemieckiego miał rzeczywiście miejsce w Libuszy. Żołnierz niemiecki aresztował niejakiego Krzyszkowskiego, który w czasie ściągania zeń protokołu, wykorzystał pewien moment i piszącego protokół uderzył ciężkim biurowym kałamarzem, zaś drugiego pchnął bagnietem, skoczył z okna I piętra i uciekł. Jeden z żołnierzy zdołał za nim strzelić i ranił go w ucho. Na jego szczęście padał wówczas ulewny deszcz i mimo pościgu przy pomocy psów policyjnych nie dał się przyłapać. Do nas do domu rzeczywiście przyszedł, gdyż jedyna z moich córek była jego szkolną koleżanką, lecz był już w stroju kobiecym a więc moje córki skompletowały mu garderobę i udzieliły mu pomocy finansowej. Pierwszą wiadomość do nas przesłał z Muszyny a drugą z Węgier. Jak widać z tego udało się młodemu bohaterowi przedostać za granicę. Drugo jeszcze gestapo poszukiwało go i w związku z tą sprawą aresztowało wiele osób z grona kolegów i rodziny Krzyszkowskiego. Jak później się dowiedziałem, członkowie A.K. wykowili w rzace Ropie topielca, któremu podłożyli papiery i koperty z nazwiskiem Krzyszkowskiego. Dopiero teraz gestapo upewnione, że poszukiwany przestępca nie żyje, zaprzestało dalszych poszukiwań i umorzyło śledztwo.

Aby lepiej poznać obóz i wniknąć w jego najskrytsze tajniki, by u źródła być wtajemniczonym w całą działalność komendy obozu, poznałem różne fałszerstwa, marzyłem, by dostać zajęcie w kancelarii obozowej. Rzecz to nie była łatwa. Trzeba było umieć bardzo biegle po niemiecku.

Począwszy od marca 1942 r. zaczęły do Oświęcimia napływać wielkie transporty żydów z różnych krajów Europy, a tym samym i ilość personelu pracującego po różnych kancelariach musiała być powiększona. Sprzyjało mi niezwykle szczęście i dziwny splot okoliczności, że dostałem zajęcie w głównej kancelarii obozowej, a było to tak: W moim magazynie D.A.W. podpadłem fatalnie. Jeden z SS-manów prosił mię, abym mu zrobił trepy drewniane. Z uwagi, że robienie trepów było surowo za-

kazane, a ja już parokrotnie zostałem przyłapany na tej czarnej robocie, wyszukałem sobie pracownię na strychu, w maleńkiej zagrodzonej komórce. Tam przeniosłem sobie wszystkie potrzebne narzędzia i w wolnych chwilach majstrowałem. Podpatrzył to jeden z młodych kolegów i nie powiadamiając mnie o niczym, coś sobie dźubał w mojej pracowni. Miał pecha. Nakrył go bowiem jeden z SS-manów i zaprowadził go do "Oberstrumfführera" Wagnera, komendanta D.A.W. przynosząc równocześnie jako corpus delicti, moje prawie gotowe trepy i narzędzia stolarskie. Nadomiar złego znaleziono kawałeczek paska, pochodzącego od nart, które całymi wagonami przychodziły do roboty dla pomalowania ich na biało. Awantura więc gotowa. Chłopak tłumaczy się z płaczem, że trepy nie jego, że narzędzia nie jego, nic nie pomaga. Wagner zrobił na chłopczynek meldunek t.j. doniesienie do komendanta obozu. Czeką go kara najmniej 3 miesiące S.K. "Straf Kompanie". Dowiedziawszy się o tym, nie nikomu nie mówiąc, zgłosiłem się doborowolnie do kancelarii Wagnera, i oznajmiłem mu, że znalezione trepy, jako też narzędzia są moje. Nawymyślał mi ów komendant od psów, świń i t.d. i zagroził, że zrobi na mnie doniesienie. W obronę wziął mnie mój bezpośredni przełożony "Rotenführer" Ostrowski, który interweniował u Wagnera, jako też wpływał na owego SS-mana, który zrobił u mnie zamówienie, aby tenże wyjaśnił komendantowi, że trepy robiłem na jego zamówienie. Ten jednak mimo nalegania ze strony i innych SS-manów tego nie zrobił. Sprawa stała się głośna. Ktoś poinformował Wagnera, bo ten nie zrobił na mnie karnego doniesienia. By jednak być konsekwentnym kazał mi oddać magazyn innym więźniom, a po dwóch dniach polecił mi zgłosić się u siebie. Ogłoszono w obozie zapotrzebowanie na pisarzy. Zgłosiłem się do próby pisania, która się udała i w dniu 18 lipca 1942 r. zamiast u Wagnera zgłosiłem się w kancelarii obozowej i rozpocząłem nowe życie. Tu znalazłem zupełnie inne warunki pracy. Znalazłem się w gronie ludzi kulturalnych, tu nie słyszałem żadnych przekleństw, tu nikt nikogo nie bił, nikt nie kradł, słowem odżyłem duchowo. Na 25 pisarzy było zaledwie 2 do 3 Niemców, a reszta to byli Polacy

Nowe zajęcie w głównej kancelarii obozowej, było dla mnie niezwykle cenne jeszcze i dlatego, że teraz dopiero u źródła mogłem poznać jakimi metodami nas gnębili i jakich dokonywali fakszerstw. W kancelarii posiadałem t.zw. "Hauptbuch" księgę główną, do której wpisywałem wszy st - kich więźniów przybyłych do obozu. Ostatni numer wpisany do tej księgi był 202.495. Niezależnie od tego pisaliśmy w osobnej księdze Cyganów, których było ponad 10 tys. i "Erzählungshäftlinge", których liczba również sięgała 10 tys. ludzi. Już sama nazwa wskazuje, że więźniów tych zsyłano w celach wychowawczych. Rekrutowali się oni z cywilnych robotników, którzy za drobne przewinienia skazani zostali na kilkutygodniowy pobyt w obozie.

Z powodu olbrzymich transportów żydowskich, do obozu w Oświęcimiu, nie raz nawet dwóch do trzech pociągów dziennie, których dostarczała policja "Reichs Sicherheits - Haupt - Amt" / R.S.H.A./ wydano od kwietnia 1944 r. zarządzenie, aby żydów tych, zwanych urzędowo żydami transportowymi wpisywano do osobnych ksiąg i otrzymywać będą numerację od A 1 do A 20.000. Po skończeniu tej księgi wpisywać się będzie następane numera B 1 do B 20.000 i t.d. W chwili jednak ewakuacji Oświęcimia zapełniono w komplecie A żydów a w numeracji B doszło do 17.000.

Wielką ilość żydów, którą nie zdołali zagazować, przydzielono do t.zw. "Durchgangstransport" i ci nie otrzymywali numerów. Czekali oni na śmierć, którą ponosili w najbliższym czasie przez zagazowanie, gdy liczba transportów zmalała i obsługa krematoriów oraz komór gazowych była wolniejsza. Stan liczebny tych ludzi wynosił przeciętnie ponad 60.000.

Ilu żydów przyjechało do Oświęcimia i zostało zagazowanych a nie otrzymujących numeracji, tego dokładnie nie wiemy. Ofra ich nie sięga setek tysięcy, ale około 3 milionów. Dokładnie wykazać to może jedynie przyszła statystyka, gdyż więźniowie, którzy pracowali w krematorium zostali zamordowani w Mauthausen a żydzi, którzy pracowali w t.zw. "Sonderkomandzie" w liczbie 200 osób a którzy byli używani przy gazo-

waniu i paleniu trupów, również co jakiś czas zostali zmieniani i mordowani gazem. Sprawa gazowania była utrzymywana w obozie w wielkiej tajemnicy. Więźniom nie wolno było rozmawiać pod karą śmierci. SS-mani zajęci przy krematoriach i gazowaniu podpisywali specjalną zobowiązanie zawarte w 10 punktach, które miały strzec tajemnicy dokonywanych morderstw.

Więźniowie, którzy otrzymywali numer, dostawali również i winkiel, który oznaczał rodzaj więźnia względnie jego przestępstwa. Winkiel był to trójkąt równoboczny o boku 3 do 5 cm, początkowo przyszywany na ubraniu a później malowany na płótnie. Obok winkla był wymalowany czarną farbą lub chemicznym ołówkiem numer więźnia. Więzień mało był znany po nazwisku. Znany był jedynie jako numer i w obozie miał on wartość równoznaczną z wartością martwej liczby.

Więźniowie polityczni t.zw. "Schutzhäftlinge" nosili winkle czerwone. Byli to przeważnie Polacy, Francuzi, Czesi, Jugosłowianie, Holendrzy, Belgijczycy, Rumuni, Grecy. Liczba ich była w obozie największa.

Drugą kategorią więźniów to byli t.zw. B V. "Berufsverbrecher" zawodowi przestępcy i kryminaliści. Nosili oni winkle zielone, byli oni skazani wyrokiem sądu za swe przestępstwa na kilkanaście lat a nawet dożywocie. Byli to przeważnie Niemcy. Ci ludzie byli naszymi capami, przodownikami, blokowymi i.t.d.

Trzecią kategorią więźniów byli P.S.V. "Polizei-Sicherheits-Verwahrung". Nosili oni winkle zielone, lecz szpicem do góry. Byli to przestępcy skazani wyrokami, którzy karę mieli odsiadywać po wojnie a do obozu zostali zesłani do pracy na okres wojny.

Czwartą kategorią więźniów stanowili t.zw. "Associale" /Aso/. Nosili oni czarne winkle. Były to aspołeczne jednostki, które uchylały się od pracy. Winkle czarne otrzymywali również obywatele Radzieccy, których przysyłano do obozu w wielkich transportach od roku 1942.

Piątą kategorią więźniów byli I.B.V. "International-Bibelvorscher-Verein". Byli to więźniowie, którzy zostali aresztowani z tytułu przynależności do sekty religijnej t.zw. "Badacze Pisma Sw.". Żydzi nosili

zamiast winkli gwiazdy żółte-czerwone z boku, których wypisany był nr. Niezależnie od owych odznak nosili niektórzy więźniowie czerwone punkty wymalowane na płótnie a naszyte na piersiach i plecach. Byli to tzw. "Fluchtverdächtig" podejrzani o ucieczkę a aresztowani z tytułu przynależności do organizacyj bojowych. Więźniów tych przydzielano najczęściej do S.K. tzw. "Strafkompanie", gdzie szybko ich kończono a najczęściej rozstrzeliwano. Więźniowie, których przydzielano do S.K. nosili także same punkty, ale koloru czarnego.

Cyganie nosili czarny winkiel a nadto obok numeru mieli wymalowaną literę Z. Mieli oni w obozie osobną numerację. Podobnie jak Żydów, mordowali Niemcy i Cyganów. Mieszkali oni w obozie w Brzezince t.zw. "Birkenau" w oddzielnym odcinku wraz z rodzinami. Śmiertelność u nich była niezwykle wysoka. Ci jednak co nie zdołali umrzeć na tyfus i różne choroby, zostali zagazowani na wiosnę 1944 r. Ogółem otrzymało numery przeszło 10.000 Cyganów, których zaledwie około 500 Cyganów niemieckich wysłano do innych obozów a reszta częściowo poumierzała a w końcu pozostali w liczbie ponad 2500 osób zostali w jednym dniu zagazowani. Strasznie podzielała nas wieść o śmierci tych ludzi. Zdawało się nam, że na skutek stałych niepowodzeń na frontach bojowych zmienia taktykę w stosunku do nas co zresztą zauważyliśmy już od listopada 1943 r. Wiadomość zatem o śmierci Cyganów wróżyła i nam taki sam koniec. Wiem o tym, że Cyganów tracono nie tylko numerowanych, ale gazowano ich w całych transportach bez numerów. Ilu ich zatem zginęło, okryte jest mgłą tajemnicy.

Do obozu w Oświęcimiu należały wszystkie obozy okoliczne, jako to : w Brzezince, w Monowicach, w Jawiszowicach, w Sosnowcu, w Gliwicach itd. Prawie we wszystkich kopalniach węgla i większych fabrykach pracowali więźniowie. Z początkiem roku 1944 podzielono obóz w Oświęcimiu na trzy obozy a mianowicie: obóz w Oświęcimiu, Budach i Babicy był oznaczony Nr.1, obóz w Brzezince Nr.2. a obóz w Monowicach wraz ze wszystkimi obozami w fabrykach i kopalniach Nr.3. Największa ilość więźniów, jaka przebywała w ostatnich latach we wszystkich obozach łącznie z kobietami

wynosiła ponad 140 tysięcy.

W Brzezince znajdowało się 6 wielkich o wysokich kominach krematoriów, w których w ciągu doby spalić można było 20.000 ludzi. Skoro więc do obozu napływało dziennie 2 a nawet po 3 pociągi rodzin żydowskich, krematorium nie podołało w pracy, więc palono ludzi w specjalnych na ten cel przygotowanych rowach. W nocy widzieliśmy wielkie żupy palących się ciał a gdy wiatr zawionął w naszym kierunku, czuliśmy nie do zniesienia smród palących się trupów. Czuliśmy go nie raz kilka dni i mieliśmy go pełno w nosie, gardle, w jedzeniu a nawet w czasie snu mimo przykrycia się z głową.

Już od marca 1942 r. zaczęły do Oświęcimia napływać całe transporty Żydów z różnych krajów Europy. Najpierw przybyli Żydzi słowaccy, potem norwescy, holenderscy, francuscy i.t.d. Straszne były losy tych ludzi. Mężczyzn a czasami i kobiety segregowano, mocne i zdrowe jednostki odsyłano do obozów a słabych, starych i dzieci odprowadzano do komór gazowych i mordowano. Aby odwrócić podejrzenie, że ludzi tych czeka śmierć, obchodzono się z nimi bardzo dobrze. Paniom i starcom podawano krzeszka przy wyśiadaniu, dzieci znoszono na rękach i rozdawano im mleko i słodycze. Następnie pod pretekstem kąpieli kazano im się rozebrać, przygotować ręczniki, mydło i przybory toaletowe. Na korytarzu wejściowym był napis we wszystkich językach europejskich " Do kąpieli ". Gdy czasami nieszczęśliwcy zorientowali się dokąd ich prowadzą, na dany znak wypadało z pobliskiego baraku 200-tu Żydów z t.zw. " Sonderkomanda " z drągami, gumami i z nieludzkim krzykiem i wyciem napędzali cały transport do baraku, gdzie miała odbywać się rzekoma kąpiel. Pierwsze szeregi poznały, że tu nie ma kąpieli, ale cofnąć się nie podobna, bo napływ od tyłu jest taki, że po głowach a cisną się, by jak najprędzej dostać się do owego baraku i uniknąć bicia. Za ostatnim zatrzaśnięto mocne, szczelne drzwi. Gdy już wszyscy byli zamknięci, jeden z więźniów przez maleńki otwór w dachu wkładał puszkę z gazem t.zw. cyklonem. W baraku nieludzkie wycie i płacz który z czasem ustaje, wreszcie kompletna cisza świadczy, że robota skończona. Otwierają okna i drzwi, wentylatory elektryczne oczyszczają powietrze, podjeżdżają wózki i zabierają trupy do krematoriów. Ci, którzy

byli blisko gazu ginęli pierwsi, ale po kątach są jeszcze żywi, męczą się ; za mało mieli gazu, ale praca idzie, w pośpiechu nie czas na sentymenty, więc palą i żywych.

Z niektórych transportów żydowskich, liczących po 4 do 5 tysięcy ludzi wybierano 12-tu - 15-tu lub 20 Żydów przeważnie różnych zawodów a czasami jedynie samych lekarzy, rozdano im papiery listowe i polecono im pisać do swych rodzin. Data listu była oczywiście o 2 do 3 tygodnie późniejsza. Tłumaczyli im to tak, że listy wnet nie odejdą, lecz muszą być cenzurowane. Treść listu była z góry ułożona. "Jestem zdrowy, pracuję lekko, jest mi dobrze i zarabiam pieniądze".

Jak doskonałą mieli Niemcy rozwiniętą propagandę i jak znakomicie potrafili ukrywać swe morderstwa, to świadczy następujący fakt : W maju i czerwcu 1944 r. zaczęto przywozić do obozu ogromne ilości Żydów węgierskich. Mała ich garstka zdrowych i mocnych przeznaczona do pracy przyjeżdżała z humorem do głównego obozu w Oświęcimiu i opowiadała, że ich żony i dzieci pozostały w Brzezince, ale jest im tam bardzo dobrze. Gdyśmy im zwrócili uwagę, że wasze żony i dzieci już nie żyją i zostały zamordowane, nie uwierzyli. Wprawdzie słyszeli już w kraju o gazowaniu Żydów, ale utrzymywali, że jest to propaganda angielska. Uwierzyli dopiero w to gdy i z ich szeregów zaczęto wybierać słabych i chorych na śmierć gazową. Razu jednego cały transport Żydów włoskich zbuntował się i nie chciał iść na gaz. Walkę sprowokowała piękna artystka, Żydówka włoska, która pierwsza rzuciła się na SS-mana Schilingera, znęcającego się po pijanemu nad kobietami, wyrwała mu rewolwer i zastrzeliła go. Za jej przykładem rzucili się i inni do walki, lecz cóż mogli poradzić nadzy z gołymi pięściami, gdy naprzeciw stanęły karabiny maszynowe. Na placu pozostało dużo zabitych, ale i między nimi jeden morderca.

Niezwykle przykre były wybiórki między Żydami ludzi słabych i wychudzonych t.zw. "Muzukmanów" na śmierć gazową. Tego rodzaju wybiórki odbywały się zwykle w sobotę. Dokonywano ich we wszystkich komandach,

w kopalniach i we fabrykach pod pretekstem, że zostaną ci skąbi ludzie wysłani na odpoczynek do Brzezinek. W naszym obozie wybierak na gaz w szpitalu S.D.G. /Sanitäts Dienst Gehilfe / Kläher, a niezależnie od tego wybierali po apelu wieczorowym nie raz przez całą noc Rapport - führerzy. Wybranych ładowano do aut ciężarowych i wywżono wprost do gazu. Dwukrotnie mieliśmy przebiórkę na gaz w całym obozie t.j. i między aryjczykami. Przebiegaliśmy nago przed pijaną komisją złożoną z raportführerów. Po zagazowaniu więźniów, przysyłano do głównej kancelarii obozowej listę, na której wypisane były jedynie numera a w nagłówku 2 skromne litery S.B. Wiedzieliśmy co to znaczy, był to t.zw. "Sonder-Behandlung" i w księgach oraz w kartach ewidencyjnych notowano ich jako zmarłych. Najwyższe nasilenie gazowania Żydów przypadło na drugą połowę roku 1943 do lutego 1944 r. Ginęko wówczas oficjalnie miesięcznie ponad 10.000 więźniów t.j. tych, którzy posiadali numerację.

Z końcem każdego miesiąca robiliśmy w kancelarii statystykę zgonów, która przedstawiała się następująco: w lutym był t.zw. Abgang ponad 12.000 w tym S.B. Sonder Behandlung 10.500
zmarli Żydzi R.S.H.A. 500
zmarli różnych narodowości 993
zmarli na skutek egzekucji 7
Razem : 12.000

Cyfry te podaję w zaokrągleniu setnym, gdyż dziś nie pamiętam szczegółów. Podaję jedynie dla obrazowania jakie raporty odchodziły do Berlina. W cyfrze 12.000 ludzi figurowało 10.500 jako tzw. S.B. i Berlin przyjmował ich jako żywych. Widzimy z tego, że największą ilość zgonów to było S.B. zwane później " Die gesondert unterbrachte Haft - linge". Jak należałoby tłumaczyć to po polsku, tego nie wiem.

Luty 1944 r. był ostatnim miesiącem o najwyższym nasileniu gazowania, gdyż już w marcu wynosił ów "Abgang" 4.500, w kwietniu powyżej 2.000 a w następnych miesiącach były już tylko setki. Z Berlina przy-

szedł wyraźny rozkaz zaprzestania gazowania ludzi, oraz niszczenia wszelkich dokumentów i obiektów, świadczących o straszliwym żniwie śmierci na terenie obozu. Z naszej kartoteki musieliśmy wyszukać wszystkich kolegów zmarłych, musieliśmy oddać wszystkie listy zmarłych, które uległy spaleni. W Brzezince zaczęto burzyć krematoria.

Oprócz tzw. familijnego obozu cygańskiego w Brzezince był jeszcze jeden familijny obóz Żydów z Tersienstadt. Pewnego razu zapowiedziano im, że następnego dnia wyjadą na transport. Kazano im się spakować i być gotowym do odjazdu. Na kolację otrzymali ci ludzie kawę, wyjątkowo słodką z dużą ilością bromu. Skutkiem tego popadli w głęboki sen i na drugi dzień na pół przytomnych i oszołomionych zapędzono do komory gazowej.

K a r y .

Przepisy życia obozowego nie były nigdy drukowane, ani obwieszczane, były jednak każdemu więźniowi doskonale znane. Nowicjusz uczył się żyć w obozie od starszych kolegów, a czasami poznawał lagrowe przepisy, ale na własnej skórze. Przepisy owe były mniej lub więcej surowe, mniej lub więcej przestrzegane, co zależało od nastawienia każdorazowego komendanta obozu. Więzień musiał być czysty a przynajmniej w niedzielę, co tydzień ogolony i na jeden milimetr ostrzyżony. W Mauthausen hp. dokąd dostałem się po ewakuacji Oświęcimia nie strzyżono więźniowi całej głowy, tylko golono mu na głowie ścieżkę od czoła do karku szerokości 5 cm. Nazywaliśmy tę ścieżkę "Lausestrasse". Ubranie musiał być czyste i nie podarte. Na bluzie, płaszczu i spodniach musiał być naszyty winkiel wraz z wyraźnym numerem. Nie wolno było mieć przy sobie noża ani żadnych ostrych narzędzi. Nie wolno było w czasie pracy palić ani jeść. Zakaz gotowania obowiązywał bezwzględnie. Nie wolno było czytać książek pisanych w obcym języku, śpiewać piosenek a nawet na niektórych komandach nie wolno było rozmawiać po polsku. Za utrzymywanie stosunków z osobami cywilnymi i robotnikami cywilnymi, karano bardzo ostro a nawet śmiercią.

Przepisy były przepisami, rygor rygorem, a mimo to robiliśmy to wszystko, czego nie wolno było, byle tylko utrzymać życie a nie dać się przykapać.

Podaję w krótkim zarysie przepisy obowiązujące więźnia. A jakież były jego prawa? Niestety więzień nie miał żadnych praw. Mogłeś być zabity, pobity do utraty przytomności, mogli ci połamać ręce i nogi bez względu na to czy byłeś winny lub niewinny i nie miałeś się komu skarżyć. Było to w latach 1940 - listopada 1943. Za przestępstwa stosowano najrozmaitsze kary, których łagodność lub surowość zależała od każdorazowego komendanta i kierownika obozu. Za jedno i to samo przewinienie np. palenie papierosa lub jedzenie w czasie pracy można było w początkach obozu dostać 3 miesiące S.K. a w czasach późniejszych kopniaka.

Najpospolitszą karą była kara chłosty, stosowana na miejscu przestępstwa lub urzędowo publicznie w czasie apelu. Przestępcę kładziono na długim koźle, w którym nogi miał umocowane, wyznaczony więzień lub SS-man wymierzał mu 25 - 50 lub więcej razów. Rzadko się zdarzało, aby biedak po takiej chłości utrzymał się na nogach gdyż po całym jego ciele spływała strumieniem krew. Karę chłosty zniesiono dopiero w listopadzie 1943 r. i od tego czasu zasadniczo nie wolno było bić więźnia. Dorywczo karano więźnia sportem. Ten rodzaj kary stosowano najczęściej do całego komanda a mniej indywidualnie. Ileż to razy musieliśmy jeść obiad w przysiadzie, całymi godzinami skakać żabką, tarzać się w błocie. Ileż to razy widziało się więźnia stojącego w przysiadzie i trzymającego ogromną brukwią w zębach a dwie w rękach, z ramionami podniesionymi do góry. Bicie po twarzy, karę chłosty, męczenie sportem, stosowali najczęściej bezlitośnie aż do utraty przytomności bezpośredni przełożeni, blokowy, jego zastępca, pisarz, jego zastępca, cała plejada izbowych, korytarzowych, klozetowych, siennikowych, podkorytarzowych, miskowych i.t.d.i.t.d. Nie wiedziałeś gdzie, za co i kto cię pobił, bo uderzenie było tak mocne, że zwyczajnie traciło się przytomność. Jeżeli za przestępstwo było zrobione doniesienie /Straf -

meldung / do władz obozowych, wówczas karę wymierzał pisemnie kierownik obozu. Kara taka była odczytywana więźniowi w niedzielę. Bardzo często zdarzało się, że na danego więźnia zostało zrobione fałszywe doniesienie. Nie pomogły żadne tłumaczenia, ani dowody, biedak musiał być ukarany. Najsurowszą karą było wcielenie więźnia do S.K. "Straf Kompanie" na przeciąg od 4 tygodni do bezterminowego czasu. Przydzielenie do S.K. było zasadniczo równoznaczne z wyrokiem śmierci. W S.K. wykonywano najcięższe prace, w czasie których bito i zabijano. Gdy komando wracało po pracy przynosiło ze sobą kilku a nawet kilkunastu zabitych. Na capów S.K. dawano zwyrodnialców, ludzi, którzy mordowali nie dla obowiązku, lecz dla przyjemności. Pobudzali ich do tego SS-mani. Byłem świadkiem takiego zajścia. Na bramie wejściowej do obozu stoi dyżurny SS-man i zapisuje wychodzące, jako też wykreśla wchodzące komanda po całodziennej pracy. Capo S.K. melduje w bramie: "Hundertdreieunfünzig Häftlinge u. 3 Tote". "Zu wenig" krzyczy dyżurny SS-man. "Ja wohl" odpowiada capo. Zainteresowałem się tą rozmową i skonstatowałem, że na drugi dzień przyniesiono 20 trupów. Jednym z największych morderców w Komandzie S.K. był capo Zimmer Heinz. Opowiadał on, że gdy zabił osiemnastego więźnia powiedział sobie "dość". Więcej nie zabijam i zmienił się radykalnie. Początkowo S.K. mieściło się w oszawionym bloku 11-tym a z końcem roku 1941 przeniesione zostało do Brzezinki. Komando S.K. budowało w roku 1940 betonowe ogrodzenie wokoło obozu. Byliśmy codziennie świadkami strasznych męczarni tych ludzi. Nosili do ogrodzenia pięcio - metrowej długości słupy betonowe z betoniarni nad Sołą do miejsca ogrodzenia. Słup był bardzo ciężki. Niosło go kilkunastu słabych, skatowanych, ledwie trzymających się na nogach więźniów, nad którymi stał capo z grubym drągiem. Słabym i nie mogącym unieść ciężaru więźniom rozbijał głowy, kamał członki i zabijał. Był to obraz prawdziwej "Golgoty".

Jak straszne przeżycia przechodzili ludzie zesłani do S.K. zobrazuje najlepiej list kolegi Józefa Kreta, nauczyciela gimn., który przytaczam w dosłownym brzmieniu :

Staromieście, 7.10. 45.

..... Jeżeli chodzi o fragmenty z życia S.K., w których i o mnie wspominasz, to pozwól, że je przedstawię tak, jak utkwiły w mej pamięci a w szczegółach może różnić się nieco od opisanych przez Ciebie, ewentualnie je uzupełnię. Otóż w czasie pracy w okresie niemiłosiernego głodu, w początkach 1942 r. przechodząca obok naszych żywych szkieletów jakaś pani, położyła pod drzewem nie daleko nas zawinięte w papier cztery kromki chleba i dwie paczki papierosów. Było to w lesie, gdzie robiliśmy pomiary. Nas więźniów było czterech a pilnujących nas SS-manów dwóch. Jeden z nas szybko podjął chleb i wsadził pod bluzę. Dostrzegł to jeden z tych SS-manów, odebrał chleb, ową panią zatrzymał. Natychmiast kazał przerwać pracę. Zbili nas, skopali niemiłosiernie i wraz z tą panią popędzili do obozu. Tu na "Wachstubie" aresztowali tę niewiastę i z miejsca osadzili ją w obozie Oświęcimskim, nas zaś popędzając kolbami, zaprowadzili na blok 11, znany blok śmierci. Tutaj przypadkowo natknęliśmy się na Aumeiera, ówczesnego Lagerführera, który urządził nam od razu mordobicie, poczem kazał nam odmierzyć po 25 rąków. W obecności Aumeiera i Bruna ówczesnego "Lagerälteste" pocięli nam ciało do krwi. Tak zbitych wpakowali nas do bunkra, każdego osobno, gdzieśmy przesiedzieli 15 dni. Jednego dnia rozstrzelali większą niż zwykle ilość więźniów /przeszło 170/ na podwórzu 11 bloku. Wywołali i naszą czwórkę z bunkra na górę. Myśleliśmy, że idziemy na rozstrzelanie bo rozstrzelali po czterech. Tymczasem darowali nam życie, twierdząc, że nim pomrzemy musimy pocierpieć i przesłali nas do S.K. do Brzezinek. Było to równoznaczne z wyrokiem śmierci.

W S.K. były wówczas warunki okropne. Poza tym, że zabijali na miejscu pracy, zabijali również i na bloku. Niezależnie od tego wzywali co dziennie po kilku do politycznego oddziału w Oświęcimiu i ci już więcej do nas nie wracali / poszli do komina /. W tej desperacji jednego, dnia 10 czerwca 1942 grupa więźniów w czasie pracy rzuciła się do ucieczki. Kilku z uciekających zastrzelono, kilkunastu zawrócono, ale

20 uciekło. Pozostałym kazano pokłaskać się w błocie / po ulśnym deszczu/ twarzą do ziemi, a wściekli capowie w liczbie około 30 i SS-mani bili nas bez miłosierdzia kołami. Potem ustawili nas w piątki i bijąc przez całą drogę, pędzili biegiem do obozu. Trupów było sporo. Tutaj o głodzie siedzieliśmy w przysiadzie do późnej nocy, przyczem bili każdego kijami, kto się poruszył. Na drugi dzień tych więźniów, którzy byli oznaczeni czerwonymi kółkami w liczbie około 330 zostawili o głodzie w przysiadzie na podwórzu, zaś resztę do których i ja należałem z czarnymi kółkami około 160 pognali do pracy. Niespodziewanie w południe przyniesiono nas również na blok. Tutaj zastaliśmy naszych kolegów od raną śledzących w przysiadzie a obok nich leżało już 20 trupów świeżo zamordowanych kolegów. Nas bijąc pędzono do bloku, zaś tych 330 omdlałych od bicia i spiekoty skuto drutem ręce w tył i wśród ryków rozjuszonych capów, popędzono bosych na śmierć. Nie wiedzieliśmy czy ich zagazowano, czy rozstrzelano. Później dopiero dowiedzieliśmy się, że w pobliskiej komorze gazowej zakończyli życie.

Co się potem działo z pozostałymi, to trudno wprost opisać. Wśród najwyszukańszych tortur, najokropniejszych męczarni opuszczała codziennie pewna część eskaowców padół płaczu. Łuki wypełniały grupy stale dosypanych do obozu delikwentów. Sposoby uśmiercania były różne. Najwięcej topiono w kałuży, błocie, gnojówce lub latrynie. Robiono sobie przy tym spektakle wesołe: "pływaj jak rak, jak żaba, jak ryba, jak pies, nurkuj" i t.p. Wychylającego się z błota bito pałką w żeb. To znów kładziono murkmanów obok siebie na ziemi a na ich szyjach położono drąg, na którym uciesznie pochwaływały się "zielone capy", dopóki nie udusiły wszystkich. /Zielonymi capami nazywano Niemców, mających zielone winkle./ Najokropniejszych zabijano z miejsca kniplem. Do szpátala chorych nie brano, lecz uśmiercano na bloku. Mordercami byli capowie. Było ich w S.K. niewspółmiernie dużo, ponieważ Komandofführer Mohl każdemu Niemcowi, który karnie wpadał do S.K. dawał prawa capy. Byli to wszyscy zawodowi zbrodniarze, recydywiści, typy sadystyczne i zwyrodniałe. Było ich wtedy około 25-ciu.

Najbardziej torturowali tych, którzy usiłowali w jakikolwiek sposób położyć kres swojemu życiu. Nie raz całe grupki na klęczkach płażały postów /SS-manów/, by ich zastrzelić, lecz ci nie strzelali. Widocznie w S.K. każdy miał zakończyć życie w okrutnych mękach. Największym okrucieństwem odznaczał się capo Dachdecker / ten gruby/ bo było ich dwóch. Kilkakrotnie obić mnie do krwi i powiedział mi, że mnie wnet wykończy. Dlaczego? - Pytam - " Du hast scharfe Augen " - powiada " Du musst krepieren". Inteligentów nie nawidził i gdy zwęszył takiego, zabijał na zimno. Szczególnie znęcał się nad księżmi i wykańczał ich z całą premedytacją. Utkwił mi w pamięci szczególnie dzień jeden, w którym śmierci było obfitsze niż zwykle. Kilku niedobitych kolegów kazali capowie wsadzić do olbrzymiej, leżącej bez dna beczki, służącej na schronienie dla pilnujących nas psów. Było to w czasie przerwy obiadowej. Kazali im wczekać. W kim się tliło jeszcze trochę życia, usiłowaliśmy naśladować szczekanie. Wylano im zupę na ziemię i kazano im wylizywać. Jeden z capów powiada, że jest między wami ksiądz, musi im dać zatem błogosławieństwo na drogę do nieba. Wśród szyderstw i śmiechów przywieźli unierazanego w błocie, męczonę przed chwilą, ledwo postać ludzką przypominającego Salezjanina ks. Józefa Kowalskiego. Ten wdrapał się na beczkę i zbity, obłożony, półnagi, donośnym natchnionym głosem odmówił "Ojcze Nasz" - klęcząc nad dogorywającymi w beczce męczennikami. Wzruszenia naszego nie da się opisać. Capowie drwili i charczeli zwierzęcym śmiechem. W pewnym momencie, tuż przed końcem przerwy obiadowej, zbiega z grobli capo Dachdecker i szuka tego " mit scharfen Augen". Za radą Tadzia Kokesza / z Jasła/ ukryłem głowę w bujnej trawie, gdzieśmy leżeli. Urautował mnie gwizdek na koniec przerwy obiadowej. Po południu nie wykończył mnie, gdyż pracowałem na innym odcinku niż on "działka". Była to sobota. Niedziela była wówczas wolna od pracy. Śmierć czekała mnie zatem w poniedziałek. Śmierć to głupstwo, tylko te męczarnie. W niedzielę stało się coś, co trudno mi sobie zwykłym porządkiem rzeczy wytłumaczyć. Po raz pierwszy zjawił się w S.K. sanitariusz ze szpitala, by zbadać

nas czy niema między nami chorych na tyfus. Mnie już od kilku dni trawiła gorączka, ale takich jak ja było dużo. Sanitariusz mógł wziąć tylko trzech a najwyżej czterech gorączkujących do szpitala. Blokowy rozstrzygnął i z pośród wielu chorych wskazał czterech, którzy mają iść do szpitala a w tej liczbie byłem i ja. Zawdzięczam to koledze Zygmuntowi Szczepankowi z Łodzi, który jako główny magazynier żywnościowy starał się zdobyć dla mnie względy blokowego. Gdyby przy tej selekcji był obecny ów capo Dachdecker, byłbym nie tylko do szpitala nie poszedł ale z pewnością by mię w tę niedzielę zaraz ukatrupił. Gdy nas czterech brano do szpitala, capowie, którzy byli na podwórzu rzucili się na resztę pozostałych chorych i zaczęli ich okrutnie bić. Nie wiem, czy który z nich doczekał się poniedziałku. Po paru dniach już będąc w szpitalu dowiedziałem się, że zamordowano ks. Kowalskiego.

Po owej ucieczce 10 czerwca 1942 widocznie był jakiś "Befehl" z góry co do zamordowania, bo gdyśmy wieźli na wozie mniej niż 10% trupów, to zwykle na bramie była awantura, że za mało zabitych.

Wybacz, że się tak rozwlekłem rozpisałem, ale to dlatego, iż widzę, że na tym Ci zależy. Chciałem więc dla naświetlenia tego dna nędzy, jaką była S.K. dorzucić parę obrazków.....

Józef Kret.

List kolegi Józia podałem w oryginale i pozostawiam go bez komentarzy.

Jedną z bardzo ciężkich kar stosowanych w roku 1940 do 1942 było wieszanie na słupku jedną godzinę, półtorej a nawet dwie, jednorazowo, dwukrotnie a nawet pięciokrotnie. Kara ta polegała na tym, że wiązano ręce w tył i wyciągano je tak wysoko w górę, że więzień zaledwie końcami palców dotykał ziemi. Kara była bardzo bolesna. Denat mdlał, zlewano go wodą a często zdejmowano trupa.

Do bardzo ciężkich kar należała tzw. "Stehzelle" /bunkier/. Więzień był zamykany na noc w małej celi o wymiarze 1 m kwadratowego, do której wtłoczono trzech a nawet czterech więźniów. Musieli oni stać całą noc. Nadmienić należy, że w celi była ogromna wilgoć a po ścianach

łaża się woda. Więzień był karany zależnie od przewinienia trzema, pięcioma, dziesięcioma nocami, które musiał przebyć w bunkrze a w dzień iść do pracy. Pamiętam, że Lagerführer Aumeier skazał pięciu więźniów na sześć tygodni "Stezele". Czterech z nich zmarło tylko jeden odcierpiął karę. Nie wolno było rozłożyć sobie kary dowolnie, lecz musiało się ją odcierpieć w jednym terminie.

Jeżeli zaszedł wypadek, że więźnia z miejsca chciano odosobnić i ukarać, zamykano go do bunkra. Bunkier była to mała cela, w której był jeden koc i gdzie więzień mógł się położyć, zależnie jednak od ilości umieszczonych tam osób. W marcu 1942 roku zamknięto do bunkra całe kommando " Feldmesserów " ponad 40 osób w jednej małej celi. Skutek był taki, że w nocy zmarło wskutek uduszenia 32 więźniów. Między nimi zginął Grabowski Józik kolega z naszego transportu. Zginęli oni za to, że od cywilnej ludności dostali odrobinę chleba.

Do łżejszych kar należała praca w niedzielę, tzw. "Sonntagsstrafarbeit". Polegała na tym, że więzień musiał iść przez kilka niedziel do pracy. Do kar mniej oficjalnych stosowanych dorywczo była tzw. "Blocksperrre lub Lagersperrre". W pierwszym wypadku nie wolno było wychodzić z bloku a przy "Lagersperrre" wszyscy więźniowie musieli pozostać na blokach.

A p e l e .

Jednym z bardzo przykrych obowiązków więźnia było stanie na apelu. W roku 1940 i 1941 mieliśmy trzy apele w ciągu dnia, w roku 1942 i 1943 mieliśmy ich dwa tj. rano i wieczór, a w roku 1944 mieliśmy tylko jeden apel wieczorem. Apel był dlatego przykry, że musieliśmy stać na polu bez względu na stan pogody i zimna. W czasie największej ulewy i najsilniejszego mrozu musieliśmy stać tak długo dopóki nie uzgodniono stanu faktycznego ze stanem liczbowym książkowym. Jeżeli ktoś uciekł, schował się i zaspął, często utopił się w kanale lub gdzieś w ustronnym miejscu powiesił się, staliśmy tak długo, dopóki nie uzgodniono kogo i dlaczego dany więzień jest nieobecny. Normalnie staliśmy około 20 minut, a je-

żeli apel się nie zgadzał, staliśmy nie raz jedną godzinę, dwie, trzy a nawet mieliśmy dwa apele, które przeszły do historii ciężkich przeżyć więźnia.

Pierwszy z nich odbył się dnia 7 lipca 1940., o którym opowiadali mi koledzy, gdyż wówczas mnie jeszcze w obozie nie było. Apel ten był jednym z wielkich morderczych wyczynów ówczesnego "Lagerführera" Fritscha. W dniu tym uciekł z obozu, jak się później okazało kanałem, niejaki Wiejowski z Kołaczy pow. Jasło. Wieczorowy apel zatem nie zgadzał się. Po ustaleniu kogo brakuje, zaczęły się poszukiwania za nieobecnym po całym obozie. Czynili to blokowi, różni capowie i izbowi. Firtsch wydał za rządzenie, że więźniowie będą tak długo stać, dopóki brakującego więźnia żywego lub zmarłego nie dostawią. Więźniowie stali tak bez przerwy od piątku wieczora do niedzieli godziny 15-tej. Nadmienić muszę, że więźniowie byli jedynie tylko w koszulach, gdyż tak wyszli do pracy a większość ich była nawet bez obuwia. W czasie stania nie wolno było szeregów opuszczać, siadać, klęczeć lub dowolnie zmieniać postawę. Potrzeby fizjologiczne zaskatwiano w spodnie. Stanie urozmaicano od czasu do czasu staniem w przysiadzie i trzymaniem rąk podniesionych do góry. Noc była niezwykle zimna. W nocy robiono śledztwo z więźniami, którzy razem z Wiejowskim mieszkali lub pracowali. Od czasu do czasu słychać było jęk badanych, których biciem zmuszano do zeznań. Po niezwykle zimnej nocy nastął upalny dzień. Z powodu wyczerpania więźniowie upadali, których biciem zmuszano do wstawania. Obok placu apelowego stali po blokach SS-mani, którzy przez okna obserwowali więźniów i od czasu do czasu wypadali i bili upatrzonych, tych którzy nie stali przepisowo. Następną noc także chłodna i porywa nowe ofiary. W niedzielę rankiem leży na placu apelowym moc trupów i omdlałych. Na interwencję lekarza obozowego, Fritsch cofnął swe zarządzenie i więźniów rozpuszczono na bloki. Jako pokłosie tego niezwykłego wyczynu Fritscha zebrano z placu apelowego zmarłych i oskabionych ponad 100 osób. Nadmienić wypada, że stan całego obozu wynosił wówczas około 1500 więźniów, był to więc od-

setek niezwykle wysoki.

Drugi taki apel przeżyłem osobiście w listopadzie 1940 roku, również z powodu ucieczki. Staliśmy w czasie zawieruchy śnieżnej z deszczem od południa do godziny 21, a więc około 9 godzin, ubrani jedynie w drelichy bez czapek, bez płaszczy, bez swetrów. Więźniowie ginęli z przemarznięcia. Ze względu na dokuczliwe zimno SS-mani pochowali się po blokach, więc też byliśmy swobodniejsi i różnymi ruchami gimnastycznymi podtrzymywaliśmy temperaturę ciała. Po apelu zebrano ponad 120 zmarłych, zemdlałych i chorych.

Biada temu więźniowi, który spóźnił się na apel, ten nie dochodził żywy na plac apelowy, gdyż po drodze zabito go i przynoszono trupa. Więźniowie kryli się przed pracą i zimnem po różnych dziurach i tam często z oskądzenia zasypiali. Razu jednego po dwugodzinnym szukaniu znaleziono więźnia w trumnie, które leżały obok szpitala a służyły do przenoszenia zmarłych do krematorium. Położył się biedaczysko i zasnął, nie przeczuwając, że w parę godzin będzie w niej leżał, ale już jako nieboszczyk, snem wiecznym. Zabili go zanim przynieśli na plac apelowy.

U c i e c z k i .

Mimo niezwykle drakońskich metod stosowanych tak do uciekinierów, jako też i do reszty pozostałych więźniów w obozie, ucieczki powtarzały się na ogół dość często. Na długi przeraźliwy ryk syrały, oznajmiający ucieczkę, drżeliśmy z przerażenia. Dziwnym zbiegiem okoliczności ucieczki powtarzały się najczęściej we wtorki i doszło już do tego, że dzień ten był dla nas dniem feralnym.

Aby odstraszyć więźniów od ucieczek wymyślali nasi ciemiężyciele najrozmaitsze okrucieństwa do tego stopnia, że w opinii naszej jako więźniów, uciekał z obozu szaleniem. Niestety chęć użycia swobody i wolności brały górę nad wszystkim.

Początkowo po ucieczce gnębili nas stanem na placu apelowym, co pochłaniało dziesiątki ofiar ludzkich, następnie w latach 1941 i 1942

wybierano z tego bloku lub komanda, w którym mieszkał lub pracował uciekinier 12-tu lub 15-tu więźniów, których zamykano do bunkra. Byli oni tak długo zamknięci, dopóki uciekiniera nie znaleziono. Oczywiście - ście to zdarzało się bardzo rzadko, więc ci ludzie ginęli z głodu lub ich strzelano z innymi skazańcami.

Niezależnie od tego ogłosili nam, że jeżeli który więzień ucieknie, zastosują najostrzejsze kary wobec rodziny uciekiniera. Zastrzelą ojca, matkę, braci i siostry a nawet ich sąsiadów. Niestety i to nie skutkowało. Ten, który uciekał ryzykował wszystko.- Niezwykła była ucieczka czterech więźniów w czasie Zielonych Świąt w roku 1942. Trzech przebrało się za oficerów a czwartego skuto kajdanami niby groźnego przestępcę i luksusowym samochodem komendanta obozu w dzień z garażu TWL. "Truppen - Wirtschaft-Lager" z obozu wyjechali. Samochód zniszczyli i porzucili w rowie w odległości 80 km. od obozu.

Z Warszawy nadeszła list do "Lagerkomendanta", w którym przeprasza go, że pozbawili go samochodu, ale piechotą nie wypadało im opuszczać obozu. Znałem ich wszystkich, a tylko jednego z nich pamiętam nazwisko, był nim Bendera Władysław.

Straszne były skutki ucieczki z Brzezinek z S.K. zorganizowanej przez więźniów. Ucieczkę tę opisuje dokładnie kol. Kret w swym liście. Zginęło wówczas kilku Gorliczan a mianowicie: Harcmistrz Chrzęścik Edmund, doskonały organizator i działacz harcerski, zginął Lach Michał zginął Smędowski Władysław leśny z Siar oraz Białoń z Libuszy.

Pełną fantazji była ucieczka czterech więźniów prominentów, między którymi był niezwykle ceniony i lubiany Niemiec "Arbeitsdienst" Otto Küssel. Wraz z nim uciekli Mietek Januszewski również "Arbeitsdienst" dentysta Kuczbara i Banaś. Przejechali oni przez "Postenkette" wozem naładowanym starymi szafami, które rzekomo wieźli do obozu w Brzezinkach. Jako komendant prowadził ich Kuczbara, przebrany za SS-mara. Żołnierz stojący na bramie znał doskonale Otta, więc nie pytał o przepustkę. Odjechali do wsi Budy - gdzie w stodole pozostawili konie a

sami zwiiali. - Niestety w rok później złapano Kuczbarę i Otta w Warszawie w kawiarni w czasie obławy. Kuczbara bronił się strzelając z rewolweru- ubezwładniono go jednak podejściem od tyłu i w więzieniu rozstrzelano. Ottona Küssela przywieziono do Oświęcimia po raz drugi i osadzono w bunkrze. Otto Küssel wstydział się swych rodaków za ich morderstwa i powiedział, że jest "Volksdeutschem Polskim".

Ucieczki Polaków z obozu Oświęcimskiego były prawie zawsze udane. Były one zwyczajnie doskonale opracowane i odbywały się przy pomocy SS-manów, których przekupywano złotem, brylantami lub drogiemi kamieniami. W roku 1943 ucieczka więźnia kosztowała 500 dolarów amerykańskich. Za to można było otrzymać dowód osobisty i być przeprowadzonym przez "Postenkette". Pracując w D.A.W. miałem propozycję ucieczki ze strony jednego SS-mana. Podziękowałem, nie mogłem narażać rodziny i kolegów na śmierć. -

Cudownie ocalonym może się nazwać jeden z kolegów z Brzezinki, który pracując jako tzw. "Kalifaktor" na "Blockführerstubie" przyszedł wcześniej jak zwykle, by zrobić w izbie porządek. Wtem dzwonek telefoniczny- schwyta za słuchawkę ... To telefon z obozu z Oświęcimia. Wiedział ów kolega, co znaczy ów telefon i podyktowane numery. Wzywano tych więźniów, którzy dziś mają być straceni i doprowadzeni z Brzezinki do Oświęcimia. Tego rodzaju telefony odbierał często. Bierze okówek i pisze dyktowane mu wolno i dobitnie numery. Wypisał już cztery, wtem o Jezu! Mój numer! Chce napisać, ale okówka nie utrzymał w ręce, członki straciły władzę. I on dziś będzie rozstrzelany wraz z nimi! Tak spodziewał się tego! Miał na sumieniu ciężkie obciążenie.. Nie upada jednak na duchu, nie łamie się. Zrzuca z nóg płytke buty a ubiera SS-mańskie z cholewami. Ubiera na swoje pasiaste ubranie płaszcz SS-mański - przepasuje pasem, siada na rower i jako żołnierz przejeżdża przez "Postenkette" i ucieka... Szczęść Ci Boże młody chłopcze!

Niezwykle brawurowa, wprost bohaterska była ucieczka z Brzezinek kolegów Cieliczki Romana i Wesółowskiego Jurka. Plan ich ucieczki został zdradzony i Lagerälteste ze szpitala, gdzie pracowali jako sanitariusze

dostał polecenie przyprowadzenia ich na "Blockführerstube". Ze względu na zbliżający się apel wieczorny w "Lagerälteste" miał inne czynności, więc obu zamknął na klucz w izbie, w której mieszkali z tym, że po apelu załatwi się z nimi. Chłopcy przeczuwali dlaczego ich zamykają. Nie mając ani chwili czasu do stracenia, zabierają ze sobą potrzebne rzeczy a Romek ubiera na ręce długie gumowe rękawice, bierze do rąk nożyce do cięcia drutów, wyskakują przez okno i biegną wprost na druty okalające obóz. Na drutach paliło się już światło i przez wszystkie druty przebiega prąd elektryczny o wysokim napięciu. Romek jednak izolowany gumowymi rękawicami z nie ludzką siłą i niebywałą techniką przecina je. Światło gaśnie. Zanim straż zorientowała się ci już przecinają druty na drugim ogrodzeniu. Zaczynają do nich strzelać z dwu sąsiednich budek strażniczych. Wśród gradu kul dopadają do trzeciego ogrodzenia i przecinając je uciekają dalej. Sprzyjał im zbliżający się zmrok, nie dosięgła ich żadna kula. Uciekli. W całym obozie wśród SSmanów i komendantury wielka konsternacja. Z powodu przecięcia przewodów pogasły w całym obozie światła a wtem taka kanonada. Nic innego tylko bunt. Lagerführer zbiera kompanię SS-manów i uzbrojeni w granaty ruszają do obozu. Tu dowiadują się o brawurowej ucieczce. Nie pomogły całonocne poszukiwania SS-manów, którzy w towarzystwie zgraji psów policyjnych tropili uciekinierów. Chłopcy skorzystali z tego zamieszania w obozie, odeszli daleko i udało im się zbiec.

W dniu 31 grudnia 1942 zbiegło z obozu 4 kolegów pracujących w kuchni esmańskiej. Byli to dwaj bracia Kluzowie z Łańcuta oraz dwaj ich kolegi, których nazwisk nie pamiętam. W owym czasie za ucieczkę już nas nie karano i zdawało się, że z tego tytułu nie wyciągają żadnych konsekwencji tak w stosunku do nas, jakoteż i do rodzin. Okazało się jednak, że to nieprawda. - Niemcy zaczęli stosować inne metody. I tak w marcu 1943 sprowadzili do obozu ojca i matkę obu braci i postawili ich na widok publiczny w obozie, obok wielkiej tablicy z napisem: "Oto są rodzice braci Kluzów, którzy zbiegli z obozu. Będą oni tak długo zamknięci w obozie,

dopóki uciekinierzy sami nie zgłoszą się, lub ich nie złapią." Do takich drakońskich metod uciekała się nasza władza, aby odstraszyć więźniów od ucieczki. Trzykrotnie mieliśmy tego rodzaju wystawę w obozie. Raz stał ojciec za syna, a raz stała matka z narzeczoną. Mimo i tego środka ilość ucieczek nie zmniejszała się. Ucieka najczęściej Polaków, Ob. Radzieckich a czasem uciekają i Żydzi. Tych jednak najczęściej wykupują, odprowa - dzają do obozu i bezwzględnie wieszają.

Z powodu co raz częstszych ucieczek postanowiły władze obozowe wywieźć wszystkich Polaków i Rosjan w głąb Niemiec do innych obozów. Przed tego rodzaju wyjazdem broniliśmy się jak tylko mogli, bo więzień przebywający do innego obozu traktowany był jak nowicjusz, zabierano mu wszystko i przydzielany bywał do najcięższych prac. Władze obozowe uprawiały politykę ustawicznego przesiedlania więźniów z jednego obozu do drugiego, utrzymując, że więzień przebywający długo w jednym obozie wyrabia sobie stosunki i jest trudny do wykończenia.

Brawurowy był czyn członków A.K., którzy w przebraniu oficerów niemieckich udali się do obozu w Brzezince, zażądali wydania kilku więźniów, których numera doskonale znali, a których pod pozorem wywiezienia do więzienia, mieli z obozu zabrać. Władze obozowe nie pokapały się i ten sposób kilku kolegów znalazło się na wolności. Raz uciekło kilku kolegów w ubraniach SS-manów i przechodząc koło wsi Budy zażądali służbowo wydania dwu kolegów tamże pracujących. Komandoführerzy nie pokapali się i wszyscy zwiiali szczęśliwie.

W listopadzie 1944 roku uplanowało ucieczkę siedmiu więźniów na szerszą skalę. Przepłacili oni SS-mana szofera "Volksdeutschera" narodowości rumuńskiej, który miał ich wywieźć w pakach poza "Postenkette". Fortworny zdrajca zamiast wywieźć ich za druty, oddał ich w ręce władzy obozowej. Siedmiu młodych chłopców, zbitych i skatowanych, zamiast na wolności, znalazło się w bunkrze. Dwóch z nich a mianowicie Cesium Dużel i Reinoch Zbyszek, artysta rzeźbiarz, obaj z Krakowa, otruli się w więzieniu a pięciu skazano na karę śmierci przez powieszenie. Szubienice

poczęto budować 29 grudnia 1944 i z niewiadomych powodów przed apelem na oczach nas wszystkich rozebrano ją. Sędziliśmy, że skazańcy zostali ukaszkawieni. Tymczasem na drugi dzień, tuż przed apelem postawiono ją powtórnie i przystąpiono do egzekucji. Na oczach całego obozu Rapportführer Kaduk wyprowadził straceńców z bunkra i bijąc ich drągiem, biegiem ustawił ich przed szubienicą. Gdy ówczesny "Lagerführer" Hessler odczytywał im wyrok śmierci, krzyknął Swierczyna Bernard z całej piersi: "Niech żyje Polska! Niech żyją nasze rodziny! Powtórzyl to samo krakowianin Piąty Piotr i rozległo się po raz drugi i trzeci: "Niech żyje! Niech żyje Polska !!! Porwani okrzykiem trzech pozostali skazańcy, którymi byli Niemcy zaczęli wołać: "Nieder mit braunem Terror!!! Nieder mit dem Hitlermorder!!! Es lebe Stalin!!! Es lebe Kommunismus!

Skoczył między nich bydle Kaduk i rękojęścią rewolweru bije skazańców po głowie. Hessler ponagla oprawców, którymi byli do tego celu wyznaczeni Żydzi, aby jak najprędzej wykonali wyrok. Skazańcy bronią się. Na całym obóz rozlega się donośnie: " Niech żyje! Nieder!__ Nieder!.. Es lebe!.. Już wisieli skazańcy a jeszcze z ich ust wydobywał się już nie zrozumiały głos.....

Był to głos pomsty wstającej do nieba!...

Zawisło na szubienicy pięć ofiar nacjonalizmu hitlerowskiego, pięciu ideowców. Z głów tylko spływała im krew, co było dziełem potwora Kaduka. Tych trzech Niemców nazywano się: Vesely, Ludwig, Burger Ernst, Frymel Heinz. -

Ów Frymel ożenił się przed pół rokiem, jako więzień. Żoną jego była piękna bruneta, hiszpanka. Był to jeden jedyny wypadek, aby więzień zamknięty w obozie żenił się. W dzień ślubu wydano mu jego cywilne ubranie i pod strażą odprowadzono przyszłych małżonków do urzędu w mieście Oświęcimiu. Po ślubie przyprowadzono młodą parę do obozu i umieszczono ich w apartamentach bloku 24 a, gdzie mieściły się pokoje, najordynarniejszego, jaki może istnieć na świecie, domu rozpusty. Bogdanki z owego domu dzień przed tym usunięto. Młoda para pozostała tam do następnego dnia .

Małżonkę opuszczającego męża a zarazem i obóz żegnali więźniowie owacyjnie. Krótka żyli ze sobą małżonkowie. Po 24 godzinnym pożyciu rozłączył ich obóz a w niespełna pół roku tragiczna śmierć rozerwała na zawsze ów niezwykle związek małżeński.

Z końcem listopada, kiedy w obozie była już zaledwie garstka Polaków, związo znowu czterech więźniów. Piwiorotto z Rzeszowa, Kokoszyński Władysław i dwu ostatnich nazwisk nie pamiętam.

Ogółem od początku istnienia obozu w Oświęcimiu uciekło ponad 400 więźniów, z czego około 180 złapano a reszta używała złotej wolności.

E g z e k u c j e .

Straszne były dla nas egzekucje zwane po obozowemu rozwałkami. W roku 1940 i 1941 zabierano skazańców rano z bloku i po sprawdzeniu ich personalii, przenoszono na blok 11. Wieczorem przed apelem wprowadzano ich do ogromnego dołu, gdzie kopano piasek i szuter do tzw. "Kiesgrube". W około dołu na brzegach ustawiali się SS-mani i na komendę oddawali salwę do skazańców. Po takiej salwie słyszeliśmy już tylko pojedyncze strzały. To ówczesny Rapportführer Palitsch dobijał z rewolweru tych, którzy jeszcze żyli. Egzekucje takie odbywały się kilka razy w tygodniu w większej lub mniejszej masie. Zazwyczaj z okazji uroczystości narodowych, jako to święta 3 Maja, 11 listopada, a nawet 29 Czerwca z okazji imienin Gen. Władysława Sikorskiego, tracono po kilkudziesięciu Polaków. Jak później przesławałem się z dokumentów prawie wszystkie egzekucje odbywały się na rozkaz i polecenie gestapa. Wyroki śmierci dyktowali, ówczesny szef "Oddziału politycznego" Grabner, a pomocni mu byli Woźnica, Lachman i Boger. Tych czterech morderców pławiło się we krwi niewinnych skazańców. Ze działań ci zbrodniarze na własną rękę, zaświadczy fakt, że więźniów przez nich straconych w latach 1940, 1941 do lutego 1942, prowadzono w ewidencji, jako tzw. "Uberstellt" a nie " Gestorben". "Uberstellt" oznaczało przeniesienie więźnia do innego obozu. Taką odnotację otrzymywali wszyscy straceni w tym czasie w księdze głównej i w kartotece. Nawet do Berlina wysyłano raporty tej samej treści.

W sierpniu 1941 r. zebrano w Oświęcimiu wszystkich inwalidów, a więc ludzi ułomnych, bez rąk i nóg, chorych chronicznie, gruźlików i tp. pod pozorem wysłania ich do obozu innego, celem wyleczenia ich i użycia do cięższej pracy. Do tego transportu zgłosiło się dość dużo nawet ludzi zdrowych, łudząc się, że będą ciężko pracować. Wyjechało od nas z obozu 300 więźniów, między którymi był jeden gorliczanin z mego transportu Węgrzyński Józef, chory wówczas na zapalenie nerek; jak dowiedzieliśmy się później, wywieziono ich do Drezna, gdzie ich zagazowano.

Z uwagi na to, że egzekucje wykonywano w dołach przez dużą grupę SS-manów, były za głośne i szeroko komentowane przez radio zagraniczne, postanowili ci mordercy działać skrycie. Od września czy też października 1941 r. mordowano skazańców już tylko wyłącznie na podwórzu bloku 11 i to nie z broni palnej, lecz z pistoletu iglicowego, jakiego używali w rzeźni do bicia bydła. Na rozkaz musieli się skazańcy rozebrać do naga na korytarzu i oczekiwać do chwili wyczytania ich numerów. Do wyczytanego skazańca podchodził niejaki Jakub, chwycił jednego a czasami dwóch a nawet i czterech i wyprowadzał na podwórze. Tu strzelał skazańców w tył głowy każdorazowy "Rapportführer", lub jego zastępca. Pistoletu iglicowego używano zaledwie z pół roku, gdyż często się psuł i oddawano go do reperaturacji warsztatowi ślusarskim. Pracując obok w stolarni miałem sposobność oglądać to narzędzie zbrodni. W czasach późniejszych i aż do ostatnich dni Oświęcimia wykonywano egzekucje, już tylko z broni palnej, z floberkami. Na bloku 11-tym wykonywano je do października 1944 roku, a potem skazańców tracono już tylko wyłącznie w Brzezince, dokąd wywożono ich od nas karetką więzienną. Tego rodzaju karetki więzienne, były bardzo szczelne i miały urządzenie do gazowania ludzi w karetkach zamkniętych. Urządzenia do gazowania wykonywano w warsztatach samochodowych "Fahrbereitschaft - Kommando".

Ów Jakub, pomocnik egzekucyjny zwał się Kozielczyk lub Kozolczyk, Żyd analfabeta, o niezwykłej sile. Jeżeli skazaniec opierał się przed egzekucją, wówczas chwycony w szpony Jakuba nie mógł nawet myśleć o oporze,

gdyż Jakub momentalnie łamał mu ręce, lub wykręcał stawy. Że Jakub był silny, świadczy fakt, iż był trenerem Schmerlinga, owego boksera światowej sławy. Jak z jednej strony ów Jakub był nieubłagalnym w stosunku do skazańca, tak z drugiej strony czynił bardzo wiele dobrego dla kolegów siedzących po bunkrach na bloku 11-tym. Przez Jakuba można im było podać chleb, papierosy, lub gryps. Blok 11 był zawsze pilnie strzeżony przez służbę SS-manów dzień i noc tak, iż były ogromne trudności kontaktowania się z kolegami tam siedzącymi. Jedynie przez Jakuba można się było z nimi porozumieć. Jakub urzędował na bloku 11-tym, aż do ostatnich dni Oświęcimia. Opowiadają, że więźniarkom zabrano go do Wrocławia i po drodze zagazowano. Jakub przeczuwał śmierć, bo jak mówił: za dużo widział, ale mówił że siłą go nie wezmą chyba tylko podstępem.

Wszelkiego rodzaju egzekucje były dwojaki a mianowicie: urzędowe, zatwierdzone przez Berlin i nieoficjalne, robione na własną rękę za wyrokiem Gestapo lub też obozowych władz. Jakiego rodzaju była egzekucja wiezieliśmy najdokładniej, gdyż listę osób straconych za wyrokiem Berlina robiła kancelaria obozowa, zaś straceni nieoficjalnie na własną rękę byli umieszczani na liście osób zmarłych naturalną śmiercią w szpitalu. Spisywano fałszywe meldunki śmierci, w których wymyślano najrozmaitsze choroby, jako bezpośrednią przyczynę śmierci. Pamiętam, że w meldunku Smęrowskiego ze Siar, który został zagazowany, podano chorobę skręt kiszek, jako przyczynę śmierci. Jak informowała mnie obecnie wdowa, taki sam meldunek przysłano do gestapa gorlickiego, które wezwało ją do podpisu, jako potwierdzenia tego zawiadomienia. Tego rodzaju fałszerstwa uprawiano przez cały czas istnienia obozu Oświęcimskiego.

W ostatnich dniach, kiedy już ziemia paliła się Niemcom pod nogami, wynikły wielkie nieporozumienia między naczelnym lekarzem obozowym a komendą obozu, gdyż lekarz nie chciał robić takich fałszywych meldunków. Że tego rodzaju fałszerstwa istniały zaświadczy jeszcze fakt, że w sprawozdaniach miesięcznych do Berlina podawano jedynie egzekucje urzędowe a reszta zamordowanych figurowała w rubryce zmarłych naturalną śmiercią.

S.D.G. Klähr morduje szpilą.

Oprócz egzekucji, które powyżej opisywałem, a które z najdrobniejszymi szczegółami znali wszyscy więźniowie, odbywały się jeszcze w obozie inne ciche egzekucje, znane jedynie niektórym kolegom, pracującym w szpitalu. Było to zabijanie ludzi przy pomocy tzw. "szpili". Po raz pierwszy użyto jej z końcem roku 1941. Przy pomocy owej szpili mordował "Sanitäts - Dienst - Gehilfe" /SDG/, którym był przez cały czas niejaki Klähr a pomocni mu byli więźniowie: Pańszczyk Mieczysław Nr 607, Szymkowiak Jerzy zwany Pereżką lub Arabem z Legii Cudzoziemskiej, lekarz francuski dr. medycyny Landau. Skazańców na śmierć przez zastrzyk otrzymywał Klähr z dwóch źródeł. Jednym źródłem to byli ludzie chorzy, których SDG. wybierał sobie dowolnie w szpitalu. Chodził on od łóżka do łóżka i badał chorych. Jedno niesympatyczne spojrzenie, zły wygląd, wysoka temperatura, wystarczyły, by Klähr na danego osobnika wydał wyrok śmierci. Więźniowie, którzy znali go i jego morderstwa, na wieść, że Klähr chodzi po salach, uciekali z łóżek i kryli się, aby przypadkiem nie wpaść w jego ręce. Zapisani przez niego osobnicy byli przymusowo dostarczani do jego kancelarii najczęściej w niedzielę od godz. 12 do 15-tej, gdzie otrzymywali zastrzyk na drogę wieczności.

Drugie źródło materiału do szpili otrzymywał Klähr przy przyjęciu do szpitala. Każdy chory miał postawioną diagnozę przez lekarza dyżurnego, proponującego przyjęcie danego chorego do szpitala. Owe karty przyjęć, wraz z ustaloną diagnozą otrzymywał lekarz niemiecki "Obersturnführer" Entress. Ów lekarz, mając przed oczyma osobnika z ustaloną diagnozą, skierowywał go na odpowiedni oddział, zależnie od jakości choroby. Gruźlików, chorych na syfilisa, muzulmanów, skierowywał Entress na blok 20-ty. Ludzi tych kładano pod tuszem, a następnie wprowadzano do małej, ciepłutkiej poczekalni, gdzie oczekiwali na przybycie Klähra. Urzędował on w osobnym pokoju, na którego drzwiach widniał napis: "Laboratorium nur für Lagerarzt". "Eintritt streng verboten". Za drzwiami tego pokoju wisiała ciężka kotara, rozsuwająca się na boki.

Każdy jej ruch skyszeli więźniowie po charakterystycznym jej szeleście i zgrzycie kółeczek metalowych po pręcie żelaznym. Za ową kotarę wprowadzano po czterech więźniów, przeznaczonych do zaszpilowania. Wyczytany numer siadał na krześle, a pomagający mu oprawca, którym był jeden z wyżej wyszczególnionych więźniów, zakładał biedakowi ręce w tył za poręcz krzesła, a drugą ręką chwytał go mocno pod brodę i skręcał głowę w tył. W tej chwili Klähr, palcami idąc od obojczyka w dół, wyczuwał żebra i między 5-te a 6-te wbijał w serce szpilę. Sama szpila była długa około 10 cm., a w ampułce zmieściło się do 20 cm³ płynu, którym był zazwyczaj kwas karbolowy lub różne związki benzynowe. Po zastrzyku miał denat tyle siły, że wstał z krzesła, głowy jednak już nie wyprostował i w tym stanie oprawca odprowadzał go do tzw. "Wachsraum", gdzie rzucał już martwego na stos trupów. Inni towarzysze, będący za kotarą widzieli sposób dawania owego "kuracyjnego" zastrzyku, lecz zwyczajnie nie zdawali sobie sprawy, że jest to zastrzyk zabójczy, więc też nie reagowali. Zresztą chory, zgorączkowany, nie może zdobyć się na tak wielki wysiłek, aby zareagować, tym więcej, że najczęściej chorzy woleli zginąć, aniżeli żyć w tych strasznych warunkach obozowych.

Razu jednego zdarzył się przykry dla Klähra wypadek. Denat otrzymał szpilę, ale poza serce i rzucony do umywalni zaczął krzyczeć. Usłyszawszy to Klähr, wybiegł z laboratorium z szpilą w ręce i przemocą chciał mu dać drugi zastrzyk. Przy szamotaniu się denat odrzucił rękę oprawcy z taką siłą, że szpryca wyleciała mu z ręki i wbiła się w przedramię koleźce Misztalowi Kostkowi, który będąc sanitariuszem na bloku, wybiegł z innymi do umywalni, zainteresowany niezwykłym krzykiem. Po krótkim czasie zaczęła kol.M. puchnąć ręka i bardzo boleć, pomimo, że Klähr momentalnie zastosował zastrzyk działający jako odczynnik.

Więzień Pańszczyk Mieczysław rozpoczął swoją karierę ze szpilą robiąc śmiertelne zastrzyki Żydom, których szpilował z całą przyjemnością, nie kryjąc się z tym. W roku 1943, jak to już opisałem na innym miejscu zaszpilował około 200 chłopców poniżej 16 lat. Za te czyny je-

go koledzy odwrócili się od niego, nie podawali mu ręki i bojkotowali go. Bolało go to tak mocno, że zgłosił się dobrowolnie na transport i wyjechał do Neuengamu, gdzie w drodze zabili go jego koledzy, znający jego sprawki.

Pańszczyk, jak sam opowiadał był znajdą, wychowanym na ulicy, a będąc żadnym dzieckiem, zwała go ulica "Paniczyk" z czego powstało Pańszczyk.

Podobny los spotkał więźnia Jerzego Perekłę. Został on wywieziony do sąsiedniego obozu w Brzezince, gdzie najbliżsi koledzy zabili go kijami. Lekarz francuski Landau wyjechał z transportem do niewiadomego mi obozu. Koledzy, którzy pracowali w szpitalu, obliczają że Klähr zaszpiłował osobiście kilkadziesiąt tysięcy więźniów.

Klähr urzędował nie tylko w szpitalu, ale dwukrotnie wybierał sobie ofiary z pośród więźniów całego obozu. Odbywało się to w ten sposób, że blokami wchodziliśmy rozebrani do naga, do kaźni i tam każdy z nas musiał przedefilować pojedynczo przed tym mordercą. Kto miał większą ranę na ciele, a muszę zaznaczyć, że przy złym odżywianiu, po najmniejszym okaleczeniu robiły się nam flegmony, trudne do gojenia, a więc liczba takich chorych była spora, kto wyglądał źle, lub z niewiadomych powodów nie spodobał się Klährowi, tych numery zostały zapisane i na drugi dzień wzywano ich do szpitala, skąd już więcej nie wracali. Klähr mordował ich szpiłką. -

Capusiowie .

Wszystkie masowe morderstwa, jakich dopuszczano się na bezbronnych i niewinnych więźniach, odbywały się z polecenia i na rozkaz "Oddziału Politycznego", którego szefem był Grabner a pomocnikami jego: Woźnica, Lachman i Bogier. Ci, niczym psy gończe, węszyli po obozie i wyszukiwali sobie co raz to nowe ofiary. Na ich usługach stał cały legion konfidentów zwanych po obozowemu capusiami.

Królem ich był na terenie obozu Olpiński. Był to znany na terenie Warszawy dziennikarz, renegat i zdrajca ojczyzny, który z powodu konfliktów jeszcze przed wojną, uciekł do Berlina, przyjął obywatelstwo nie -

mieckie i był szefem wywiadu. W pierwszych dniach wybuchu wojny przemawiał on przez radio z Berlina, informując mylnie i szkodliwie.

Dzięki jego denuncjacji zginęło w obozie setki więźniów. Był to niezwykle niebezpieczny opryszek, który po mistrzowsku podchodził do swej ofiary, wyciągał od niej zwierzenia a potem ją denuncjował. Przytoczę kilka takich przykładów. Do kol. Skorupy Józefa mówi tak: "Współczuję z tobą Józiu - masz synów przy wojsku a ciebie tu męczą w obozie. Jak strasznie niewdzięczny jest ten naród. Albo mnie! Za moje kolosalne dla nich usługi, zamykają w obozie! Wiesz co! Ja planuję ucieczkę. Uciekaj ze mną! Ja mam stosunki wyrobione, nie złapią nas". Józek znał tego twora i wymawiając się, odmówił mu zgody. Zaś do kol. Antka Klimczaka dyr. szkoły w Porębie Wielkiej pow. Biąka, pracującego w magazynie drzewnym DAW zwraca się Okpiński z prośbą o kawałek deski gruszkowej, gdyż chce dać zrobić w prezencie dla jednego SS-mana jakąś rzeźbę. Któżby odmówił tak niewinnej prośbie? Antek jednak znał jego działalność, bardzo grzecznie wykręcił się.

Razu jednego i ja stałbym się jego ofiarą, gdybym nie był poinformowany o działalności tego złoczyńcy. Zwraca się do mnie z żalem, że już od trzech miesięcy nie otrzymuje poczty, więc mógłbym mu pomóc wysłać list "bokiem" bez cenzury. Znając jednak tę hienę, odmówiłem.

Pewnego dnia opowiada mi mój serdeczny przyjaciel Hieronim Kurczewski z Poznania: "ale dzisiaj dałem odprawę Okpińskiemu. - Powiedziałem mu prawdę w oczy kim jest i jakie stanowisko zajmuje w obozie". Zaznaczyć muszę, że obaj pracowali w kancelarii DAW. Na drugi dzień Kochany "Tierek" /tak nazywaliśmy Kurczewskiego / siedział zamknięty w bunkrze a w tygodniu został rozstrzelany.

Do grupy capusiów należało dużo Żydów i tych bardzo trudno było nam wykłócić. Najwięcej capusiów było między "Volksdeutscherami" a nawet z przykrością stwierdzić muszę, że byli i Polacy.

Smutny był koniec tych ludzi. Okpiński zachorował na tyfus. Koledzy podrzucili na niego wieszak z człowieka chorego na tyfus i tym sposobem

zaszczepili mu tę straszną chorobę. Ołpiński bał się iść do szpitala i leżał w swej izbie, ukrywany przez blokowego. Dowiedzieli się o tym więźniowie i donieśli lekarzowi niemieckiemu, że chory na tyfus leży na bloku i roznosi tę straszną chorobę. Na zarządzenie władz sanitarnych, został Ołpiński umieszczony w szpitalu na oddziale zakaźnym. Na zarządzenie oddziału politycznego został umieszczony w oddzielnym pokoju i oddany pod specjalną opiekę lekarza Władzia Wejkla z uwagą, że za jego życie jest osobiście odpowiedzialny. Władziu zabronił służyć szpitalnej zbliżyć się do chorego i otoczył go osobiście specjalną opieką. Dał mu wszystkie lekarstwa, zastrzyki, ale nie dał mu płynów i tym dopomógł, że zdrajca Ołpiński z powodu szalonego pragnienia, jakie występuje przy tyfusie, prędzej wyzionął ducha. Aby być krytym zażądał Władziu sekcji zwłok, która oczywiście wykazała, że przyczyną śmierci był "Fleckfieber".

Smutny był koniec i reszty capusiów.

Pewnego dnia 1944 roku ucieka z obozu capus Deresiewicz wraz z jednym Żydem, również capusiem. Sprawę ucieczki ułożyli bardzo sprytnie. Poszli rzekomo na "robotę" poza obóz. Dla niepoznania dano im cywilne ubrania, a towarzyszący im gestapowiec, również był w przebraniu cywilnym. W drodze zamordowali swego konwojenta a sami zwiali. Można sobie wyobrazić co działo się z naszymi władzami politycznymi. Wściekłą nienawiścią zapakali do wszystkich capusiów na terenie obozu. Pewnej nocy pozbierano ich wszystkich na terenie obozu, zamknięto do bunkra i w parę dni z karnym transportem wywieziono do Flossenburga. Pojechali "Dolmetscher" Lachmann, "Arbeitsdienst" Kuk, obaj z Łodzi, Kowalski z Warszawy, capo Malorny, razem około 50-ciu, których nazwisk nie pamiętam. Dzięki Ci składam Stanisławie Deresiewicz, że swym czynem oczyściłeś nam atmosferę obozową. Od tej chwili oddychaliśmy lżej.

P u f f .

Zamknięcie więźnia w obozie pozbawiło go wolności, zaś przepisy życia obozowego deprawowały jego godność osobistą, brak należytego odżywiania, przy ciężkiej pracy, niszczyło mu zdrowie i odbierało życie. Pozostała

więźniowi jego czysta i nieskalana dusza. Aby i ją zaatakować zesłali do obozu zawodowych kryminalistów, zbrojczyków seksualnych, którzy zupełnie bezkarnie atakowali młodych chłopców. Znałem takiego zbrojczyka Fr. Langekerta z Prus Wschodnich, który niesłychane zgorznienie się wziął między młodzieżą, atakując ją najbezwzględniej i nie kryjąc się z tym.

Czasami władze obozowe występowały przeciwko tego rodzaju jednostkom stosując drakońskie i zwierzęce steroryzowanie. Znałem kilku takich wypasłych eunuchów, którzy zawsze smutni i bez celu życia, wegetowali z dnia na dzień.

Niesłychane poruszenie w obozie wywołała wieść, że na terenie obozu zostanie otwarty dom publiczny "Puff". Kolegów, opowiadających te brednie posądzałem, że mają "fioka". Niestety stało się to faktem. W roku 1943 w jesieni otwarto ten przybytek.

Ze względów moralnych ograniczę się jedynie do tej małej wzmianki, mimo że temat miałbym w tym dziale dużo. Z prawdziwą radością podkreślić muszę, że Polaków, szanujących swą godność osobistą, nie nabrał ten pomysł germańskiego djabła.

L u d o ż e r s t w o .

Dla zobrazowania całokształtu życia obozowego, we wszystkich jego przejawach i przedstawienia wiernie najgłębszego dna nędzy, opisać muszę trzy znane mi wypadki jedzenia mięsa ludzkiego. Pierwszy miał miejsce w roku 1943. Bogier wraz z Lachmanem zamknęli do bunkra dwóch więźniów, zabrali klucze ze sobą i zabronili udzielać im jakiegokolwiek pomocy. Nie wiadomo, czy o więźniach zapomniano, czy też zrobiono to z rozmysłem bo dopiero po trzech tygodniach otwarto ich celę. Żył tylko jeden, ale odżywił się ciałem swego towarzysza, który jako trup od dłuższego czasu był w zupełnym rozkładzie. Żyjącego wyprowadzono przed blok i zastrzelono.

Drugi wypadek zdarzył się w laboratorium w Rajsku. Dla celów naukowych gotowano trupa. Jeden z pracujących tamże Żyd francuski, wyjął z koka kawałek ludzkiego mięsa i smacznie zjadł. Trzeci wypadek miał

miejsce w ostatnich dniach mego pobytu w obozie w Ebensee. Umierało z głodu codziennie setki więźniów. Krematorium nie mogło nadążyć w paleniu ciał, więc leżały stopy trupów podgołym niebem. Zgłodniaли więźniowie wykrawali nieboszczykom kawały mięsa, gotowali go i jako gule sprzedawali bardzo drogo wśród kolegów w obozie.

Głód jest sprzymierzeńcem wszelkiego zła, głód nie uznaje granic co wolno, głód opanowuje wszystkie żądze u człowieka i czyni z niego cząstkami potwora. Głód osłabia siłę woli a podnieca zmysły. W życiu moim byłem dwa razy głodny. Pierwszy raz w czasie wojny światowej w latach 1914 do 1916, przebywając w niewoli rosyjskiej, w obozach w Turkiestanie w Troickim obozie i w Taszkencie. Drugi raz, oczywiście do nieporównania w większym stopniu cierpiącem głód w obozach niemieckich. Bardzo byłem głodny w obozie w Oświęcimiu w latach 1940 do 1942, a bliskim śmierci z powodu głodu byłem w obozie w Ebensee od 20 kwietnia do 6 maja 1945. Dziś rozumię człowieka głodnego i spragnionego i prawdziwie współczuję z nim.

K a p e l a o b o z o w a .

Od początku swego istnienia spełniał obóz Oświęcimski swoje posłannictwo i wywiązywał się ze swych zadań jak najlepiej. Komisje, "Besuch" zjeżdżające co jakiś czas do obozu uznawały, że obóz Oświęcimski może być wzorem dla innych. Bloki były nieskazitelnie czyste, łóżka równo pod "sznur" zaścielone i przykryte kocami. W oknach były wazonowe kwiaty. Między blokami równiutkie jak stół drogi były od czasu do czasu posypywane piaskiem. Obok drogi zielenice i kwiaty miały bawić oko "ślepego Häftlinga, który zbity i maltretowany, głodny i obdarty, nie mógł rozkoszować się tym widokiem. Dla rzekomego uprzyjemnienia mu życia i godziwej rozrywki w wolnych chwilach od pracy, zorganizowano dla niego muzykę. Wszystko to jednak było tylko na pokaz, bo wewnątrz panowała zgnilizna, bandytyzm i mord.

Orkiestrę zorganizowano w roku 1941 w ten sposób, że część instrumentów muzycznych sprowadzili z domu więźniowie za pozwoleniem władz

obozowych a część zakupiono ze składek, które musieliśmy z naszego konta zdeklarować. Orkiestra grała marsze w czasie wychodzenia i powrotu komand do obozu po skończonej pracy. Orkiestra grała doskonale, bo należeli do niej nie muzycy, ale artyści. W niedzielę i święta upajaliśmy się koncertami, które w porze letniej odbywały się pod gołym niebem a w porze zimowej na sali. Kapelmistrzem orkiestry był znienawidzony przez swych kolegów muzyków capo kuchni Volksdeutscher Franz Nierychlo, krakowianin. Jaką sympatią cieszył się on w obozie, wystarczy nadmienić, że gdy w maju 1944 r. został zwolniony i w chwili opuszczania obozu został żegnany przez kolegów gwizdaniem podczas gdy innych kolegów, nawet Niemców żegnała czasami orkiestra obozowa.

Po jego odejściu prowadził orkiestrę kol. Adam Kopyciński z Krakowa, prawdziwy artysta, mistrz gry na fortepianie, niezwykle ceniony i lubiany przez kolegów. "Pod biczem" Franza / nie mogę nazywać go Franciszkiem bo Polak, który sprzedał swą duszę djabłu germańskiemu, podpisując Volkslistę, musi zwać się Franz/, grali muzycy nie jak artyści, ale jak więźniowie, od tak, by dzień zeszedł, często grali nawet źle, jemu na złość.

Pod batutą Adasia nasza orkiestra odżyła. Koncerty urządzone pod jego kierownictwem były prawdziwą ucztą muzyczną, bo nasi artyści popisywali się teraz swymi zdolnościami. Franz nie lubił wielkich artystów w obawie, by jego gwiazda nie zgasła. Nie zapomnę nigdy takiego obrazka. Po koncercie jeden z więźniów nieświeży bukiet kwiatów. Byliśmy przekonani, że zanoszą je Franzowi, który już zdążył kłaniać się, dziękując za nie. Jakież było straszne rozczarowanie, gdy ów kolega minął go i kwiaty wręczył Kopycińskiemu, który w tym dniu za wyjątkową zgodą Franza zagrał porywająco solowy utwór.

W dniu 25 października 1944 roku zabrano resztę Polaków na transport. Odjechali i muzycy. Na specjalne życzenie Lagerführera Hesslera pozostał z muzyki jedyny Polak kapelmistrz, w gronie kilku Niemców. Adam zmobilizował wszystkich muzyków Żydów, obecnych w obozie i zaczął ich egzali-

minować. Zgłosili się różni perkusiści, pianiści, ale nie do orkiestry dętej. Trąbki żaden nie umiał wziąć do ręki, poza kilku polskimi Żydami, którzy jakiegoś czasu grali w orkiestrze wojskowej. W obozie cicho i głucho. Orkiestra nie gra do marszu, ale zato ćwiczy całymi dniami i wieczorami. Po tygodniowym przymusowym milczeniu, nowa orkiestra zebrała się na swym placu i powitała wchodzących do pracy więźniów marszem. Jakież było nasze zdziwienie, gdy po trzech tygodniach ćwiczenia orkiestra wystąpiła z koncertem. Adam ćwiczy młodych muzykantów dosłownie przez cały dzień, nie dając im wytchnienia. Lituje się jedynie na obojściu, który by płuc nie wydmuchał, spoczywa, a reszta uczy się grać w dwóch salach. W jednej ćwiczą na instrumentach dętych marsze, a inni ćwiczą program najbliższego koncertu. Gdyby ktoś z obcych był obecny na pierwszym koncercie tej orkiestry i po dwóch miesiącach w czasie Świąt Bożego Narodzenia, nie uwierzyłby nigdy, że to byli ci sami muzycy. Podziwialiśmy Adama do jakich wyników doszedł w tak krótkim okresie czasu.

Nie zapomnimy nigdy tajnych wieczorów muzycznych, jakie urządzał nam Adam w ścisłym gronie z okazji świąt Narodowych. Na sali pali się jedna świeca - po kątach zebrani koledzy - a Adam siedzi przy fortepianie i zapatrzony w dal gra. Nie słychać uderzeń w klawisze, nie słychać pianisty - a pod ręką mistrza wychodzą dźwięki, cudne melodie - nasze kochane polskie piosenki. " Witaj majowa jutrzeńko " a potem " Nie rzucim ziemi ", zaś na ostatek " Jeszcze Polska nie zginęła ". Adas nie wiedział, że płakaliśmy, że swą muzyką wlewał w naszego ducha wolność, że zapominaliśmy gdzie i kim jesteśmy. Razu jednego wszedł na salę osławiony Bogier zwany pospolicie " Tygrysem " - pracujący w oddziale politycznym. Adam nie widział go i grał dalej " Po Polsku ". Bogier, mimo że był analfabetą muzycznym, przejął się grą i od tego czasu często odwiedzał salę muzyczną i kazał sobie grać " na zamówienie ". Adam grywał mu, ale tak, że Bogier przestał go więcej nawiązywać.

Prosiliśmy nie raz naszego "mistrza " /opuszczam z rozmysłem pierwszą część wyrazu " Kapel ", bo to tytuł nie dla naszego Adama/, aby zagrał na

koncercie. Jak grzecznym i miłym był zawsze Adam, tak tu był niezwykle upartym i nie dał się nakłonić. Zaszedł jednak przypadek, który spowodował że Adam nam zagrał. A było to tak. Do obozu przybył znany wirtuoz, piani - sta węgierski Paul Kiss, uczeń prof. Thomana, u którego również kształcił się Kopyciński. Razu jednego przyszedł na koncert ówczesny " Lagerführer " Hessler i kazał Kissowi grać na fortepianie. Z wielką brawurą i dużą techniką zagrał Kiss " Liszta i Poloneza As Dur Szopena". Liszta odegrał znakomicie, ale Szopena " wyrębał ". Po koncercie nie daliśmy Adamowi spokoju, a szczególnie jego nieodstępny towarzysz, mistrz pędzla, artysta, Mieczysław Kościelniak z Kalisza, tłumacząc Adamowi, że Szopena może odegrać tylko Polak. Wreszcie Adam dał się nakłonić i w najbliższą niedzielę zagrał nam : " Balladę, Kołysankę i Poloneza As Dur Szopena. Już pierwsze uderzenia w klawisze dały wyczuć, że przy instrumencie usiadł Polak, który rozumie duszę Szopena. Jak obóz obozem, po raz pierwszy usłyszeliśmy oficjalnie odegrane polskie utwory. Koncert wywarł na nas głębokie wrażenie i pozostawił nigdy nie zapomniane wspomnienia. Dziękujemy Ci Mistrzu za tę prawdziwą ucztę muzyczną, jaką urządziłeś nam swym koncertem.

D z i ś k ą p i e l .

Każdy z nas, żyjąc w normalnych warunkach cieszy się, gdy ma możliwość wykąpania się. Niestety w obozie na wiadomość o kąpielni ogarniało nas przerażenie, szczególnie w porze zimowej. Po apelu wieczorowym należało rozebrać się do naga, ubranie pozostawić na placu i tak nago na mrozie, ustawić się znowu w kolumnę piątkową i maszerować pod barak kąpielowy. Tu grupowano nas po 50-ciu i taką partię puszczano do środka. Nikt nie miał mydła, ani ręcznika. Dobrze było, gdy trafiło się na ciepłą wodę, ale często trzeba było wkazić pod zimny tusz, bo inaczej drągiem w łeb. Tymczasem wkładze blokowe urządziły sobie swobodnie rewizję w twym ubraniu i kółku. Zabierali wszystko, co znaleźli, a więc żywność, bieliznę, ręcznik, mydło, szczoteczkę do zębów, słowem wszystko. Żywności nie wolno było przechowywać, gdyż więzień powinien zaraz zjeść to co otrzymuje. Drugiej zmiany bielizny nie wolno było przechowywać pod najsurowszą karą.

Mydło, szczoteczka do zębów należały do cennych przedmiotów i te zabierali dla siebie ci, którzy urządzali rewizję. Po skończonej kąpieli, która trwała nie dłużej jak pięć minut, odmarsz mokrych nagusów pod swój blok. Jeżeli blokowy był w dobrym humorze ubieraliśmy się zaraz, w przeciwnym razie wytrzymał nas nago nawet i godzinę.

W obozie w Melk urządzano kąpiele w nocy. Budzono zwyczajnie po północy i nago zerwany ze snu musiał w zwartych szeregach udawać się do kąpieli.

Trzeba było mieć końskie zdrowie, aby przy tego rodzaju kąpielach nie przeziębnić się, nie złapać grypy, lub zapalenia płuc. Ileż to razy miałem w nocy dreszcze i wysoką gorączkę, a rano musiałem wstać i iść do pracy.

Generalne odwszenie .

Trudną do opisanego plagą dla więźniów były wszy i pchły. W początkach obozu Oświęcimskiego brakowało nam bielizny. Pamiętam, że koszulę otrzymałem w październiku zmienić dopiero na Święta Bożego Narodzenia. Wszy dokuczały nam bardzo, bo nie było czasu na wypranie bielizny, zresztą nie było gdzie. Nie było czasu na przeszukanie bielizny, bo w czasie pracy przykrapany więzień na szukaniu wszy dostawał "meldunek" i S.K. Zaś wieczorem na bloku było ciemno i brak było czasu. Wszy gryzły nas dzień i noc a wskutek swędzenia darliśmy skórę naszą do krwi. Na domiar złego cierpieliśmy na świeżba. Pamiętam, że smarowałem się 15 razy /tyle razy miałem zanotowane w mej szpitalnej kartotece / maścią smołową na świeżba, ale było to beznadziejne, bo nie doszkałem zmiany bielizny i kośca. Najboleśniej odczuwało się w czasie snu po rozgrzaniu się ciała. Skóra na piersiach i nogach była owrzodzona i tworzyły się flegmony.

W roku 1942 przystąpiły władze obozowe do przeprowadzenia systemu - tycznie co kilka miesięcy generalnego odwszenia i odpchlania. Więźniów wyprowadzano z takiego bloku tymczasowo na inny blok. Przy tej sposobności zabrano mu wszystko co tylko posiadał.

Ubrania i bieliznę zabierano do dezynfekcji i przez całą noc pozosta-

waliśmy nadziei.

Wszy były powodem, że w obozie wybuchła straszna epidemia tyfusu plamistego. Pierwsze śmiertelne wypadki zanotowano już w grudniu 1941 r.

Od tego czasu nasilenie epidemii stale wzrasta. Nie pomagają gruntowne odwszenia bloków, tępienie wszy przez codzienne półgodzinne tzw. "Lauseappel" szukanie wszy, zabronienie odwiedzania kolegów mieszkających na innych blokach itp. Największe nasilenie tyfusu przypadło na miesiące letnie 1942 r. Tyfus dziesiątkuje nas. Nie ma dnia, by z naszych szeregow nie odszedł któryś z kolegów, chory na tyfus. Izba, na której mieszkaliśmy, przerzedziła się. W ciągu paru miesięcy zmarli ze mną pracujący koledzy: Czajkowski, Walenta z Krakowa, Szupiński, Stec Ludwik z Glinika Mariampolskiego, zginął także Hoffmann, ale przez rozstrzelanie.

Gdy tyfus począł pochłaniać ofiary i z pośród SS-manów, otrzymał komendant obozu z końcem sierpnia 1942 polecenie wygazowania wszystkich chorych, leżących w szpitalu, wraz z lekarzami i służbą sanitarną. Stan szpitala wynosił wówczas przeszło 2.000 ludzi. Ówczesny "Standarzt" nie chciał tego uczynić i polecił to wykonać "Lagerarztowi", którym był Entress. Ostatecznie powybierano lekarzy, personel sanitarny i więźniów narodowości niemieckiej, a resztę w liczbie około 1600 więźniów zostało wysłanych do Brzezinki i tam zagazowanych. Zginął wówczas Staś Dębicki, gorliczanin, Zdzisław Langer z Krakowa i wielu, wielu moich przyjaciół, których niestety dziś nazwisk nie pamiętam.

O r g a n i z a c j a o b o z u i j e g o w ł a d z e .

Administracja obozu była bardzo szczegółowo i dokładnie prowadzona. Już przy założeniu obozu organizacja została ujęta pomysłowo przez Polaaków, którzy jeszcze w czerwcu 1940 r. przyjechali z Wiśnicza. Każdy więzień był wpisany w kolejności numeracyjnej do księgi głównej. Pisano tam jego numer, nazwisko i imię, datę i miejsce urodzenia, zawód, przez kogo został aresztowany, kiedy przybył do obozu, adres jego rodziny i uwagi. Oprócz tego była prowadzona kartoteka, ułożona w porządku alfabetycznym. Oddzielnie prowadzono księgę mieszkaniową tzw. "Numarbuch", w którym

były wypisane numera wszystkich więźniów przebywających w obozie, z odpowiednią adnotacją, na którym bloku mieszkają lub co się z nimi stało.

Administracja była tak sprawna, że w jednej chwili, mając np. tylko numer, lub nazwisko więźnia, można było stwierdzić jego bliższe dane, gdzie mieszka, gdzie pracuje i gdzie w obecnej chwili znajduje się. Naszym władzom obozowym podobała się ta sprawność, stąd też obóz Oświęcimski uchodził za wzór innych obozów. Polacy uważani byli za najlepszych i najzdolniejszych pracowników. Zatem wszelkie naczelne i najlepsze stanowiska były w naszych rękach.

Językiem urzędowym oficjalnym był język niemiecki, a przypominała nam to duża tablica z napisem: " Hier wird nur deutsche gesprochen ". Niestety tak nie było. Językiem urzędowym, oczywiście nieoficjalnie był tylko język polski. Po niemiecku rozmawialiśmy do osobnika, który nie rozumiał po polsku lub do SS-mana.

Jeżeli chodzi o hierarchie władz obozowych, to naczelne stanowisko miał " Lagerkommandant ", którym był w Oświęcimiu najdłużej bo do jesieni 1943 r. Höss. Za jego komendantury obóz Oświęcimski był prawdziwym piekłem, co szczegółowo w innych rozdziałach opisałem. Na tego Łotra spada odpowiedzialność za to, co działo się w Oświęcimiu.

Bardzo krótko był bardzo dobry dla więźniów Liebehenscher, a ostatnio Bßer, były adjutant Pola. Następną władzą w obozie był " Lagerführer ". Pierwszym Lagerführerem był okrutny Fritsch, po nim krwawy morderca Seidler, który od nas został przeniesiony do Gusen. Po nim objął władzę notoryczny pijak Aumeier, dla małego wzrostu zwany " Łokietkiem ". Ten porywczy jak pastwił się nad bezbronnymi więźniami. Za jego kierownictwa prawie co tydzień czynna była szubienica i setki więźniów było mordowanych na bloku 11-tym. To on wieszał 12 bezbronych inżynierów Polaków przezsyłając o nich fałszywy meldunek. To on spowodował, że zebrano ze 400-tu więźniów z 4 komand i przeszło połowę rozstrzelano.

Krótko sprawował tę władzę Thuman, przybyły z obozu lubelskiego, potem brutalny Schwarz, bardzo krótko głupi a zarozumiący Hoffmann a w końcu

cu Hössler.

Po Lagerführerze był Rapportführer, których zwyczajnie było dwóch. Ci dwaj wykonywali własnoręcznie wszystkie wyroki śmierci. Pierwszym Rapportführerem był Hössler, późniejszy "Lagerführer". Po nim objął władzę Palitsch. Kto był w obozie w Oświęcimiu, temu dobrze znane jest to nazwisko. Gdy Palitsch wszedł do obozu drżeliśmy z bojaźni, bo z jego rąk nikt nie wyszedł żywy. Straszny był jego wzrok. Nie wiem, czy znalazłby się w świecie drugi taki człowiek, któryby zamordował iglicą do uboju bydła i z flobertu, taką ilość zwierząt, co Palitsch zabił ludzi. Wojował tak długo, dopóki na jego drodze do wysokiej kariery nie stanęła kobieta. Zakochał się w pięknej Żydówce, więźniarce, dosłownie szalał za nią. W stosunku do więźniów zmienił się nie do poznania i od tego czasu był dla nich prawdziwym opiekunem. Epizod miłosny skończył się dla niego bunkrem, degradacją i wysłaniem na front.

Po nim objął władzę Stiewitz, potem Klausen, Hertwik, a ostatnio Kaduk. Ten był prawdziwym kanalią i łotrem. Palitscha baliśmy się jak ognia, a Kaduka nienawidzili jak obrzydliwego psa.

Ostatnia oświęcimska wigilia 1944 r.

Nie zapomnę nigdy ostatniego wieczoru wigilijnego, jaki urządziliśmy sobie już w prawdziwie "ostatnie" Święta Bożego Narodzenia, spędzone w obozie.

Na kilka tygodni przedtem uprosiliśmy naszego artystę malarza Mieczysława Kościelniaka, aby zajął się stroną dekoracyjną naszej "Sztuby". Mieszkaliśmy tam wszyscy pracujący w kancelarii obozowej, oraz kapel - mistrz Adam Kopyciński i wyżej wymieniony Mieczu. Inni koledzy zobowiązali się zająć sprawą kulinarną wieczoru wigilijnego, obiecując doskonały bigos myśliwski a jeszcze inni powiedzieli: "Rywalizujemy z mistrzami kuchni i damy prawdziwy bigos literacki". Pierwszy z "komitetu" rozpoczął pracę nasz artysta, malując moją karykaturę. Chwyć mnie w chwili, gdy najspokojniej grałem w bridża. Dobrze w rękach nos, obwisłe wargi, na nosie wielkie okulary a w ręku cztery asy. Oto moja podobizna. Ze względu, że "podpadłem" pod pędzel artysty pierwszy,

wywołał mój portret niezwykle dużo śmiechu. Mieciu nie lubił swych dzieł nikomu pokazywać, schował mię do teczki i powiedział, że mię powisi, ale w towarzystwie. -

Znie nacka łapie na papier Jasia Olszewskiego, nauczyciela gimn. z pod Zakopanego, zwanego pospolicie "Góralem". Nasz "Góral", udał się do - skonałe, na tle szczytów tatrzańskich, ze swym pogodnym i miłym uśmiechem. Mieciu podchodzi do zaczytanego Edwina Kuffela z Gdańska i uwiecznia go zamyślonego i gubiącego się w nawale cyfr stanu liczbowego więźniów. Do Romka Wiessali, lubiącego wylegiwać się w łóżku idzie Mieciu otwarcie i rysuje go w półśnie z przymrużonymi oczyma a do ramion przyczepia mu skrzydła anielskie. Karykatura udała się bajecznie. Nie pomija nasz Mieciu i Stefana Ajdukiewicza, inżyniera leśnika z Muszyny, zwanego popularnie Stefanem z Boru i oddaje go w zamyśleniu "Bridżowym" z jego charakterystyczną obwisłą wargą. Leona Kuźmierczaka, Poldzia Paździorę z Dziedzic, Stefana Łukasza z Żółkiewki, Michała Freislera z Częstochowy, zwanego żartobliwie grubym Maciusiem, rysuje nasz artysta w udałej karykaturze. Naszego Tadiza Miciukiewicza, redaktora z Warszawy, nieodstępного towarzysza rzeźników / dla ich kiełbasy /, wyśmienitego organizatora, ujmuje Mieciu doskonale. Nie zapomni nasz karykaturzysta i o naszym mistrzu sztuki kulinarnej Rudku Hajduku z Dziedzic i maluje go z warzechą w ręku. Kazia Mro-zowskiego z Krakowa maluje z miną "Antka z Krowodrzy", "Co mi zrobisz". Tadzia Sztabę, dwukrotnie wyczytanego na śmierć i cudem ocalałego, Rzę-rzewskiego Zygmunta z Bydgoszczy, zwanego ze względu na wielką głowę "Glo-rzewskiego Zygmunta z Bydgoszczy, zwanego ze względu na wielką głowę "Glo-busem" oddaje bardzo trafnie. Był tam i Zygmunt Goldberg niezadowolony ze swego rodzowego nazwiska, znajdując swoich imienników około 320, ale jak mówił: "całe me szczęście, że izraelskiego wyznania". Naszego jedyne-go Niemca Ernsta Woopa, znanego żarłoka zjadającego po 5 misek zupy, maluje z orderem "Krzyżem Żelaznym" na szyi, nadanym mu jakiegoś czasu żartobli-wie przez kolegów, z tytułu jego rekordów w jedzeniu. Była to jedna z naj-lepszych karykatur. Do kompletu zrobił Mieciu swoją karykaturę, jako też swego nieodstępного towarzysza Adama Kopycińskiego.

Już na tydzień przed każdorazowymi Św. Bożego Narodzenia, ustawiano na

środku obozu olbrzymią choinkę, na której paliło się co wieczora kilkanaście żarówek. Wszystkie bloki urządzały u siebie również choinkę, których wielkość i piękność w ubiorze była bezkonkurencyjna. Niezależnie od tego każda izba miała u siebie małą choinkę, którą ze względu na szczupłość miejsca stawiało się na stole lub szafie. Mając do dyspozycji wiele ozdóbek i szodyczy nadesłanych nam w pakietach żywnościowych, ubraliśmy naszą choinkę przepięknie.

Nasz mistrze sztuki kulinarnej Rudek zdecydował, że na wigilię muszą być pączki. Już na dwa tygodnie przed świętami nie zjadaliśmy margaryny, lecz odkładali ją na smarzenie pączków. Nasz najmłodszy wiekiem 17-letni Broniek Miernik z Bydgoszczy, pałający nienawiścią do swej ciotki, która podpisała Volkslistę, zorganizował 5 kg. najpiękniejszej maki. Tadziu Mićkiewicz, "król organizatorów" postarał się o drożdże.

Dzień przed wigilią Rudek przystąpił do pracy. Na ogromnej miednicy zrobił ciasto, do którego dodał skondenzowanego mleka, 8 jaj, margaryny, i oczywiście drożdży. W żelaznym piecu zapala, stawia miednicę opodal i czeka, aby ciasto rosło. Minęła godzina jedna i druga, a to ani rusz, ciasto ani nie drgnie. Rudek w rozpacz. Widząc to, pytam Rudka czy może drożdże nie były przypadkiem zamrożone? A tak, mówi Rudek, trzymakem je zamroziłem a przecież wczoraj było 20° mrozu. "Nie martw się Rudku" powiedziałem, "dodamy do ciasta czyszczonej sody, zwanej prozą, a zobaczysz pączki wyjdą jak "poezja". Dla szybszej reakcji dodaliśmy z pół szklanki owej w proszku prozy. Długo nie czekaliśmy. Ciasto nam rośnie. Rudek poczerwieniał z radości, ręce włożył do kieszeni i oblicza ileż to może być pączków z tego ciasta. Proza poskutkowała, ciasto miednicę przerosło i trzeba było użyć jeszcze jednego naczynia, aby je pomieścić.

Rudek czyściutko wymył ręce i zaczął najważniejszą czynność tj. wyrobienie pączków, wkładając do każdego łyżeczkę marmelady. Na próbę zrobił kilka sztuk, włożył do wrzącej margaryny i z zapartym oddechem oczekuje pierwszej próby. Według mnie pierwsze egzemplarze zapowiedzianej "poezji" wypadły niedostatecznie. Marmelada powyżaziła z pączków i spalona pływała

po wrzącym tłuszczu. Pączki okazały się za wielkie, bo dochodziły do wielkości kuli o średnicy 10 cm. "Rada rodzinna" ustaliła pewne poprawki i Rudek przystąpił dalej do dzieła. Wtem "psia krew". Głośna syrena! Nalot lotniczy. Świątka gasną, a w naszym rądlu 5 ru - mianych pączków gotowych do wyjęcia z tłuszczu. "Koce na okna" wo - ła donośnym i wściekłym głosem nasz Rudek. Skoczyliśmy do usług i w kilka minutach okna były zaćmione. Niestety drugie wydanie zapo - wiedzianej "poezji" nie udało się. Dalsze smarzenie odbywało się już przy świetle świecy. Widząc, że Rudek nie podoła sam tej pracy, zakasałem rękawy i wziąłem się i ja do roboty. We dwóch byliśmy go - towi z pączkami o północy. Nie licząc robionych na próbę, w celach doświadczalnych usmarzyliśmy 250 sztuk pączków.

Dwa duże stoły, ułożone w kształcie litery T, przykryte jak śnieg białymi serwetami, zastawione miskami, talerzykami, jakie zdołaliśmy skompletować, oraz pięknie ubrana choinka, dodawały poważnego na - stroju przedwigilijnego. Po południu mieliśmy dzień wolny od pracy, więc czas było wszystko przygotować.

Nadchodzi wieczór. Na niebie już nie jedna, ale miliony gwiazd głoszą, że wigilię czas zacząć. Coś nam brakuje. Zamiast cieszyć się, radować, chodzimy z kąta w kąt, ze spuszczonej głowami, głęboko za - myśleni ... wiem ... wyczuwam.... co nam brakuje .

Skonstatowaliśmy, że jesteśmy w komplecie i zasiadamy do naszego ostatniego w obozie wieczoru wigilijnego. Jako senior w gronie ze - branych kolegów, musiałem zagaić ten wielki nastrojowy wieczór krót - kim przemówieniem, poczem łamiąc się opłatkami, wesoło składaliśmy sobie życzenia, będąc w stu procentach przekonani, że są to już ostatnie a dla niejednego już szóste z rzędu Święta Bożego Narodze - nia. Po spożyciu wigilii, składającej się ze zupy grochowej, bigosu pączków i herbaty, śpiewaliśmy wesoło kolędy.

Koledzy, Tadziu Miciukiewicz oraz Jaś Olszewski, odczytali zapo -

wiedziany bigos poetycki, który niezwykle trafnie wprost po mistrzowsku uchwycił wszystkich kolegów na tle swych przygód obozowych lub znanych nam przeżyć i szkabości. Do godziny 12-tej wolno nam było palić światła, więc też mieliśmy sporo czasu spędzić wesoło ten ostatni w kacecie wieczór. Bawiliśmy się tym swobodniej, że "Lagerführer" zabronił tego wieczoru wstępu do obozu wszystkim SS-manom. Więźniowie robili zatem co chcieli.

E w a k u a c j a o b o z u .

Przygotowania ewakuacyjne obozu zauważyliśmy już w marcu 1944 roku. Obóz nawiedzały specjalne komisje, które opracowywały plan wywozu olbrzymich magazynów, w których były materiały budowlane, wielka ilość mebli i sprzętów gospodarstwa domowego, odzieży, bielizny itd. itd. Wszystkie te rzeczy pochodziły z rabunku i grabieży z terenów polskich.

Niezależnie od tego, poczęto wysyłać więźniów do innych obozów, położonych w głębi Niemiec, tak, że w marcu, kwietniu i maju wysłano ich około 25 tysięcy.

W związku z ewakuacją postanowiono zatrzeć ślady swych morderstw. Przebudowano więc blok 11, zwany blokiem śmierci. Zburzono w nim gruby mur, przy którym odbywały się egzekucje, rozebrano wszystkie ścianki bunkrów, a w Brzezince zaczęto burzyć wszystkie krematoria. Już w listopadzie spalono wszystkie akta w oddziale politycznym, zaś w dwa tygodnie potem zniszczono dokumenta oraz kartotekę zmarłych. Resztę więźniów aryjszczyków wysłano na transport 25 października 1944 r. tak, że w obozie pozostało nas kilkudziesięciu do czasu, dopóki nie wyszkolimy w swym dziale pracy zastępców Żydów. W Oświęcimiu mieli pozostać jedynie Żydzi.

Z chwilą rozpoczęcia się ofensywy wojsk Radzieckich 12 stycznia 1945r. i dalszego odwrotu wojsk niemieckich, z każdym dniem wzrastała gorączka ucieczki ewakuacyjnej. Opowiadano, że SS-mani przygotowali sobie ubrania z więźniów, aby w razie ostatecznym umknąć w tym przebraniu. Między nami było napięcie nie do opisania. Z godziny na godzinę oczekiwaliśmy chwili wybawienia nas. Byliśmy przekonani, że zostaniemy zaskoczeni i Niemcy

nie zdołają nas wszystkich wywieźć, gdyż było nas razem we wszystkich sąsiednich obozach około 50 tysięcy. Gdy nadeszła do nas wiadomość o zajęciu Krakowa radość nasza nie miała granic. Dzień i noc ewakuuję obóz. Dnia 18 stycznia 1945 r. był dniem wielkiej gorączki. Przez dużą bramę obozową wychodzą więźniowie w kolumnach piątkowych po 100 ludzi. Wychodzą z tego piekła już po raz ostatni i idą na dalszą tułaczkę w "nieznane". W obozie ruch jest niezwykły. We wszystkich biurach niszczą i palą księgi i dokumenta obozowe. Otwarto wszystkie magazyny odzieżowe i rozdają więźniom to, co kto chce. Obowiązkowo każdy z nas musi zabrać ze sobą dwa koce i żywność. Otrzymuje dwa bochenki chleba, 33 dkg. margaryny i 1 puszkę konserw / na 3 ludzi /.

Dnia 19 stycznia 1945 r. około godziny 1-szej przekroczyłem po raz ostatni bramę obozu Oświęcimskiego. Noc była jasna i mroźna. Na niebie przyświeca nam miliony wyiskrzonych gwiazd, a księżyc swą pełnią tarczy, jak gdyby uśmiechał się do nas i pytał: "Dokąd idziecie tułacze?" Świecą nam gwiazdeczki, ale niejednemu z nas już po raz ostatni, bo wielu, wielu nie doszło do tej ostatniej przystani, której na imię: w o l n o ś ć .

Śnieg ubity na drodze tysiącami nóg naszych przednich oddziałów, utrudniał marsz, bo droga była bardzo śliska. Przeczuwając, że tak będzie zabrakło ze sobą okutą laskę i podpierając się nią, nadejść moim młodemu kolegom. Idę mocno przygnębiony bo wiem, że każdy krok oddalający nas od obozu, oddala nas i od wymarzonej wolności. Idę, bo muszę, inaczey kula w łeb. Tempo marszu mamy bardzo ciężkie, bo idziemy w kolumnie liczącej 2.500 ludzi., a więc powstają chwilami luki, które musimy nadrobić biegiem., lub zgęszczenia, powodujące przymusowe postoje. Tego rodzaju tempo marszu męczy nawet najwprawniejszego piechura, a cóż dopiero mówić o więźniach słabych i wyczerpanych i nie przyzwyczajonych do takich trudów, po długoletnim pobycie w obozie. Popędzali nas SS-mani, którzy rozstawieni byli co parę kroków po obu bokach drogi. Komendantem całego transportu był "Obersturmführer" Reichenbach.

Wielu naszych kolegów nie wytrzymało takiego tempa, ustawiali więc, popędzani kolbami i bici laskami, w które byli zaopatrzeni SS-mani. Od czasu do czasu padał strzał rewolwerowy. Początkowo nie zdawaliśmy sobie sprawy, w jakim celu strzelają. Wnet jednak przekonaliśmy się, gdy obok nas jednego z kolegów, nie mogącego nadążyć tempa, wystrzałem z rewolweru morduje " dusiciel " Storch. Im dalej idziemy, tym częstsze strzały, a z nimi ginie i życie ludzkie. W jednym dniu marszu, po jednej stronie drogi, naliczył jeden z naszych kolegów 107 trupów, między którymi przeważały kobiety, maszerujące przed nami.

Mijamy słynne laboratorium w Rajsku i idziemy w kierunku do Brzeszcz. Miejscami mamy drogę tak śliską, że idziemy jak po lodzie. Dnieje . - Budzi się dzień prześliczny. Ani jednej chmurki na niebie, najmniej - szego podmuchu wiatru. Temperatura około minus 6 stopni, ale tego zimna w czasie marszu nie odczuwamy. Jesteśmy ubrani ciepło, grzeje nas ciężkie tempo marszu, a ciśnie ku ziemi płocak, wyładowany chlebem.

Przed nami Jawiszowice. - Nagle od dworca kolejowego pada seria strzałów karabinu maszynowego i kule świszczą nad naszymi głowami. Bez rozkazu zbiegamy z drogi i kryjemy głowy w przydrożnych rowach. SS-mani potracili głowy, a na ich twarzy maluje się strach, widać u nich bezradność. Wręcz przeciwnie u nas ożywienie i nie ukrywana radość. To może szpice pancerne Radzieckich wojsk, a może są to partyzanci, o których działalności słyszeliśmy wiele. Może otoczą nas. - Może nas odbiją i zyskamy wyśnioną - upragnioną w o l n o ś ć .

Komendant transportu podjeżdża na motocyklu ku przodowi i po kilkunastu minutach postoju ruszamy dalej. Idziemy już bez przeszkód. Na - dzieja wolności prysła jak bańka mydlana. Za Jawiszowicami mieliśmy półgodzinny postój. Zjedliśmy śniadanie, niestety suche, bo wody nie dali nam nawet na lekarstwo. Pragnienie dokucza nam. Każdy z nas wypocił duże ilości wody, a przy suchym zaprowiantowaniu chcieliśmy pić a pić. Prosimy - bżagamy naszych konwojentów o wodę, ale nasze prośby głuche, nie wysłuchane. Pragnienie zatem gasimy śniegiem, który skrycie zbiera-

my z boków gościńca. Zbieramy go do kubków, mieszamy z cukrem, dodajemy parę kropel kwasu solnego i pokrzepiamy się tymi orzeźwiającymi lodami. Niestety tego rodzaju napój pragnienia nie gasi, ale go nawet podnieca.

Mijamy Miedznę i idziemy dalej w kierunku ku Pszczynie. Południe. Mamy już za sobą prawie 12 godzin marszu. Zmęczenie drogą, spotęgowane pragnieniem odbija się na naszych twarzach. Wyglądamy jak po przebytej chorobie.

Wchodzimy do Pszczyny. Prowadzą nas przez miasto bocznymi drogami. Przechodzimy obok okazałego zamku książąt pszczyńskich. Na twarzach przechodniów maluje się żywe dla nas współczucie, u wielu widzimy łzy. Wprowadzają nas na duży stadion sportowy z krytymi trybunami. Dla nas - szych konwojentów wymarzone to miejsce. Stadion bowiem był ogrodzony, a tym samym tylko mała garstka SS-manów pozostała na straży. Stadion był pokryty 20 cm warstwą topniejącego śniegu. Jedynie na trybunie były suche ławki, ale te do ostatniego miejsca zajęli już koledzy, aby spo- cząć wygodnie. Dopóki więźniowie zajmowali trybunę, nie przeszkadzali temu SS-mani, z chwilą jednak, gdy już były trybuny pełne, podeszli od góry i zaczęli spędzać wszystkich w dół, bijąc niemilosiernie kolbami i drągami. Działy się wówczas dantejskie sceny. Dolne warstwy nie mogły tak szybko opuścić trybuny ze względu na wysokie ogrodzenie, więc też powstał straszny tłok i ścisk, w którym wielu więźniów połamano sobie ręce i nogi. Musieli wszyscy odpoczywać na mokrym śniegu. Nie podano nam ani kszty wody.

Około godziny 17-tej uformowano nas do dalszej wędrówki. Idziemy, jak mówią SS-mani do Poręby, miejscowości odległej 2 km. od Pszczyny. Zrobiliśmy zatem w pierwszym dniu 29 km drogi. W Porębie otrzymujemy nocleg w zabudowaniach dworskich. Jedna stodoła i stajnia, ale z bydłem mają służyć na pomieszczenie 2.500 ludzi. Zaledwie część ulokowała się w budynkach, a reszta goni bezradnie po wielkim podwórzu i szuka bez- nadziejnie schronienia pod dachem. Ja należałem właśnie do tej grupy szukającej locum. Widząc niemożliwość zdobycia miejsca pod dachem, usia-

dkiem pod ścianą stajenną i przygotowałem się do nocnego spoczynku. Wtem słyszę, że ktoś woła moje nazwisko, zrywam się - to Jureczek Michnol żebyż miejsce w stajni w jałowniku, już jest w środku i mnie chce tam wciągnąć. Przez małe stajenne okno podaję mu moje bagaże, a sam nie mogę, ani wyspinać się, ani przez okno przeleść, bo jest dość wysoko położone i bardzo małych rozmiarów. Pomogli mi jednak koledzy, ciągnąc mnie od środka za ręce i głowę, zaś od zewnątrz dźwigali w górę. Prawie bez tchu, jak kłode wciągnęli mnie do środka, gdzie zastałem już kilku kolegów, odpoczywających po całodziennym trudzie. Byłem bardzo zmęczony. Zaledwie zdobyłem się na tyle siły, że rozłożyłem koc i nie rozbierając się, ułożyłem się do snu. Mimo, że poprzedniej nocy nie spałem ani minuty i mimo ogromnego zmęczenia, nie mogę zasnąć. Koledzy już śpią, bo słyszę ich głośne chrapanie. Czuję się źle. Dostaję dreszcze, zimno mi. Okrywam się kocem prawie z głową i wyczuwam szybkie tętno, bo rozbiera mnie gorączka i zaczyna mnie boleć gardło. Przypuszczam, że będzie to angina, powstała z powodu pokrępowania się śniegiem. Znam tę chorobę, wiem jak ścina z nóg najsilniejszy organizm. Przeczuję, że będzie źle ze mną. W gorączce nie podołam trudom marszowym. Co począć? Przed oczyma stają mi trupy leżące w przydrożnych rowach z przestraszonymi głowami. Zimny pot oblał mnie całego na samą myśl. Nie! - To niepodobiestwo! Przepłynąć całe burzliwe morze i zginąć u brzegu? Otulam się jeszcze mocniej kocem i dalej majaczą. Ciszę nocną przerywa przeraźliwy krzyk mego sąsiada kolegi St. Ajdukiewicza, na którego wpadła jałówka. W pojedynku z nią zwyciężył Stefan i odepchnął ją nogami, ale tak, że bydle wpadło na mnie i stanęło mi na brzuchu. Zawylałem z bólu i wystraszone stworzenie uciekło. Rano dopiero zauważyliśmy, że bydło w tym jałowniku chodziło luzem nie przywiązane i dlatego mieliśmy ten nocny napad. Około północy dreszcze mi ustąpiły. Zaczyna mi być niemożliwie gorąco. Pęcę się. Woda spływa po mnie jak w kąpieli, ale nie odkrywam się. Znam mój organizm. Jedyne to dla mnie lekarstwo a szczególnie na anginę, wypocić się. Mimo wielkiego osłabienia, pragnienia i duszności

zapanowałem nad sobą i do rana przeleżałem w tych potach. Z niezwykłą radością skonstatowałem, że gardło mię nie boli. Przebrałem się w suchą bieleznię i skoro zaczęło dzień, wyszedłem na podwórze. Po gorączce miałem wargi spalone, a w ustach sucho. Za wszelką cenę muszę zdobyć drobinę wody lub coś do picia. Prawie cały obóz jest jeszcze pogrążony we śnie. Koledzy śpią na śniegu zbici w gromadki i okryci całkowicie kocami. Chodzę po podwórzu i szukam studni. Konstatuję jednak, że są tu urządzenia wodociągowe, które obecnie są zamrożone i na nic zdadzą się moje poszukiwania. Śniegiem obmywam ręce i twarz, ale do ust go nie biorę, nauczony przykrym doświadczeniem. Wtem widzę, gdy jeden z kolegów wychodzi z domu, w którym spali SS-mani i niesie cały garnek gorącej, dymiącej na mrozie kawy. Kolego! Ginę z pragnienia - dajcie jeden łyk i nadstawiam mu miskę. Popatrzył się na mnie i zapewne zauważył, że prawdę mówię, nalał mi z pół litra tego nektaru. Zrewanżowałem mu się za to paczką papierosów i pokręciłem się tym życiodajnym płynem, którego doskonałości w smaku dzieś nie mogę opisać. Zrozumieć mię może tylko ten, który w życiu był spragniony.

Około godziny 6-tej ruszyliśmy w dalszą drogę. Idziemy w kierunku na Pawłowice. Droga dobra. Słoneczko pięknie świeci. Mimo przebytej choroby czuję się stosunkowo dobrze. Po drodze znowu walka o wodę. Skoro nie pomagły nasze prośby, staraliśmy się SS-manów przekupić papierosami, aby uzyskać u nich menażkę wody. Za 40 sztuk papierosów dawali 1 l. wody. Na skrzyżowaniu dróg Katowice - Cieszyn a naszej drogi, w kierunku na Janę strąbię, zmuszeni byliśmy do dłuższego postoju, z powodu zatarasowania tej drogi. Spoczywaliśmy przymusowo do 3 godzin. Po odpoczynku idziemy dalej i wieczorem dochodzimy do Jastrzębia - Zdroju. Wprowadzają nas na podwórze dużego gospodarstwa dworskiego i tak jak w Porębie, tylko mała garstka szczęśliwców znalazła pomieszczenie pod dachem.

Zdobyłem odrobinę skóry i rozścieliłem ją na śniegu, rozłożyłem koce, buty zdjąłem a nogi włożyłem do plecaka i okrywszy się z głową kocem, oparłem się plecami o ogrodzenie ogródka, postanowiłem zanoć na mrozie pod gołym niebem. Ze względu na wielkie zmęczenie, a mając za sobą

dwie nieprzespane noce, zasnąłem momentalnie. Około północy zbudziłem się jednak, bo dokuczliwe zimno nie pozwoliło na dalszy sen. Wstałem więc i do rana chodziłem, aby nie zmarznąć. Dwie noce spędziliśmy w Jastrzębiu.

Wczesnym rankiem 3-go dnia, dano sygnał do odmarszu. Idziemy w kierunku Wodzisława. Dzień bardzo ciężki do marszu z powodu silnego wiatru i zawiechy śnieżnej. Dochodzimy wreszcie do dworca kolejowego, gdzie mają nas załadować do wagonów i dalszą drogę mamy odbyć koleją. Oieszmy się, że skończą się nasze trudy marszowe, noclegi pod gołym niebem i łatwiej będzie nam znieść niewygodę podróży koleją. Ładują nas do zwyczajnych węglarek. Zanim jednak przypadła kolej na naszą grupę, potrwało to parę godzin i przypadkowo byliśmy świadkami przykrew egzekucji. Pod silną eskortą przeprowadzono trzech młodych chłopców więźniów i w naszych oczach, na rozkaz komendanta transportu Reichenbacha rozstrzelano ich na polach obok dworca kolejowego. Ukryli się oni w stodole w słomie w czasie noclegu w Jastrzębiu, lecz psy policyjne wytropiły ich. Zginęło trzech młodzieńców za to, że zapragnęli wolności.

Po załadowaniu nas do odkrytych węglarek po 100 ludzi, przeczekaliśmy na stacji 24 godzin, zanim pociąg ruszył w drogę. Jedziemy w kierunku Bogumina. Po stacjach stoimy czasami całymi godzinami. Pociąg wlecz się, w wagonie straszne warunki. Brak miejsca do spania a cóż dopiero mówić o siedzeniu. Mija noc jedna, mija druga, a my w tej samej pozycji stojącej i w tych samych warunkach bez jedzenia i bez wody. Zimno i pragnienie dokuczają nam bardzo. W dzień skłoneczko ogrzewa nas, to też wychylamy głowy z pod naszych koców a przed naszymi oczyma te same znużone twarze kolegów i nie więcej, bo wysokie ściany wagonów nie pozwalają na oglądanie okolicy.

Późnym wieczorem dojeżdżamy do Morawskiej Ostrawy. Z prawdziwą przyjemnością podkreślić muszę, że ludność tamtejsza pospieszyła nam z pomocą. Zaczęto roznosić wodę, herbatę, kawę, rzucano nam chleb, bułki, cukierki, papierosy itp. Aby pokrzepić 2.500 ludzi, nie będąc do tego przygotowanym, było rzeczą wprost wykluczoną. Początkowo SS-mani nie zwracali na to uwagi.

Z chwilą jednak gdy co raz więcej ludności spieszyło nam z pomocą, zabronili kontaktu z cywilami pod groźbą użycia broni. Staliśmy pod wiaduktem, na którym był duży ruch ludności cywilnej. Mimo zakazu przystają grupki cywilów i rozmawiają z nami. Wtem bez ostrzeżenia pada kilka strzałów a na moście rozlega się jęk postrzelonego mężczyzny. Zginął jakiś ojciec, który dopytywał się o syna, wywiezionego do Oświęcimia. Nasi kaci i tu znaleźli sobie ofiarę. Wypadkiem tym byliśmy bardzo przygnębieni.

Wiedeń ominęliśmy bocznym torem. Wydzieliliśmy i podziwialiśmy dzieło zniszczenia przez naloty bombowe. Wszystko w gruzach, ani jednej calej fabryki. Przedmieście Wiednia wszystkie ogniska fabryczne, to jedna kupa gruzów, powiązanych siecią dziwnie pokamienego i pociętego żelazniwa.

W czwartym dniu i we czwartek rano dnia 25 stycznia 1945 r. dojechaliśmy do osławionego Mauthausen. Obóz w Mauthausen jest położony około 2 km. za miastem na wzgórzu. Zbudowany jest cały z kamienia. Przyjęto nas jak nowiucjuszy i ogołococono nas kompletnie ze wszystkiego. Zabrali mi nawet okulary. Teraz musiałem zniszczyć wszystkie moje zapiski jakie czynikiem w Oświęcimiu. Moja żmudna i wartościowa praca przepadła na zawsze. Tu znowu kąpiel, strzyżenie, golenie i marsz, na mrozie na golasa na wyznaczony blok. W obozie wielkie przepełnienie. Spaliśmy po czterech na jednym łóżku, normalnej wielkości. Przydzielony zostałem na dolne łóżko z trzema innymi towarzyszami. O spaniu nie ma mowy. Od czegoś jednak mam prawie pięcioletnie doświadczenie obozowe. Za moją namową zepsuliśmy łóżko, deski wyleciały na podłogę i spaliśmy pod łóżkiem, zyskując tym samym więcej miejsca.

W Mauthausen byłem do dnia 29.1.1945 r., skąd wywieziono nas do obozu w Melk. Zastaliśmy tu straszne warunki. Baraki drewniane, kryte papą, bez sufitu. Wskutek mrozu na wewnętrznej stronie dachu powstała gruba warstwa szronu, który w dzień na skutek rozgrzania się topniał i w baraku padał istny deszcz. Wilgoć była nie do opisania. Żywności otrzymywaliśmy mało a i to nasze władze blokowe okradały nam. Obóz w Melk wykańczał nas szybko. Dobijała nas ciężka praca w kamieniołomach i złe odżywianie. Z tego jednak rad był Lagerführer Ludloff, który powiedział: " Z obozu w Melk nie może

wyjsć z życiem ani jeden więzień. Praca w sztolniach odbywała się na trzy zmiany. Zasadniczo praca trwała na miejscu osiem godzin, lecz przygotowanie do odejścia, oczekiwanie na placu apelowym, postój na rampie do czasu nadejścia pociągu i odmarsz do sztolni, pochłaniał około 6 godzin czasu. Pracowałem we firmie "Majerder Kraus". Mimo bicia, tak ze strony capów, jakoteż i majstrów cywilnych, więźniowie pracowali bardzo wolno, gdyż byli słabi i bardzo wycieńczeni.

Sztolnie były to tunele wykute w skale górskiej o ścianach betonowych. Tunele takie były wysokie i szerokie około 15 m., zaś długość ich była różna. Od 80 do 100 m. w jednym kierunku, a następnie zmieniały swój kierunek. Mówiono, że w Melk były owych tuneli około 4 km. Tunel taki był podzielony na 1 lub 2 piętra. W sztolniach w Melk skupiał się cały przedział wojenny. Jak okiem sięgnąć widziało się w sztolni maszyny, poustawiane jedna obok drugiej a będące dzień i noc w ruchu. W Melk wykonywano kruszywa najrozmaitszych typów i wielkości. Maszyny obsługiwali cywilni robotnicy i dziewczęta, zgrupowane w obozach dla cywilów. Wzdłuż całego tunelu przebiegała ruchoma taśma gumowa, na którą więźniowie rzucali kamienie, piasek i ziemię, kopiąc dalsze tunele. Owa taśma wybiegała na zewnątrz poza sztolnię, gdzie podchodziła do góry i mechanicznie zrzucała ziemię do zbiorników drewnianych zaopatrzonych w dole w klapy. Pod takie zbiorniki podjeżdżały wózki kolejki wąskotorowej i w kilku minutach nakładane ziemię odjeżdżały dalej, a więźniowie ręcznie wysypywali z nich ziemię. Na terenie sztolni zewnątrz i wewnątrz panował olbrzymi ruch. Nocą tysiące żarówek oświetlało teren. Pracowano dzień za dniem, tydzień za tygodniem. Jedynie co drugą niedzielę była przerwa w pracy i wówczas pozostawaliśmy na bloku.

O ciężkie warunki pracy, złe odżywianie i licha odzież, wykańczały nas niezmiernie szybko. Do pracy chodzili nie ludzie, ale szkielety. Policzki zapadłe, mocno podpuchnięte oczy, bezwład nóg i niezwykła powolność w ruchach, cechowały takiego biedaka. Do szpitala nie przyjmowano, gdyż tam odnoszono tylko takich kolegów, którzy na nogach utrzymać się nie mogli.

W dniach zimnych deszczowych przynoszono po pracy kilkudziesięciu ludzi, których przyjmowano do szpitala, ale tylko na parę godzin, bo ludzie ci umierali. Z każdym dniem czułem się i ja gorzej, gdyż głód dokuczał. Cały miesiąc luty przepracowałem pod gołym niebem. W dniu 8 marca 1945 miałem bardzo niemiłą przygodę. Z powodu osłabienia, wsiadając do wagonu kolejowego, wywróciłem się i wpadłem pod wagon. Pokaleczyłem sobie głowę i poranieniem tułów. Straciłem chwilowo przytomność a jeden z SS-manów wpadł w szach i chciał mnie zabić. Koledzy jednak wciągali mnie omdlałego do wagonu. Resztkami sił przepracowałem do wieczora. Dzięki poparciu Miecia Kośnielniaka zostałem przyjęty do szpitala. Trzy dni i trzy noce przeleżałem bez ruchu, taki byłem wyczerpany. W szpitalu było ogromne przepełnienie. Leżeliśmy po trzech na jednym łóżku. Po trzech dniach wypoczynku nie miałem ochoty wracać na blok do dawnej pracy, gdyż wiedziałem, że tam czeka mnie niechybna śmierć. Oczywiście zabiegł, aby być przyjętym na sanitariusza i dzięki poparciu jednego z lekarzy udało mi się otrzymać to zajęcie. Robiłem porządki na sali, mierzyłem chorym gorączkę, wносиłem trupy, rozdawałem lekarstwa i to było moje codzienne zajęcie. Jako sanitariusz otrzymywałem urzędowo drugą miskę zupy obiadowej. Czynność tę sprawowałem do dnia 11 kwietnia 1945 r. to jest do dnia ewakuacji Melk. Podzielono nas na dwie grupy i załadowano nas w przystani na Dunaju do małych czterech statków towarowych żeglugi rzecznej. Statek był wyładowany starym żelazem a niezależnie od tego do tzw. "Laderaumu" załadowano nas po 300-tu ludzi. Ciśnота i brud, gorąco i zaduch, głód i pragnienie towarzyszyły nam w tej ostatniej podróży. Były to jednak zwykane osławionego mordercy Ludolffa. Od piątku po południu do poniedziałku rana trwała nasza podróż statkiem. W dniu 16 kwietnia 1945 dojechaliśmy do Linz. Wysadzono nas na lewym brzegu Dunaju i po ustawieniu w kolumny piątkowe ruszyliśmy pieszo w kierunku Wels. Droga mamy bardzo dobrą. Po kilkudniowej podróży statkiem bez ruchu i powietrza, marsz w słoneczku ożywia nas i poprawia nasze chumory. Idziemy wolno, nie pędzą nas, ale nie dają jeść, ani pić. Są to ci sami konwojenci, którzy transportowali nas z Oświęcimia do Mauthausen. Ludzie ci

zmienili się nie do poznania. Nie biją nas, rozmawiają z nami, widać czują bliski koniec swego panowania. Chcą zaskarbić sobie u nas łaskę pojednania. Idziemy drogą wysadzaną drzewami owocowymi, które są w stadium pełnego kwitnienia i wyglądają jak jeden olbrzymi bukiet. Późnym wieczorem przybyliśmy do Wels. Na nocleg przeznaczono nam stare podmokłe szopy bez śdźbka słomy. Całą noc nie spaliśmy, tym bardziej, że było zimno. Rano o głodzie ruszamy w dalszą drogę i idziemy do Lambach. W drodze dostaliśmy po 25 dkg. chleba. W porównaniu z innymi punktami noclegowymi mieliśmy w Lambach królewskie spanie.

Po cudownie przespanej nocy ruszyliśmy rankiem w dalszą drogę do Gmunden. Po drodze mija nas tysiące pojazdów, po których wyglądzie i ekwipunku stwierdzić można, że są to rozbitki z niedalekiego frontu. Widok ten dodaje nam sił i otuchy, że męczarnie naszą muszą się niebawem skończyć. Droga, którą naszerowaliśmy, przebiegała wzdłuż prawego brzegu rzeki Traun. Przepływa ona miejscami głębokimi jarami. Brzegi jej są regulowane i wysoko wyłożone kamieniami. Dzięki swemu szybkiemu prądowi oddaje duże usługi dla przemysłu. Po drodze widzieliśmy kilka zapór wodnych, z których największa znajduje się w Traunfall, gdzie jest jedna z największych elektrowni. Do Gmunden przybyliśmy przed wieczorem. Na nocleg umieszczono nas w olbrzymim, nieczynnym browarze na podwórzu, pod gołym niebem. Mimo wilmoci i zimna spałem doskonale.

W następnym dniu czekał nas ostatni etap naszej drogi cierniowej, o kałeczkach suchego chleba, do obozu w Ebensee. Miasto Gmunden jest to jedna przepiękna panorama, o charakterze letniskowym. Leży nad brzegami jeziora Traun. - Droga do Ebensee prowadzi wzdłuż brzegów jeziora na przestrzeni 6 km. Z jednej strony drogi szmaragdowa toń jeziora, od której wieje lodowaty chłód, a z drugiej strony promienie słońca odbijają się od szarych nagich skał i powodują prawdziwą spiekotę. Tu na tej drodze biją się ze sobą owe dwa prądy, powodując dziwne uczucia, z lewego boku, lodowatego zimna a z prawego rozgrzanego pieca. W połowie drogi, po drugim brzegu jeziora, wznosi się nagi szczyt alpejski Traumstejn. Podziwiamy

wapniażę widoki przedgórz alpejskich i nagie szare skały, ale nie upajamy się tymi widokami, bo patrzymy na to okiem czkowieka głodnego, spragnionego i pozbawionego wolności.

Już południe. Prawie 24 godziny nie mieliśmy nic w ustach. Wielu skabnie, nie może podołać trudom, ale tych już nie strzelają, lecz zbierają w większe oddziały i samochodami odwożą do Ebensee. Mamy przed sobą jeszcze 3 km drogi, lecz się już nam brak do dalszej drogi. Widzi to nasz komendant, daje nam odpoczynek i wysyła do obozu samochód po chleb.

Spoczywamy w przepięknej miejscowości letniskowej Traunkirchen. Po godzinie nadchodzi wóz z chlebem. Byliśmy tak głodni, że tylko dzięki nadludzkim wysiłkom, niektórych kolegów nie doszło do rabunku. Strzażów rewolwerowych nie bali się zgłodniaли więźniowie. Śmierć jest lżejsza jak głód.

Wreszcie doszliśmy do miasta Ebensee. Zbudowane jest nad południowym brzegiem jeziora, w kotlinie zamkniętej ze wszystkich stron wysokimi przedgórzami alpejskimi, z których wyrastają, prawie że pionowe nagie szczyty alpejskie. Po zachodniej stronie wznoszą się "Höllengebirge" ze szczytem Höllen 1862 m. Na wzniesienie to prowadzi kolejka linowa. Po stronie wschodniej wznosi się nagi szczyt Erla Kgl. 1570 m.

O b ó z w E b e n s e e .

Półtora km. za miastem, na małym wzgórku, w świerkowym lesie, na wilgotnym i podmokłym gruncie, zbudowano obóz dla więźniów. Przez dużą drewnianą bramę wchodzimy na plac apelowy. Wokół niego stoją nieskie drewniane baraki, w których pomieszczono kancelarię, magazyny i kuchnię. Z boku placu apelowego tryska wysoko w górę fontanna, której woda zbiera się w okrągłym kamiennym zbiorniku, a wokół którego rośnie krótko strzyżony piękny zieleniec. Nieco dalej zbudowany jest betonowy basen pływakki, wypiękniiony po brzegi wodą. Z chwilą wejścia na ów plac, rzucili się więźniowie do basenu, by zdobyć drobinę wody i zaspokoić straszne pragnienie. Nie pomogły bicia gumą, strzelania SS-manów, to drobiazg w porównaniu z pragnieniem. O gdybyście kiedy wiedzieli, że za dwa tygodnie ci więźniowie, którym dziś wody bronicie, w tym samym basenie topić was będą

jak szczury, zapewne inaczej ustosunkowalibyście się do nas.

Po tradycyjnej kąpieli i ogołoceniu nas ze wszystkiego co posiadaliśmy, w podarte i śmierdzące kachmany. Wielu z nas nie otrzymało bielizny więc byliśmy na pół nędzy. Na bloku panowały bandyckie stosunki. Bito i mordowano bez powodu. Spaliśmy po trzech na jednym kółku. Rabunki i kradzieże były na porządku dziennym. Gdy na moment odeszło się od kółka, skradziono koce, a nawet siennik, pozostawili gołe deski. Chleb musiało się zjadać potajemnie, bo zostajeś napadnięty, obrabowany i śmiertelnie pobity. Wyrwali w ręk nawet miskę ze zupą.

Powodem tych anormalnych stosunków był straszny głód. Na śniadanie otrzymywaliśmy 1/4 litra nieszkodzonej kawy, na obiad ciepłą wodę, w której gotowano kupy z ziemniaków. Ziemniaki bowiem zjadali SS-mani a nas karmiono odpadkami tychże a więc kupinami i zgnikłymi ziemniakami. Na kolację dostawialiśmy 22 dkg chleba, oraz kubek ciepłej wody. Przy tego rodzaju odżywianiu, panował niesamowity głód. Byliśmy wszyscy skazani na śmierć głodową. Ludzie chodzili jak cienie, istna kościotrupy. Liczba zgonów dziennie wynosiła około 600 osób. Krematorium było przeładowane trupami i nie mogło nadażyć w paleniu zwłok. Obok krematorium kopano olbrzymie doły, w których grzebano masowo umarłych. Wycieńczył nas obóz w Melk, wy-czerpała nas podróż do Ebensee, tak że mocno zachwiani stanęliśmy do strasznej końcowej walki o życie. Wiedzieliśmy dobrze, że walka ta miała już swój końcowy etap. Zagadką jednak dla nas było, kiedy to się skończy. Każdy dzień pochłaniał setki ofiar, a więc końca oczekiwaliśmy jak wybawienia. Mimo, że gazety zupełnie tu nie dochodziły a komunikaty radiowe były nam nieznane, zachowanie się jednak majstrów cywilnych a szczególnie SS-manów, zdradzało, że jest to już bliski koniec potęgi germańskiej. SS-mani przestali się nami interesować, myśleli już tylko o sobie i uciekali gromednie ze swoich szeregów.

Klimat był tu bardzo ostry i dokuczliwe zimno a szczególnie ranne przy-mrozki dokuczają nam bardzo. Ubrani byliśmy bardzo lichy i brak nam było bielizny. Codziennie o 3-ciej rano wyjeżdżaliśmy do Attnang - Puchheim,

miasta odległego 35 km od Ebensee, celem uprzątnięcia gruzów po zbombardowaniu dworca kolejowego. Aby mieć obraz dzieła zniszczenia, spowodowanego nalotem, trzeba osobiście to zobaczyć. Nie jestem w stanie opisać tego strasznego zniszczenia bombami lotniczymi. Jak daleko okiem sięgnąć znajdowało się wszystko w gruzach. Widziałem w jednym miejscu 15 m głę - boki dół i jak mi mówiono w tym miejscu stała 2-piętrowa kamienica. Szyny kolejowe były powykęcane, jak cieniutkie druciki. Jakaś diabelska siła powykęcała je tak, że trudno oczem uwierzyć. Wagony kolejowe leżały daleko wyrzucone z toru kolejowego i wprost fantastycznie powywracane. Widziałem jeden wagon kolejowy, leżący poprzecznie do góry kołami, na dachu innego wagonu, stojącego normalnie na kołach. Jaka siła wyniosła go tak wysoko w górę? Naszym zadaniem było oczyścić przestrzeń nadającą się do założenia 2 torów kolejowych.

W ostatnich dniach kwietnia aura w Ebensee bardzo się zmieniła. Co - dziennie padał deszcz ze śniegiem i przejmujące zimno odbierały nam resztkę siły i nadzieję do życia. Ostatnie te dni przypominały mi pierwsze tygodnie przeżyte w obozie Oświęcimskim, lecz tak jak tam, tak i tu podtrzymywała mnie wiara, że przeżyję i cały i zdrow wrócę do domu. Ta wiara, ten mój wielki optymizm, nie pozwoliły mi ani na chwilę załamania się psychicznie i w godzinach najcięższych podniecałem siebie jakoteż i moich kolegów do walki o utrzymanie życia. Hasłem moim było "głowa do góry" a zaświeci dla nas słońeczko na niebie i będziemy żyli tak jak dawniej na wolności. Jakieś dziwne przeczucie dyktowało mi, że dzień 6 maja będzie dniem końcowym naszego cierpienia i że dzień ten przyniesie nam wolność. Zwierzyłem się z tym moim młodym towarzyszom i codziennie po jednym dniu skracałem naszą niewolę.

W dniu 29 kwietnia 1945 zachorowałem. W nocy miałem silne dreszcze i gorączkę. Po wielu prośbach i pertraktacjach udało mi się uzyskać zwolnienie od pracy, abym mógł udać się do szpitala. Tu zastałem znajomych lekarzy z Melk i zobaczywszy mnie zaopiekowali się mną z całą serdecznością. Dzięki nim dostałem 3 dni tzw. "Blockschonung", mogłem pozono-

stać na bloku i nie iść do pracy.

Gorlice, dnia 10.IX. 1946.

Dziówek .

Dwa dni przeleżałem w kółku i o dwa dni przedłużyłem moje życie bo z powodu strasznego głodu nie wiele mi brakowało do śmierci. Udało mi się nadzwyczajnie, gdyż w tych dniach pogoda była fatalna, padał deszcz bezustannie, naprzemian ze śniegiem. Okoliczne góry pokryły się znowu, grubą warstwą śniegu i panowało dokuczliwe zimno. Po dwóch dniach leżenia o głodzie tak osłabłem, że nie miałem siły, by utrzymać się na nogach a tym więcej, by iść do pracy. Zaryzykowałem więc i trzeciego dnia zwiąłem po prostu z placu apelowego, gdzie grupowano komanda do pracy. Następnego jednak dnia przykapano mnie, dostałem bicie i przydzielono mię do tzw. "Planierungskomando". Zrywaliśmy na kęce darnie, które nosiliśmy w rękach i układali we foremne kostki. Około godziny 9-tej nadjechał cywilny majster i wydał zarządzenie, aby więcej darni nie zrywać, lecz zerwaną darninę układać z powrotem na kęce i równać nawierzchnię. Z górą dwa tygodnie zrywało ową darninę codziennie 50 ludzi na przestrzeni kilkunastu hektarów., aż tu nagle zmiana, naprawić to co się zepsuło. Do tego rodzaju gospodarki niemieckiej byliśmy przyzwyczajeni. Ileż to razy kopaliśmy ogromne doły po to, by po pewnym czasie z powrotem je zasypać. W Oświęcimiu budowaliśmy trzy razy olbrzymi parkan betonowy dla ogrodzenia bloków i trzy razy rozbierali. W tym dniu pędzili nas do pracy niemiłosiernie. Chcieli prawdopodobnie, abyśmy w jednym dniu zakończyli darnią całą kękę, na której pracowano dwa tygodnie. Wieczorem wracając z pracy, powiedział nam w tajemnicy jeden SS-man, że nazajutrz pozostajemy na blokach i pracować nie będziemy. I rzeczywiście w dniu 3 maja, w dniu naszego Święta Narodowego, zostaliśmy w obozie. Faktem tym niespotykanym w dziejach obozu, byliśmy zaskoczeni i to nas upewniało, że jest już bliski koniec potęgi germańskiej. Tylko wytrwać - przeżyć owe parę dni.

Nagle gruchnęła wiadomość: koniec wojny ! Niemcy skapitulowały ! Zapanowała wśród nas szaleńcza radość. Koledzy rzucają się w ramiona, gra -

tulują sobie wzajemnie, że dożyli tak wielkiej historycznej chwili. Matka Boska - Królowa Korony Polskiej przynosi nam w dniu Jej święta wolność ! Czy jednak radość nasza nie jest przedwczesna? Czy jest to możliwe, aby nasze cierpienia już się kończyły? Czy jest to możliwe, że doczekamy się tej chwili, w której będziemy wolni! Tak jest. Radość nasza była przedwczesna.

Następnego dnia również nie poszliśmy do pracy. Po obozie krążą najrozmaitsze wiadomości, którymi jesteśmy niezwykle podnieceni. Dowiadujemy się, że SS-mani opuszczają obóz a straż nad nami obejmuje " Volksturm". Wiadomość ta jednak nie potwierdza się, gdyż na wieżach wartowniczych widzimy nadal straż, którą pełnią SS-mani. Dzień przeżywamy niezwykle nerwowo w oczekiwaniu naszych wybawców. Noc przechodzi spokojnie. Po raz pierwszy nie słyszymy syreny, zapowiadającej nalot lotniczy. Po raz pierwszy nie słyszymy detonacji, rozlegającej się po górach a powodowanej dynamitowymi ładunkami do rozsadzania skał.

Nadchodzi dzień 5 maja. W całym obozie cicho i spokój. Nie słyszymy gongu na wstawanie, nikt z bloku nie wychodzi, po raz pierwszy nikt nie zrywa nas z łóżek, nie pędzi do pracy. Dowiadujemy się, że SS-mani kazali więźniom przygotować białą chorągiew, którą mają wywiesić na wysokim maszcie. A więc nasi pohaterowie poddają się i nie będą się bronili. Faktem tym ucieszyliśmy się bardzo. Około godziny 9-tej wzywają nas wszystkich więźniów na plac apelowy. Dowiadujemy się, że ma do nas przemawiać komendant obozu. I rzeczywiście na podwyższeniu staje " Lagerführer " Gans i przemawia do nas, wzywając nas do zachowania spokoju, posłuszeństwa i karności. Najmniejsze wykroczenia będą karane śmiercią, Amerykanie są niedaleko, w każdej chwili mogą tu przyjść - obóz może być bombardowany, i radzi nam, abyśmy karnie w kolumnach udali się do podziemnej sztolni, gdyż tam nie będzie nam grozić żadne niebezpieczeństwo. Na zapytanie tego, czy zgadzamy się z tą propozycją, odpowiedzieliśmy nie umawiając się poprzednio jednogłośnie : " Nein ". Baliśmy się, aby nas siłą nie wzięli gdyż przeczuwaliśmy że w sztolni będziemy zatruci gazami lub wysadzeni

w powietrze.

Jak widać nie mieli już czasu wykonać swego zamierzenia w stosunku do nas, gdyż SS-mani potajemnie opuścili obóz. Pozostało jedynie około 150 ochotników, którzy zdecydowali się pozostać w obozie na swych posterunkach. Fantastyczne wiadomości podniecają nas, chodzimy jak błądźni bez celu od bloku do bloku, szukając nowych wiadomości. W nocy nie śpimy, nie rozbieżamy się - czuwamy - aby być gotowym na powitanie naszych drogich wybawców. Oczekujemy ich z godziny na godzinę. Tymczasem myśli nasze uciekają daleko - hen do swoich najdroższych - do swoich stron ojczystych. Zbliża się ciwila radosna. Po wielu latach strasznych koszmarnych dni mamy wrócić jak z za grobu, jak z drugiego świata. Co będziemy robić po powrocie do swych rodzinnych stron? Każdy z nas układa plany w granicach swego dawnego podwórka, w otoczeniu swoich najdroższych członków rodziny i grona swych przyjaciół z dawnych lat.... Ale czy zastaniemy ich? Tego rodzaju myśli zawładnęły nami i nie dały nawet oka zmróżyć. Czuwamy całą noc. Nadchodzi dzień 6 maja. Już wczesnym rankiem wychodzą na plac apelowy. Na wysokim maszcie powiewa radośnie biała chorągiew. Ona ma przestrozec naszych wybawców: nie strzelajcie do nas! Tu biją dla was gorące serca! Tu wznoszą się błagalne w górę dżonie i proszą: Prędzej do nas! Prędzej! Spieszcie się, bo każda chwila dla nas droga, bo okupiona setkami życia ludzkiego. Słońce jest jeszcze zasłonięte wyniosłymi szczytami alpejskimi, ale po błękitnym niebie widać, że dzień będzie piękny. Słońce nieco ukazuje się nam tu o trzy godziny później, aniżeli na równinach. Jego życiodajne promienie przysłania od wschodu masyw górski Erlakgl 1570 m i Eibenberg 1598 m.

Mamy cudną słoneczną niedzielę. Chodzimy małymi grupkami i już swobodnie politykujemy. Niemcy, różni capowie, którzy nas gnębili, siedzą po kątach i spakowani oczekują, aby wyrwać z obozu jak najprędzej. Mają nieczyste sumienie w stosunku do nas i boją się samosądu.

Nasza Polonia jest bardzo licznie reprezentowana. Na 18 tys. więźniów różnych narodowości jest nas w obozie około 4 tys. Potajemnie przygoto-

wujemy chorągiew o naszych narodowych barwach. Czynią to samo koledzy innych narodowości. Przygotowują również olbrzymi transparent do bramy z napisem: " Witajcie nasi wybawcy ". Wiję wieńca z jedliny do ubrania bramy wjazdowej. Wszystko przygotowuje się jak na największe święto narodowe. Około godziny 14-tej wpada do nas jeden z kolegów i woła A m e r y k a - n i e j a d a ! Wypadamy z baraku i słyszymy od strony placu apelowego i bramy wjazdowej nie do opisania radosne krzyki i wivaty. Biegniemy tam i widzimy wjeżdżające do obozu czołgi i pancerne amerykańskie auta. Radość wśród więźniów dochodzi do zenitu. Rzucą się jeden drugiemu w ramiona, łzy płyną po policzkach, gratulujemy sobie wzajemnie. Zdaje się, że ludzie ci oszaleli z radości. Wśród tej nie do opisania wrzawy słychać regularne głośnie wivaty: Niech żyją Amerykanie! Niech żyją nasi wybawcy! Na czołgi i auta wychodzą więźniowie i stają na nich, ramię przy ramieniu obok swych wybawców, całując ich po rękach. Łodnierze amerykańscy, ze stoickim spokojem i amerykańską flagą, żując gumę, przyglądają się naszym szkieletom i pokazując bramę mówią: Jesteście wolni! Możecie wyjść za druty! Na autach i czołgach stoją więźniowie i w rękach trzymają wysoko sztandary. Obok swych sztandarów skupiają się więźniowie i śpiewają swe narodowe pieśni. Zapewne po raz pierwszy od wieków na tej ziemi rozbrzmiewa głośnym chórem " Jeszcze Polska nie zginęła ". Śpiewamy, ale coś takiego ścisła gardło, że struny głosowe nie wydają głosu. To radość - to uczucie szczęścia, które szarpie nami i nie da się opanować. Tu i ówdzie na placu, w oczach naszych wybawców odbywają się samosądy. Zabijają różnych capów, blokowych i tych, którzy dawniej nas zabijali. Wystarczyło powiedzieć słowo a na ofiarę rzucało się dziesiątki więźniów z drągami, żelazami, kamieniami itp. Z dziką rozkoszą rozprawiali się więźniowie ze swymi tyranami. Widziałem, jak wrzucono kilku Niemców do basenu pływackiego, do tego samego, z którego w chwili przybycia do obozu, nie wolno nam było napić się wody. Widziałem, jak rzucono do nich kamieniami i nie pozwolono im pływać. Dali im dziś na śmierć napić się tej wody, której nam zabraniali ugasić pragnienie. Widziałem, jak jeden z tonących, wzniesł w górę obie ręce, następnie za-

cisnął je razem i drgając kurczowo nimi, błagał o litość, o przebaczenie. W samosądzie niema litości, samosąd nie przebacza, bo widok krwi podnieca.

Nie mogąc patrzeć na tego rodzaju samosady, wybrałem się do mego baraku, by po tych wielkich przeżyciach odpocząć. W drodze spotykam więźniów obciążonych bochenkami chleba i niosących całe wory mąki. Dowiaduję się, że zgłodniaли więźniowie rozbili piekarnie i magazyn z chlebem. Zabrali wszystko nie wyłączając nawet mąki i ciasta. Po pewnym czasie zaczęli wracać z miasta ci więźniowie, którzy zgłodniałi rzucili się na okolicznych mieszkańców. Jak później dowiedziałem się, atak na nich był tak groźny, że puciekali z domów do okolicznych lasów. Żupem więźniów była przede wszystkim żywność. Bez przerwy całą noc palono ogniska po całym obozie i gotowano jedzenie.

Syty wrażeń przeżytego wielkiego dnia, niewyspany poprzedniej nocy i bardzo słaby fizycznie, położyłem się do łóżka. Mój sąsiad, śpiący nade mną miał dwa bochenki chleba. Nieśmiało zaproponowałem mu, by odstąpił mi kawałeczek chleba za papierosy. Będąc nie palącym, uskładałem sobie 15 szt. papierosów na czarną godzinę, aby za nie kupić chleba. Mój towarzysz "Ruski" /tak nazywaliśmy kolegów Radzieckich, natomiast oni nas nazywali "Polski"/ odpowiada: "Haraszo Polski". "A skolko imiejesz sztuk cigaretow". Odpowiadam 15 sztuk. Mój sąsiad wziął nóż zrobiony z łyżki ukroił pół bochenka chleba i podał mi go. Oświadczam, że nigdy w życiu mi nie tak nie smakowało jak owe pół bochenka chleba.

Z powodu uszkodzenia przewodów elektrycznych, cały obóz pogrążony był w ciemnościach. Oświetlała go jedynie żuna od palącego się baraku SS-mańskiego. Z powodu braku prądu elektrycznego stanęły i pompy wodne. Obóz został pozbawiony wody.

Poniedziałek 7 maja 1945.

Mimo, że było już koło godziny 8-mej nie wstawałem z łóżka. Jako wolny obywatel, chciałem dowolnie się wyleżeć już bez obawy bicia. Śniadania nie otrzymaliśmy, bo nie było co ugotować a w dodatku nie było wody. Dzięki nieustrudzonej pracy wielu zdrowych kolegów, zorganizowano dowóz

wody do kuchni autem. Znaleziono w jednej ze sztolni nieco artykułów żywnościowych i dzięki temu mieliśmy zapewnioną żywność na pierwsze dni. Około południa dostaliśmy po pół bochenka chleba i sporą porcję margaryny.

Wybrano komitet, który miał pozostawać w kontakcie z władzami amerykańskimi. Obóz zwiedza moc żołnierzy amerykańskich, którzy zaglądają w każdy kąt obozu i fotografują, oraz filmują rzeczy ciekawe i ich interesujące. Największą popularnością cieszył się szpital, gdzie leżało około 2 tys. chorych. Nierzadkim był widok zupełnie nagiego i jeszcze żyjącego kościotrupa, zanieczyszczonego kałem i leżącego na ziemi pod gołym niebem, obok baraku szpitalnego.

Władze amerykańskie postanowiły rozdzielić cały obóz według narodowości. Nasza grupa polska zyskała bardzo przychylne ustosunkowanie się do władz amerykańskich i zostaje nam przydzielony obóz niedaleko jeziora Traum, gdzie mieszkali cywilni robotnicy. Około południa zebrali się wszyscy Polacy na placu apelowym i po zgrupowaniu się w kolumny czwórkowe po 100 osób, ze śpiewem na ustach, ruszyliśmy do nowo przydzielonego nam obozu. Dostaliśmy tu baraki, ale o systemie izbowym. Zgrupowaliśmy się wedle sympatii i koleżeństwa w małe grupki i po kilku zależnie od wielkości izby zamieszkali nowy obóz.

Dzięki wysiłkom i staraniom niektórych kolegów zorganizowano maszyny do pisania, jakoteż i radio - aparat i postanowiono wydawać gazetkę obozową. Miała ona na celu informować nas o życiu obozowym, jakoteż podawać wiadomości z komunikatów radiowych. Zorganizowano komisję redakcyjną i ustalono dyżury dzień i noc przy aparacie radiowym. Tym sposobem nawiązaliśmy kontakt z całym światem. Z jaką rozkoszą i dumą słuchałem po raz pierwszy od lat pięciu polskiego komunikatu radiowego.

Wtorek, dnia 8 maja 1945.

Już wczesnym rankiem ukazał się pierwszy numer "Naszej gazetki", obejmujący trzy arkusze pisma maszynowego. Z niej dowiedzieliśmy się o kapitulacji Niemiec i o zakończeniu wojny na terenie Europy. Z uwagi na to, że dzień 8 maja jest dla nas dniem świątecznym, zebrała się nas w godzinach

ranych spora grupa około 300 osób i w kolumnie marszowej ze śpiewem na ustach, udaliśmy się do kościoła Św. Józefa w Ebensee na dziękczynną mszę św. Trudno było utrzymać się od łez, gdy po raz pierwszy od pięciu lat, uklękliśmy przed wielkim ołtarzem, aby podziękować najwyższemu Stwórcy za ocalenie i pozostawienie nas przy życiu. Zamiast cichej modlitwy łzy rozczulenia złożyliśmy Panu Bogu w ofierze. Płakaliśmy nie tylko my, ale łzy wzruszenia spływały po policzkach zebranej w kościele publiczności. Dzięki uprzejmości miejscowego księdza proboszcza, przystąpiliśmy do wspólnej spowiedzi i otrzymaliśmy generalne absolutorium, poczem przystąpiliśmy do Komunii Świętej. Po nabożeństwie gościliśmy nas miejscowe siostry zakonne herbatą z sucharkami i papierosami. Około południa wracaliśmy powrotnie do naszego obozu śpiewając znowu wesoło piosenki.

Zaczynamy życie nowe, życie człowieka wolnego. Uprawdnie baraki gromadne przypominają życie więźnia obozowego jednak świadomość wolności, możliwość swobodnego poruszania się po mieście sprawiały nam wielką radość. W nowym naszym obozie urządziliśmy sobie z dawnej sali jadalnej piękną kaplicę, w której odprawiano ranne msze św. a wieczorem nabożeństwa majowe.

Największą bolączką obozową była trudność w zdobywaniu żywności. Władze amerykańskie wydały nam zezwolenie rekwirowania artykułów spożywczych i przydzielili do naszej dyspozycji kilka samochodów ciężarowych oraz aut osobowych. Urządziliśmy kancelarię obozową, w której każdy z nas musiał się zarejestrować. Należało bowiem b. więźniów, liczących około 4 tys. ludzi ująć w pewne ramy organizacyjne.

Dnia 9 maja 1945.

Dzisiaj poznał jeden z naszych kolegów byłego komendanta obozu w Melk, oszawionego mordercę Juliusza X Ludolffa. Jechał on przebrany po cywilnemu w towarzystwie swej kochanki, którą wiozł ze sobą z Melk z zamiarem ucieczki do Szwajcarii. W chwili aresztowania go stawiał opór za co wymierzono mu kilka tężych policzków i oddano go w ręce władz amerykańskich.

kańskich. Przemaczył się on, że był dla więźniów bardzo dobrym a wówczas udowodniono mu matematycznie jego dobroć. Do Melk przybyło ogółem około 14 tys. więźniów, z czego ewakuowano do Ebensee zaledwie 7.401 reszta zmarła w Melk wskutek przeciążenia pracą, złego odżywiania, lichego okrycia, bicia i bydlęcego traktowania.

Zastrzelono w lesie pod Ebensee drugiego "ptaszka" Obersturmführera Reichenbacha, który wskazywał się tym, że dowodził nami w czasie marszu ewakuacyjnego z Oświęcimia do Włodziszawia, a następnie transportował nas podczas 24 stopniowego mrozu wagonami otwartymi przez 4 dni i nocy. Zbrodniarz ten jest winien zamordowania około 800 osób, w tym więcej niż połowa kobiet, które nie mogły nadążyć z maszerującą kolumną. Podobny los spotkał Lagerführera z Ebensee Gansa, którego zastrzelił jego własny przyjaciel. Morderca ten miał specjalne metody wykańczania więźniów. Wiedzieli o tym SS-mani i mieli w tym kierunku odpowiednie dyrektywy. Tajemnicę tę zdradził jeden z "Blockführerów", który swemu zaprzyjaźnionemu więźniowi nie pozwolił wyjechać do Ebensee, twierząc, że z tego obozu żaden więzień żywym nie wyjdzie. Że tak istotnie było, potwierdzić mogę własnym doświadczeniem, gdyż po trzech tygodniach pobytu w tym obozie byłem bliskim śmierci.

Wstrząsające wrażenie na Amerykanach wywołała platforma, ciągniona przez parę koni a załadowana zwłokami zmarłych więźniów w Ebensee. Platforma ta przejechała przez całe miasto, kierując się na cmentarz. Amerykanie fotografowali i filmowali ją ze wszystkich stron, wyrażając w sposobie dobitny swoje oburzenie. Jeden z nich nawet zawołał głośno: "Oto są ofiary niemieckiej cywilizacji i kultury". Nawet wśród Niemców w Ebensee ta makabryczna platforma wywołała duże wrażenie. Jeżeli dotychczas udawali, że nie wiedzieli co działo się w obozie, otrzymali teraz namacalny dowód.

Początkowo mieli Amerykanie taki projekt, aby każdego więźnia zmarłego w obozie przenosili SS-mani na własnych barkach w trumnach i aby pogrzeb uroczysty odbywał się na koszt miasta. Jak widać zrezygnowano z tego pro-

jektu i obecnie jak to opisałem przewożą zwłoki na platformie w trumnach i grzebią na miejscowym omentarzu.

Wieczorem przyprowadzono do Władz Amerykańskich 4 SS-manów z obozu w Ebensee w eleganckich ubraniach cywilnych. Początkowo nie chcieli się przyznać, że byli w obozie "Blockführerami", ale niestety poznali ich więźniowie a nawet przypomnieli ich heroiczne czyny w stosunku do bezbronnym więźniów.

Dnia 10 maja 1945.

Dziś brałem udział w uroczystym nabożeństwie, które odbyło się w kościele Św. Józefa w Ebensee. Maszerowaliśmy zwartą grupą już raźniej i pewniej, jak przed dwoma dniami, gdyż po dwóch dniach dobrego odżywiania organizm wracał do sił.

Wiadomości z gazetki: Londyn 9.V.1945. "Nadeszła wiadomość o schwytaniu feldmarszałka Goeringa, organizatora niemieckiej broni powietrznej, wykonawcę planu 4-letniego i najbliższego współpracownika Hitlera. Zeznaje on, że w dniu 24 kwietnia br. udał się do Hitlera i złożył w jego ręce swoją władzę. W dniu 28. bm. do willi Goeringa przybyły oddziały SS., które marszałka aresztowały i osadziły w więzieniu. Dowiedziały się o tym formacje lotnicze, Goeringa zwolniły i trzymały w ukryciu, dzięki czemu uniknął śmierci wydanej na niego przez Hitlera. Nie wiadomo czy to bajka, czy też prawdziwa opowieść. Fakt ten i tak nie zmniejszy mu kary, na którą zasłużył ów przestępca.

Dnia 11 maja 1945.

W ruinach Berlina znaleziono trupa Bormana, który był zastępcą Hitlera. Oprócz tego znaleziono w gruzach cztery ciała i nie jest wykluczonym, że jedno z nich może być zwłokami Hitlera. Do tej pory jednak zwłok nie zidentyfikowano.

Dzięki staraniom naszego komitetu wywożą obecnie chorych i to przeważnie młodych chłopców do miejsca klimatycznego w Ischl, odległego 15 km od Ebensee.

Życie w nowym cywilnym obozie upływa nam szybko, ale jednostajnie. Od-

Żywanie mamy stosunkowo dobre. Czasami jest ono jednostajne np. cały tydzień zupa grochowa, ale mimo to przybieramy na wadze i czujemy się mocniejsi. Jedyną naszą troską i bolączką jest jak najszybszy wyjazd do Ojczyzny. W tym kierunku nasz zarząd czyni starania, ale Władze Amerykańskie nie popierają nas i opóźniają termin wyjazdu.

22 maj 1945.

Jeden z największych morderców, główny komendant obozu Buchenwald Sturm-bahnführer Förstner dostał się w ręce wojsk brytyjskich. Stanie on przed specjalnym sądem, oskarżony jest bowiem o spowodowanie śmierci około 100 tys. osób więzionych w Buchenwaldzie.

W dniu dzisiejszym odwiedził nasz obóz przedstawiciel Związku Radzieckiego. Wziął on udział w zebraniu zwołanym z okazji jego przybycia. Przedstawiciel Zw.R. omówił szczegółowo wspólną walkę o wyzwolenie Polski przez Armię Czerwoną oraz Polską Gwardię Ludową. Omówił również sprawę zawarcia sojuszu na lat 20 między Związkiem Radzieckim a Polską. Następnie podał nam do wiadomości, że czyni wszystko co jest w jego mocy, ażeby przyspieszyć termin naszego wyjazdu do Ojczyzny.

26 maja 1945.

Dzisiaj zostały wywieszane w całym Niemczech plakaty ze zdjęciami dokonanymi w obozach koncentracyjnych w Oświęcimiu w Buchenwaldzie i w Dachau. Na plakatach widnieje napis "Wer ist schuld?" / Kto jest winien? / Przypuszczamy, że Niemcy zrozumiały kto ponosi odpowiedzialność za to barbarzyństwo.

30 maja 1945.

W dniu dzisiejszym zostali przyjęci przez pułkownika Związku Radzieckiego koledzy St. Madej i Garczyński. Pułkownik oświadczył im, że Polacy przez przeciąg 4 najbliższych tygodni opuszczać obozu nie mogą, albowiem w tym czasie należy się spodziewać komisji z Polski, która zajmie się przygotowaniem transportu Polaków do Ojczyzny. Duże zainteresowanie wzbudził wśród kolegów przygotowany na dzisiaj wesoły wieczór pod nazwą "bigos obywatelski". Zobaczymy.

1 czerwca 1945.

"Bigos obozowy" udał się nadzwyczajnie. Na program złożyły się występy chóru obozowego, recytacje, monologi i śpiewy solowe. Kolegom A. Kopycińskiemu i M. Rusinkowi należy się uznanie i podziękowanie za to, że po wyższą imprezę zorganizowali i świetnie nią pokierowali.

Dzisiaj po raz pierwszy w obozie odbędzie się lekcja języka angielskiego i francuskiego.

W międzynarodowym Trybunale do sądenia zbrodniarzy wojennych z ramienia Polski zasiadają trzej przedstawiciele Dr. Cynaj, Dr. Laks i Dr. Witawski. W skład Trybunału wchodzi przedstawiciele 16 państw. Zw. R. nie ma swego przedstawiciela, gdyż ma własny Trybunał i komisję do zbierania materiału. Wczoraj zebrał się Trybunał na pierwsze posiedzenie informacyjne, a z dniem 6 bm. przystępuje do intensywnej pracy. Pierwsza lista zbrodniarzy wojennych zawiera nazwiska 2.524 Niemców, 110 Włochów, 17 Bułgarów, 2 Albańczyków, 2 Węgrów i 2 Rumunów. Poza tym jest w opracowaniu druga lista zawierająca dalszych 560 nazwisk niemieckich oraz 800 nazwisk innych nie ujawnionych dotąd narodowości.

2 czerwca 1945.

W ostatnich czasach zdarzają się co raz częstsze samobójstwa wśród członków partii hitlerowskich. Nasza gazetka wymienia całe szeregi nazwisk osób z powiatu Salzburg, które popełniły samobójstwo. Między innymi burmistrz Salzburga Anton Gigler zastrzelił żonę i siebie. Nasza gazetka podaje: "Dzienniki opisują jak wygląda mieszkanie Hitlera, wykryte w jednym z budynków rządowych w Berlinie. W pokojach znaleziono wielką masę malowideł, noszących podpis A. Hitlera oraz datę malowania. Dzienniki rosyjskie podkreślają z ironią że straszliwy ten morderca wykazywał w swych malowidłach łagodność i spokój. Lubił on malować księżyc nad jej krajobrazy, łączki z pasącymi się krówkami, rzeczki z rosnącymi nad jej brzegiem drzewami itp. Obrazy nie przedstawiają najmniejszej wartości artystycznej. Pełno też było w pokojach fotografii. W Gabinetach jego znaleziono tysiące portretów Hitlera z własnoręcznym podpisem. Były one

przygotowane do rozdania w dniu święta narodowo-socjalistycznego tj. 1 maja 1945, wśród najbliższego otoczenia zbrodniczego kanclerza i miały tę datę. W szufladach biurka, w szafach bibliotecznych, oraz w sypialnym pokoju, znaleziono całe stosy albumów z fotografiami, przedstawiającymi Hitlera w rozmaitych okresach jego panowania. Widnieje on na tych zdjęciach przeważnie w pozach napoleońskich. Na biurku znaleziono gruby tom z historii rodziny Hitlera, w której autor starał się wykazać, że rodzina Schickelgruber, z której wywodził swój ród Hitler, wiedzie swój początek od najsłynniejszych niemieckich mężów stanu. Olbrzymi pięcio-piętrowy gmach przykrywał osobiste schrony przeciw-lotnicze Hitlera i Goebelsa. W najniższym lokalu znajdowało się 2-piętrowe mieszkanie Hitlera, zbudowane tak, że zabezpieczone było nawet przed 5-cio-tonowymi bombami lotniczymi. W pokoju jadalnym był stół jeszcze zastawiony do śniadania i stała tam butelka wina czerwonego, na pół wypita oraz 4 krzesła. Do tego pokoju przylegał pokój sypialny oraz luksusowo wyposażona łazienka. Sąsiadujące z tym mieszkaniem pokoje Goebelsa zostały opuszczone przez właścicieli w największej panice. Wskazuje na to panujący w nich wielki nieporządek.

Sprawozdawca amerykańskiej dywizji donosi z Dachau. Wielu więźniów w obozie koncentracyjnym zmarło wskutek zamrożenia. Mianowicie naczelne dowództwo niemieckiej broni powietrznej zażądało od kierownictwa obozu przeprowadzenia doświadczeń z więźniami na temat, ile czasu, może pozostać człowiek w ledowatej wodzie. Lekarze obozowi codziennie poddawali więźniów próbom, każąc im przebywać dłuższy czas w bardzo zimnej wodzie. Co pewien czas były pobierane od więźniów próby krwi i mierzona temperatura wody. W wyniku tych doświadczeń tysiące więźniów zmarło.

Oprócz tego, w obozie tym setki więźniów otrzymywało przymusowo zastrzyki malarii. Na więźniach tych przeprowadzano doświadczenia z dziedziny walki z malarią. Z więźniów tych nikt nie doczekał się wolności, wszyscy pomierali ".

Dziś dowiedzieliśmy się, że Władze Amerykańskie przeznaczyły nasz

obóz na pomieszczenie SS-manów, którzy w liczbie kilkunastu tysięcy mają pracować w miejscowych sztolniach. Nas mają zamiar przeprowadzić do obozu cywilnego w Steinkogel, gdzie dotąd mieszkali Rosjanie. Czeka nas znowu przeprowadzka. Żal nam pracy włożonej w urządzenie obozu, nie żal nam tylko pluskiew, których całe mrowie gryzło nas w czasie snu. Nie pomogły nawet żarówki o sile 200-tu świec, które świeciliśmy przez całą noc.

4 czerwiec 1945 r.

Biuro Komisji Kontrolnej dla Niemiec przeprowadza obliczenia ilości b. więźniów obozów koncentracyjnych jeńców wojennych oraz robotników cywilnych pochodzących ze wszystkich państw Europy, a znajdujących się obecnie na terenie Niemiec i innych państw, które były przez Niemców okupowane. Obliczają, że około 15 i 1/2 miliona ludzi musi powrócić do swych krajów ojczystych. Program repatriacji jest w toku opracowania. Niestety, jak się dowiadujemy Władze Amerykańskie wydały zakaz opuszczania obozu i odjazdu do Ojczyzny. Na drogach, szosach i liniach kolejowych zarządzono ostrą kontrolę przepustek i osoby nie posiadające odpowiednich dokumentów są odsyłane do pobliskich obozów.

Ebensee, dnia 7 czerwca 1945.

Amerykanie przystąpili do ogrodzenia naszego obozu drutem kolczastym. Nastroje w obozie kiepskie. Do Ojczyzny nie chcą puścić, z obozu, z takim trudem urządzonego, wyrzucają nas, słowem zaczyna się drugi etap przetrwania obozowego. Zobaczymy jak to długo potrwa.

Rosjanie odjeżdżają. Po nich przyjechała delegacja rodaków i zorganizowała ich wyjazd. Niestety po nas nikt nie przyjechał.

Ebensee dnia 8 czerwca 1945.

Cały obóz polski został zlikwidowany. Umieszczono nas w pięciu różnych punktach, odległych od siebie około 2 km. Większość kolegów została umieszczona w obozie opuszczonym przez Rosjan, w Steinkogel. W obozie tym zastało nie szczególne warunki bytu. Pluskwy - brud - brak wody i błoto, oto ogólna charakterystyka naszych nowych pomieszczeń. Ja w grupie liczącej 1420 Polaków zamieszkaliśmy w obozie po SS-manach. Baraki mamy nieco wygodniejsze, mamy urządzenia wodociągowe i kanalizacyjne i

o tyle są lepsze w porównaniu z innymi. Po izbach zastaliśmy pustki. Musimy organizować łóżka, szafy, stoły, krzesła, słowem całe urządzenie. Przywozimy to wszystko autami z poprzedniego obozu. Muszę nadmienić, że koledzy wybrali mnie na mojej izbie "Izbowym". Po raz pierwszy od lat pięciu życia obozowego uzyskałem władzę. Jako izbowy musiałem zająć się umeblowaniem naszej izby. ■

Ebenesee dnia 9 czerwca 1945.

W dniu dzisiejszym zaproponowano mi nowe zajęcie w obozie, a mianowicie stanowisko pisarza na moim 14-tym bloku. Ze względu, że nie lubię życia bezczynnego, bo w zajęciu prędzej czas przemija, godność powyższą przyjąłem. Moja izba została przeznaczona na kancelarię oddziału i zamieszkujemy ją we trzech. A mianowicie kolega Pałetko Stasiu z Krakowa, jako oddziałowy i byłby mój sąsiad z łóżka, z którym spaliśmy we dwóch w obozie w Ebensee, Laufer Maksymilian, jako prowiantowy. Na oddziale mamy około 150 kolegów rozmieszczonych na dwunastu izbach.

Ebenesee dnia 10 czerwca 1945.

Na nowym stanowisku pisarza oddziału mam pracy bardzo dużo. Przyjmowanie nowych kolegów, wypisywanie tych, którzy dostali przeniesieni, sporządzanie meldunków, rozdzielanie żywności itd. Ale cieszę się, bo nie lubię bezczynności. Donoszą z Monachium, że zostali schwytani w chwili, gdy zamierzali przekroczyć granicę szwajcarską komendant obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie Burchard i naczelny lekarz obozu Hoffer. Byli oni przebrani i ucharakteryzowani za kobiety i w tym przebraniu zamierzali uciec z rąk sprawiedliwości.

Ebenesee, dnia 12 czerwca 1945.

Stan liczebny naszego obozu liczy dziś 3.662 osoby. Muszę podkreślić z przyjemnością, że Amerykanie interesują się żywo obozem polskim. Wyżywienie z każdym dniem poprawia się, gdyż przechodzimy do zaprowadzania przez U.N.R.R.A. z każdym dniem czujemy się silniejsi i zdrowsi. Wilczy apetyt, jaki mieliśmy w początkach po przebyciu głodzie powoli ustępuje. Przyznam się ze wstydem, że w początkach zjadałem 3 pełne miski zupy

a więc około 4 l., a obecnie już jedna miska mi wystarczy, a czasami nawet nie mogę dać jej rady. W ciągu 5 tygodni organizm nadrobił swój ubytek.

Radio z Londynu podaje o nowej zbrodni, jakiej dopuściły się władze obozowe w Neugamen. Zakładowali 7.000 tys. Polaków do trzech okrętów i puścili je na pełne morze bez paliwa i żywności w tej myśli, że Amerykanie je zatopią. I rzeczywiście okręty angielskie nie wiedząc jaki ładunek mieści się na okrętach, zatopili je. Oto jeszcze jedna wielka zbrodnia, jakiej dopuszczali się Niemcy na bezbronnych ofiarach. W dniu dzisiejszym otrzymaliśmy paczki żywnościowe Czerwonego Krzyża w ilości 1 paczka 5 kg na trzech ludzi.

Przez radio w Oslo przemawiał 24-letni student norweski Braun, b. więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Omówił on stosunki, jakie panowały w obozie. Wyrażał się pochlebnie o więzionych w tym obozie Polakach, którzy swoją postawą w tych strasznych warunkach zaimponowali wszystkim więzionym tam Norwegom.

Ebensee, dnia 13 czerwca 1945.

Dowiadujemy się z radia warszawskiego ciekawych szczegółów o obozie we Wiśniczu. Został on zorganizowany przez Gestapo w zabytkowym klasztorze z XVI wieku. Pijane żoldactwo urządzało orgie przed Wielkim Ołtarzem, udając, że odprawia nabożeństwo, a więźniom kazano klękać i przysłuchiwać się temu. Zamordowano tam około 20.000 ludzi.

Ebensee, dnia 14 czerwca 1945.

Obóz nasz odwiedzają prawie codziennie liczni goście z innych obozów. Przyjeżdżają koledzy z Gmunden, Lambach, Linz i innych mniejszych ośrodków polskich. Dziś przybyli z wizytą przedstawiciele armii polskiej ppłk. Henryk Malhomme, zastępca szefa oficerów łącznikowych polskich przy Naczelnym Dowództwie Wojsk Sprzymierzonych, major Stefan Gąsiorowski, szef polskich oficerów łącznikowych przy Dowództwie 3 Armii Amerykańskiej, oraz podchorąży Stanisław Chybalski. Liczba Polaków, przebywających w naszym ośrodku w Ebensee ostatnio wzrosła do liczby 4.240 osób.

Nasz obóz / po - SS-mański / wygląda obecnie jak willowe osiedle,

umieszczone w pięknym parku. Oczyszcziliśmy wszystkie ścieżki i założyliśmy nowe. W całym obojściu zrobiliśmy gruntowny porządek. W całym ośrodku mamy brak zegarów. Jeden z kolegów ma kieszonkowy zegarek i chcąc informować o czasie, wyznaczamy dyżury i co godzinę wybijamy na gongu odpowiednią ilość uderzeń. Dziś po raz pierwszy pisaliśmy do rodziny list za pośrednictwem Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Przykro mi tylko, że wolno mi pisać jedynie 25 słów a przecież po tak długiej rozłące, pisząc pierwszy list w ojczystym języku, chciałbym napisać jak najwięcej.

Ebensee, dnia 16 czerwca 1945.

Wiadomość z " Naszej gazetki ". Z Gdańska wróciła delegacja , która badała sprawę niemieckich zbrodni wojennych. Delegacja zwiędziła między innymi szynny obóz koncentracyjny w Stutthof pod Gdańskiem. Stwierdzono na podstawie autentycznych dokumentów, że przez obóz ten przeszło ogółem 107 tys. więźniów różnych narodowości w tym duża ilość Polaków. Z ogólnej liczby więźniów zmarło 80 tys. osób, z których 40 tys. zagazowano, resztę zaś zamęczono w najrozmaitszy sposób. Najczęstszym powodem uśmiercania więźniów było topienie ich w Morzu Bałtyckim. Znalaziono między innymi liczne dokumenty osobiste zsyłanych tu więźniów, na których to papierach figurował wówczas rękopis krwawego kata gdańskiego Greisera z dopiskiem : " Powrót niepożądany".

Wielkie wrażenie wywołała wiadomość o schwytaniu poszukiwanego od dawna ministra spraw zagranicznych hitlerowskich Niemiec v. Ribbentropa. Poszukiwano go w całej Europie, podejrzewając nawet, że wykorzystał on swoje stosunki i ukrywał się na terenie Szwajcarii lub nawet w Hiszpanii. Policja tych państw brała również udział w poszukiwaniach, gdyż w myśl odpowiednich umów, państwa te były zobowiązane do wydania Ribbentropa. Jeden z wyników wiadomości angielskich, znających stosunki przedwojenne Ribbentropa, doświadczył wniosek, że miał on szerokie stosunki handlowe z handlarzami win, ponieważ sam był przez...

dalszy ciąg w opracowaniu.

Gorlice, 10.IX. 1946.

Z oryginałem zgodny

Jan Schön
Sędzia Okręgowy Sędziy
Jan Schön

Dziówek .